

Douglas Adams

**Życie, wszechświat
i cała reszta**

Life, The Universe And Everything

Tłumaczył Paweł Wieczorek

Wydanie oryginalne: 1982

Wydanie polskie: 1995

TMN

Dla Sally

Rozdział 1

Artura Denta już od dłuższego czasu budził co rano własny krzyk przerażenia. Otwierał oczy i natychmiast sobie przypominał, gdzie się znajduje.

Mniejsza z tym, że jaskinia była zimna, że była wilgotna i smrodliwa, prawdziwy problem polegał na tym, że leżała w środku Islington, niedaleko centrum Londynu, a następny autobus odchodził za dwa miliony lat.

Czas jest - jeśli wolno się tak wyrazić - najgorszym miejscem, w jakim można się zgubić, a Artur Dent z pewnością mógłby to potwierdzić, gdyż już wielokrotnie gubił się zarówno w czasie, jak i w przestrzeni. Gdy ktoś gubi się w przestrzeni, ma przynajmniej co robić.

Po długim i skomplikowanym ciągu wydarzeń, w czasie których - w dziwaczniejszych okolicach Galaktyki, niż mógłby sobie kiedykolwiek wyobrazić w najśmielszych marzeniach - na zmianę to na niego wrzeszczano, to go obrażano, utknął na prehistorycznej Ziemi i nawet jeśli jego życie stało się obecnie bardzo, ale to bardzo spokojne, ciągle jeszcze był lekko roztrzęsiony.

Mijało właśnie pięć lat, odkąd nikt na niego nie nawrzeszczał.

Odkąd cztery lata temu rozstał się z Fordem Prefectem, prawie nikogo nie widywał, nikt go więc też od tego momentu nie obraził.

Z jednym wyjątkiem.

Zdarzyło się to pewnego wiosennego wieczora mniej więcej dwa lata przed opisywanymi właśnie wydarzeniami.

Właśnie wrócił tuż po zmroku do swej jaskini, gdy zauważył błyskające tajemniczo przez chmury światła. Odwrócił się i zagapił w górę, w sercu nagle zakiełkowała mu nadzieja. Ratunek. Ocalenie. Najtęskniejsze marzenie rozbitka - statek.

Patrzył, zdziwiony i podniecony, i wybałuszał oczy, a przez ciepłe wieczorne powietrze ni stąd, ni zowąd zupełnie bezgłośnie spłynął w dół srebrny statek kosmiczny i rozpostarł długie nogi w perfekcyjnej technicznie baletowej ewolucji. Osiadł miękko na ziemi, a słyszalne przy lądowaniu delikatne buczenie zamarło niby uśpione przez wieczorną ciszę. Wysunął się trap. Ze środka wypłynęło światło. W luku pojawiły się kontury wysokiej postaci. Obcy powoli zszedł po trapie i stanął przed Arturem.

- Jesteś cymbałem, Dent - powiedział po prostu.

Wyglądał obco, bardzo obco. Miał charakterystyczny dla Obcych wzrost, cechującą Obcych płaską głowę i małe, typowe dla Obcych szparkowate oczy. Odziany był w złote szaty, ułożone w ekstrawaganckie fałdy, z szalenie obco wyglądającym deseniem na kołnierzu; miał bladą, szarozieloną skórę, posiadającą ów świecący połysk, jaki na większości szarozielonych twarzy udaje się osiągnąć jedynie za pomocą wielu ćwiczeń i bardzo drogiego mydła.

Artur gapił się na niego jak wół na malowane wrota, a Obcy patrzył na niego jakby nigdy nic.

Pierwsze jaskółki nadziei i podniecenia zostały natychmiast pokonane przez zdziwienie i najrozmaitsze myśli zaczęły walczyć w głowie Artura o prawo do użycia strun głosowych.

- Ooo...? - zapytał. - Blaa... aa... bla... - dodał. - Ooo... too... ooo... kto? - wybełkotał w końcu i pogрузzył się w posępnym milczeniu. Uświadomił sobie, że przecież odkąd jest w stanie sięgnąć pamięcią, nie odzywał się do nikogo słowem.

Obcy zmarszczył czoło i rzucił okiem na coś w rodzaju notatnika, który trzymał w mizernej i chudej jak szczapa, typowej dla Obcych dłoni.

- Artur Dent? - zapytał.

Artur bezradnie kiwnął głową.

- Artur Filip Dent? - dodał Obcy, wydając z siebie coś w rodzaju przenikliwego szczeknięcia.

- Ee... ee... tak... ee... ee... - potwierdził Artur.

- Jesteś cymbałem - powtórzył Obcy. - Jesteś najprawdziwszym durniem.

- Ee...

Obcy sam sobie przytaknął, kiwając potwierdzająco głową, postawił w notatniku obco wyglądającego ptaszka, szybko odwrócił się i ruszył żwawo do statku, którym przed chwilą przybył.

- Ee... - powiedział Artur desperacko - ee...

- Nie odzywaj się tak do mnie! - warknął Obcy.

Wszedł na trap, minął luk i zniknął w środku. Statek zamknął się i po chwili rozległo się głębokie i pulsujące buczenie.

- Eee... hej! - wykrzyknął Artur i zaczął niemrawo biec w jego kierunku. - Moment! Co to ma znaczyć? Zaraz! Czekaj!

Statek zaczął się unosić, choć dość dziwnie - sprawiał wrażenie, jakby pozbywał się własnego ciężaru. Na chwilę zawisł w powietrzu, potem jednak wystrzelił w niezwyklej sposób w wieczorne niebo. Przeleciał przez chmury, które na moment rozblysnęły jasnym światłem, i tyle go było, Artur zaś, bezradnie podrygując i podskakując w miejscu, został sam w środku niezmiernych połąci ziemi.

- Co?! - wył. - Co powiedziałeś? Co jestem? Czekaj no! Wracaj natychmiast i powiedz to jeszcze raz!

Skakał i podrygiwał, aż zaboląły go nogi, krzyczał, aż zaczęło mu charczeć w płucach. Nikt nie odpowiadał. Nie było nikogo, kto mógłby go usłyszeć albo chciał porozmawiać.

W tym właśnie momencie obcy statek kosmiczny z dudnieniem zbliżał się do górnych warstw atmosfery, skąd zaraz wyleci w przerażającą pustkę, która oddziela od siebie niesamowicie małą liczbę istniejących we wszechświecie rzeczy. Jego właściciel, Obcy z niezwykłą cerą, rozparł się w fotelu. Nazywał się Wowbagger Nieskończenie Przedłużony i był człowiekiem z zasadami. Sam pierwszy by przyznał, że nie były one zbyt dobre, ale liczyło się przede wszystkim to, że ma zasady. Poza tym utrzymywały go w ruchu.

Wowbagger Nieskończenie Przedłużony był - znaczy się, jest - jednym z bardzo niewielu nieśmiertelnych we wszechświecie. Ci, którzy rodzą się jako nieśmiertelni, wiedzą instynktownie, jak radzić sobie z wiecznym życiem, Wowbagger niestety do nich nie należał. Prawda jest taka, że od pewnego momentu zaczął wręcz nienawidzić tej sfory pogodnych łobuzów. Nieśmiertelność przytrafiła mu się zupełnie niechcący, z powodu nieszczęśliwego wypadku z przyspieszaczem cząstek, który nagle stracił rozum, płynnym obiadem i paroma gumowymi krążkami. Dokładne szczegóły tego nieszczęśliwego wypadku nie grają roli, gdyż nikomu nie udało się powtórzyć warunków, w jakich do niego doszło, wiele zaś osób, które tego próbowały, wyszło na głupków, zginęło albo i jedno, i drugie.

Wowbagger podenerwowany i zmęczony zamknął oczy, znalazł w radiu pokładowym stację nadającą lekki jazz i po raz kolejny stwierdził, że mógłby poradzić sobie z nieśmiertelnością, gdyby nie te przekłete niedzielne popołudnia. Naprawdę mógłby sobie z nią poradzić.

Na początku nieśmiertelność sprawiała mu przyjemność. Pysnie się bawił narażaniem życia, podejmowaniem śmiertelnego ryzyka, zgarnianiem olbrzymich sum z wysoko oprocentowanych, długoterminowych lokat kapitału i w ogóle życiem dłużej od kogo się da. Po pewnym czasie okazało się jednak, że nie może dojść do ładu z niedzielnymi popołudniami i okropną niechęcią do robienia czegokolwiek, która zaczyna się około godziny 2.55, gdy człowiek stwierdza, że już wziął tyle kąpieli, ile jest sens brać jednego dnia, że bez względu na to, jak intensywnie będzie się wpatrywać w artykuł w gazecie, nigdy go naprawdę nie przeczyta ani nie będzie stosować omawianej w nim nowej rewelacyjnej techniki obrzezywania oraz że wskazówki nieubłagane zbliżają się do godziny czwartej i zaraz zacznie się długa, ponura godzina, kiedy dusza pije herbatę.

W ten sposób coraz więcej rzeczy przestawało mieć urok. Z twarzy Wowbaggera zaczął znikać uśmiech zadowolenia, który zwykle prezentował na pogrzebach kolejnych znajomych. Zaczął pogardzać wszechświatem jako takim, a w szczególności każdym jego mieszkańcem.

Wtedy przyjął pewne życiowe zasady. Podjął się zadania, które da mu cel w życiu i - w takiej mierze, w jakiej mógł to przewidzieć - pozwoli zachować werwę po wsze czasy.

Podjął decyzję, że będzie lżył wszechświat. To znaczy: będzie obrzucać wyzwiskami każdą istotę we wszechświecie. Indywidualnie, osobiście, jedną po drugiej i (z tego powodu naprawdę radośnie zgrzytał zębami) w kolejności alfabetycznej.

Gdy ten i ów - co czasem się zdarzało - rezonował, że plan jest nie tylko nie przemyślany, lecz po prostu niemożliwy do wykonania z powodu wielkiej liczby istot, które ciągle się rodzą i umierają, wbijał w adwersarza lodowaty wzrok i mówił:

- Chyba wolno mężczyźnie mieć marzenia?

Tak więc zaczął. Wyposażył specjalnie zbudowany statek kosmiczny w komputer zdolny do opracowywania danych potrzebnych do stałego aktualizowania wiedzy o ludności znanego wszechświata i obliczania wynikających z tego niesamowicie skomplikowanych tras podróży.

Właśnie teraz statek przecinał orbity planet Układu Słonecznego i szykował się do okrążenia Słońca, by wystrzelić jak z procy w przestrzeń międzygwiazdną.

- Komputer! - odezwał się Wowbagger.

- Jestem! - wrzasnął komputer.

- Dokąd teraz?

- Właśnie obliczam.

Wowbagger przez chwilę patrzył na wspaniałe klejnoty nocy, miriady małych diamentowych światów, obsypujących światłem nieskończoną ciemność. Każdy, dosłownie każdy z nich leżał na jego drodze. Większość odwiedzi miliony razy.

Przez chwilę wyobrażał sobie trasę swej podróży, łącząc planety linią, jak przy grze z ponumerowanymi punktami. Miał nadzieję, że powstały wykres, widziany z odpowiednio dobranego miejsca we wszechświecie, okaże się bardzo nieprzyzwoitym słowem.

Komputer zapiszczał niemelodyjnie, informując, że jest gotów z obliczeniami.

- Folfanga - stwierdził. Zapiszczał. - Czwartha planeta w systemie Folfanga - dodał. Znów zapiszczał. - Przewidywany czas podróży trzy tygodnie. - Znów zapiszczał. - Spotkamy tam małego rozrabiakę - zapiszczał - z plemienia A-Rth-Urp-Hil-Jpdenu. Zdaje mi się - dodał po małej przerwie, w czasie której piszczał - że zdecydowałeś się określić go jako bezmózgiego dupka.

Wowbagger zacharczał. Przez chwilę oglądał majestat Stworzenia za oknami.

- Myślę, że utnę sobie małą drzemkę. Przez rejon jakich stacji telewizyjnych będziemy przelatywać w ciągu najbliższych kilku godzin?

Komputer zapiszczał.

- Kosmowid, Myślöpix i Domowa Łebska Skrzynka - zapiszczał.

- Jakies filmy, których nie widziałem już trzydzieści tysięcy razy?

- Nie.

- No cóż...

- Dają *Strach w kosmosie*. Widziałeś go dopiero trzydzieści trzy tysiące pięćset siedemnaście razy.

- Obudź mnie na drugą połowę.

Komputer zapiszczał.

- Przyjemnych snów.

Statek leciał przez noc.

W tym czasie na Ziemi zaczęło lać jak z cebra. Artur Dent siedział w jaskini i przeżywał jeden z najpodlejszych wieczorów swego życia. Po głowie chodziło mu, co mógł powiedzieć Obcemu, i rozgniatł muchy, które też miały podły wieczór.

Następnego dnia zrobił sobie torbę z króliczego futra, uznał bowiem, że może mu się przydać do chowania różnych rzeczy.

Rozdział 2

Minęły dwa lata od wizyty Wowbaggera. Poranek był łagodny i pachnący. Artur wypełził z jaskini, którą nazywał swym domem - dopóki nie znajdzie się lepsze określenie lub lepsza jaskinia. Mimo że gardło znów go bolało od porannego krzyku przerażenia, był ni stąd, ni zowąd w szalenie dobrym humorze. Szczelnie owinął się swym wyświechtanym szlafrokiem i promiennie uśmiechnął się do poranka.

Powietrze było czyste i pachnące, w wysokiej trawie wokół jaskini igrał lekki wiaterek, ptaki szczebiotały do siebie, motyle trzepotały ładnie to tu, to tam i cała przyroda sprawiała wrażenie, że sprzysięgła się być tak miła, jak to tylko możliwe.

Jednak nie te wiejskie rozkosze powodowały, że Artur czuł się wesoło. Radość brała się stąd, że wpadł mu do głowy bajeczny pomysł, jak poradzić sobie ze straszliwą samotnością, majakami sennymi, fiaskiem prób założenia ogrodu, absolutnym brakiem perspektyw i bezsenssem życia na prehistorycznej Ziemi. Pomysł polegał na tym, by zwariować. Znów się rozpromienił i oderwał zębami kawałek mięsa z króliczej nogi, która została z kolacji. Przez chwilę żuł szczęśliwy, potem postanowił oficjalnie ogłosić swą decyzję.

Wstał, ruszył pewnym krokiem i wbił wzrok w pola i wzgórza. By nadać swym słowom wagę, wetknął we włosy króliczą kość. Szeroko rozpostarł ramiona.

- Wariuję! - oznajmił.

- Świetny pomysł - powiedział Ford Prefect, złażąc ze skały, na której siedział.

Mózg Artura zaczął wykonywać salta. Jego szczeka zaczęła robić pompki.

- Przez pewien czas też byłem wariatem - powiedział Ford. - Szalenie dobrze mi to zrobiło.

Oczy Artura rozpoczęły kręcenie młynka.

- Wyglądasz... - zaczął Ford.

- Gdzie się podziewałeś? - przerwał mu Artur, kiedy poszczególne części jego głowy skończyły zestaw ćwiczeń.

- Wszędzie - powiedział Ford. - Tu i tam. - Wyszczerył zęby w sposób, o którym doskonale wiedział, że wywołuje u jego rozmówców chęć chodzenia po ścianach. -

Pozwoliłem swemu rozumowi dostać na jakiś czas fioła. Uznałem, że jeśli świat będzie mnie potrzebował, to się zgłosi. Tak też się stało.

Z okropnie wyświechtanej i torby wyjął czujnikomat sub-eta.

- Przynajmniej tak mi się wydaje. Ten mądrała niedawno wydał z siebie kilka dźwięków.
- Ford potrząsnął czujnikomatem. - Jeśli to był fałszywy alarm, zwariuję. Oszaleję z powrotem.

Artur potrząsnął głową i usiadł. Spojrzał w górę na Forda.

- Myślałem, że nie żyjesz... - powiedział prosto z mostu.

- Przez jakiś czas tak było - powiedział Ford - ale potem postanowiłem zostać na parę tygodni cytryną. Szaloną przyjemność sprawiało mi wskakiwanie i wyskakiwanie z ginu z tonikiem.

Artur odchrząknął. Zaraz potem odchrząknął jeszcze raz.

- Gdzie do diabła...? - spytał.

- ...znalazłem gin z tonikiem? - dokończył wesoło Ford. - Znalazłem jeziorko, które uważało, że jest pełne ginu z tonikiem, więc wskakiwałem do niego i wyskakiwałem. Przynajmniej wydaje mi się, iż uważało, że jest pełne ginu z tonikiem... Może jednak - dodał z uśmiechem, na widok którego każdy roztropny człowiek wdrapałby się na drzewo - tylko tak sobie ubzdurałem...

Czekał na reakcję ze strony Artura, ten jednak nie był aż tak głupi.

- Opowiadaj dalej - poprosił z rezygnacją.

- Sedno sprawy tkwi w tym, rozumiesz - ciągnął Ford - że nie ma sensu doprowadzać się do szaleństwa bronieniem się przed szaleństwem. Tak samo dobrze można przestać się męczyć i zachować rozsądek na późniejszy użytek.

- Jesteś znów przy zdrowych zmysłach czy nie? - zapytał Artur. - Pytam z czystej ciekawości.

- Byłem w Afryce - odparł Ford.

- Naprawdę?

- Naprawdę.

- I jak tam było?

- A więc to jest twoja jaskinia? - zapytał Ford.

- No tak...

Artur czuł się bardzo dziwnie. Prawie po czterech latach izolacji tak się cieszył i czuł taką ulgę na widok Forda, że mógłby się rozryczeć. Z drugiej strony Ford był typem, który natychmiast działał na nerwy.

- Bardzo miła - uznał Ford, patrząc na jaskinię Artura. - Musisz jej naprawdę nienawidzić. Artur nie zadał sobie trudu, by odpowiedzieć.

- Afryka była bardzo ciekawa - ciągnął Ford. - Zachowywałem się tam bardzo osobliwie.
- Zamyślony gapił się w dal. - Zacząłem być okrutny dla zwierząt - rzucił od niechcenia - ale jedynie dla hobby.

- Aha... - ostrożnie podtrzymał temat Artur.

- Naprawdę - zapewnił Ford. - Nie chciałbym się jednak naprzykrzać z detalami, gdyż...

- Gdyż?

- ...mogłyby być dla ciebie przykre. Może cię mimo wszystko zainteresuje, że wyłącznie ja jestem odpowiedzialny za formę zwierzęcia, które w swojej epoce poznałeś jako żyrafę. Próbowałem też uczyć się latać. Wierzysz mi?

- Opowiedz.

- Kiedy indziej. Chciałbym tylko nadmienić, że *Autostopem* mówi...

- Auto...?

- *Autostopem*. Przewodnik *Autostopem* przez *Galaktykę*. Pamiętasz go jeszcze?

- Oczywiście. Pamiętam, że wrzuciłem go do rzeki.

- No tak - rzekł Ford - a ja go wyłowilem.

- Nie mówiłeś o tym.

- Nie chciałem, żebyś wrzucił go tam jeszcze raz.

- Rozumiem - zgodził się Artur. - I co mówi?

- Kto?

- *Autostopem*. Co mówi *Autostopem*?

- *Autostopem* mówi, że latanie to sztuka, a raczej sztuczka. Polega na tym, by rzucić się na ziemię i nie trafić w nią. - Uśmiechnął się słabo. Wskazał na kolana spodni i podniósł ręce, by pokazać łokcie. Były tam same dziury. - Na razie niezbyt mi idzie - powiedział. Wyciągnął rękę. - Arturze, bardzo się cieszę, że cię widzę.

Z nagłym napływem wzruszenia i zadziwienia Artur pokręcił głową.

- Przez lata nie widziałem nikogo na oczy - powiedział. - Nikogo. Prawie już zapomniałem, jak się mówi. Ciągle zapominam słowa... choć ćwiczę, mówiąc... do tych... no... Jak nazywa się to, do czego nie wolno mówić, bo ludzie pomyślą, że jest się wariatem? Jak Jerzy III.

- Królowie? - zaproponował Ford.

- Nie, nie - powiedział Artur. - Te przedmioty, z którymi zwykle rozmawiał. Jesteśmy nimi otoczeni, na miłość boską! Sam posadziłem setki. Wszystkie uschły. Drzewa! Ćwiczę, rozmawiając z drzewami... A co to ma znaczyć?

Ford ciągle jeszcze wyciągał rękę. Artur patrzył na nią, nic nie rozumiejąc.

- Uściśnij - rozkazał Ford.

Artur wykonał polecenie. Z początku niepewni jakby nagle mogło się okazać, że to nie ręka, ale ryba. Potem z przytępieniem ulgi złapał ją mocno w obie dłonie. Ścisnął i ścisnął.

Po chwili Ford uznał za wskazane zabrać rękę.

Wspięli się na czubek pobliskiej skały i oglądali otaczający pejzaż.

- Co się stało z ludźmi z Golgafrinchamu? - zapytał Ford.

Artur wzruszył ramionami.

- Wielu nie wytrzymało zimy przed trzema laty - odparł - a tych paru, których zostało, powiedziało na wiosnę, że muszą mieć wakacje, i prysnęło tratwą. Historia uczy nas, że musieli utrzymać się przy życiu...

- Aha - skwitował to Ford - no, no... - Wziął się pod boki i znów zaczął się rozglądać po pustym świecie. Nagle pojawiło się w nim coś energicznego i zdecydowanego.

- Ruszamy - powiedział, drżąc podniecony z nadmiaru energii.

- Dokąd? Jak? - zapytał Artur.

- Nie wiem - odparł Ford - ale czuję, że nadszedł czas. Coś się szykuje. Już ruszyliśmy w drogę. - Zniżył głos do szeptu. - Odkryłem zawirowania w strumieniu.

Z wysiłkiem patrzył w dal i sprawiał wrażenie, że bardzo by mu odpowiadało, gdyby wiatr zwiewał mu dramatycznie włosy z czoła, wiatr był jednak zajęty nieopodal wygłupianiem się z paroma liśćmi.

Artur poprosił o powtórzenie, gdyż niedokładnie zrozumiał sens. Ford powtórzył.

- W strumieniu? - Artur dalej nic nie rozumiał.

- W strumieniu czasoprzestrzeni - wyjaśnił Ford, a ponieważ w tym samym momencie wiatr przefrunął obok nich, wyszczerzył do Artura zęby.

Artur skinął głową, potem odchrząknął.

- Mówię o wirach w przestrzeni.

- Masz na myśli - zapytał ostrożnie - coś w rodzaju rzeczki, w której kąpią się Vogoni? O tym mówisz?

- Mówię o wirach w kontinuum czasoprzestrzeni. - kiwnął głową Ford.

- Wiry... A więc to one?

Wsunął ręce w kieszenie szlafroka i spojrzał rozumnie w dal.

- Co? - zapytał Ford.

- Ee... kto to jest w zasadzie Wir?

Ford patrzył podrażniony.

- Mógłbyś raz usłyszeć, co mówię? - kłapnął Ford.

- Słuchałem cały czas - odparł Artur - ale nie jestem pewien, że to coś dało.

Ford złapał go za kołnierz szlafroka i zaczął mówić tak powoli, wyraźnie i cierpliwie, jakby był pracownikiem Ośrodka Rozliczeniowego Poczty i Telekomunikacji.

- Wygląda na to, że... istnieje kilka miejsc... z zakłóceniami... w strukturze...

Artur patrzył głupio na tę część szlafroka, którą złapał Ford. Ford zaczął mówić dalej, zanim Artur zdążył zamienić głupie spojrzenie w głupią uwagę.

- ...w strukturze przestrzeni i czasu - skończył.

- Ach, to tak... - Artur uśmiechnął się.

- Tak, dokładnie tak - potwierdził Ford.

Stali na jakiejś górze na prehistorycznej Ziemi i rezolutnie patrzyli sobie w oczy.

- I co to wywołało?

- Wywołało - odparł Ford - powstanie stref destabilizacji.

- Rzeczywiście? - zapytał Artur, którego oczy na chwilę przestały wybiegać na boki.

- Rzeczywiście - odpowiedział Ford z podobnie nieustępliwym spojrzeniem.

- To dobrze! - ucieszył się Artur.

- Rozumiesz już? - spytał Ford.

- Nie.

Przez chwilę było bardzo cicho.

- Trudność tej rozmowy polega na tym - oświadczył Artur, przybierając zamyśloną minę, która wpełzła mu na twarz powoli, jak alpinista pokonujący pełną pułapek pionową ścianę - że jest zupełnie inna od większości rozmów, które prowadziłem w ostatnim czasie. Jak ci już wyjaśniałem, odbywały się zwykle z drzewami. Nie były podobne do naszej. Może poza kilkoma dyskusjami z wężami tkwiącymi gdzieś w bagnie.

- Arturze... - ostrzegawczo przerwał Ford.

- Tak? Słucham?

- Uwierz po prostu w to, co mówię, i wszystko stanie się proste, bardzo proste.

- Trudno mi w to uwierzyć.

Ford wyjął czujnikomat sub-eta. Wydawał on z siebie nieokreślone buczące dźwięki i słabo migotała jego mała lampka.

- Baterie się wyczerpały? - spytał Artur.

- Nie, po strukturze czasoprzestrzeni błąka się zakłócenie, wir, strefa destabilizacji i jest tu gdzieś w pobliżu.

- Gdzie?

Ford powoli poruszał przyrządem, zakreślając drżące lekko półkole. Wtem lampka zapłonęła ciągłym światłem.

- Tam! - krzyknął Ford, wyciągając rękę. - Tam za kanapą!

Artur spojrzał we wskazanym kierunku. Ku wielkiemu zaskoczeniu zauważył, że na polu przed nimi stoi kanapa w stylu chesterfieldzkim, obita aksamitem w paisleyowskie wzory. Gapił się na nią w wysoce inteligentny sposób. Do głowy zaczęły mu przychodzić sprytnie pytania.

- Dlaczego na polu stoi kanapa? - zapytał.

- Przecież ci mówiłem! - zawołał Ford, zrywając się na nogi. - Wiry w strukturze czasoprzestrzeni!

- I to ich kanapa? - zapytał Artur, który powoli wstawał i - jak miał nadzieję (aczkolwiek niezbyt wielką) - powoli zaczynał rozumieć, o co chodzi w całej historii.

- Artur! - wrzasnął Ford. - Kanapa stoi tam z powodu zakłóceń w strukturze czasoprzestrzeni, co cały czas chcę uświadomić twemu nieuleczalnie rozmiękłemu mózgowi. Została wyrzucona z czasoprzestrzeni, jest śmieciem wyrzuconym na brzeg przez fale przestrzeni i czasu. Nieważne, czyja jest - musimy ją złapać, bo jest naszą jedyną szansą, by się stąd wydostać!

Szybko zlazł ze skały i pognał przez pole.

- Złapać? - wymamrotał Artur, potem rozbawiony zmarszczył czoło, zobaczył bowiem, że kanapa odpływa w dal, ociążale podskakując.

Z okrzykiem zupełnie nieoczekiwanego zachwytu zeskoczył ze skały i podniecony rzucił się za Fordem i niedorzecznym meblem. Biegali radośnie po trawie, podskakiwali, śmiali się, wykrzykiwali do siebie polecenia, by nagać kanapę to z tej, to z tamtej strony. Słońce z rozmarzeniem świeciło na kołyszącą się trawę, a polne owady latały za nimi jak oszalałe.

Artur czuł się szczęśliwy. Był szalenie zadowolony z tego, że dzień przebiega wreszcie zgodnie z planem. Zaledwie dwadzieścia minut temu postanowił zwariować, a już gnał po polach prehistorycznej Ziemi, ścigając kanapę w stylu chesterfieldzkim.

Kanapa podskakiwała to tu, to tam i sprawiała wrażenie zarówno tak twardej jak drzewa, obok których szybowała, jak i eterycznej niby rozplwający się sen, gdy przenikała przez drzewa niczym duch.

Ford i Artur biegli za nią niezdarnie i bezładnie, kanapa robiła uniki i kluczyła, jakby kierowała się skomplikowaną matematyczną topografią, co było zresztą prawdą. Dalej ją gonili, a ona w dalszym ciągu tańczyła i wirowała, aż nagle zawróciła i skuliła się, jakby miała uciec poza wykres szykującej się katastrofy - w tym jednak momencie prawie na niej siedzieli. Robiąc wielkiego susa i wydając gromki okrzyk, wskoczyli na kanapę. W tej chwili Słońce ześlizgnęło się z horyzontu, oni zaś spadli w otchłań pustki i nieoczekiwanie wynurzyli się na środku murawy Królewskiego Klubu Krykietowego w St. John's Wood w Londynie, i to pod koniec ostatniego meczu mistrzostw - przeciw Australii - w roku tysiąc dziewięćset osiemdziesiątym którymś, gdy Anglii do zwycięstwa brakowało zaledwie dwudziestu ośmiu punktów.

Rozdział 3

Fakty, które warto zapamiętać z historii Galaktyki, nr 1 (według *Popularnej historii Galaktyki* „Codziennego Kuriera Gwiezdnego”):

Nocne niebo nad planetą Krikkit jest najbardziej nieciekawym widokiem w całym wszechświecie.

Rozdział 4

Był uroczy, zachwycający dzień, gdy Ford i Artur wykoziółkowali z anomalii czasoprzestrzeni i spadli na nieskazitelną murawę Królewskiego Klubu Krykietowego.

Aplauz tłumu był ogłuszający. Nie dotyczył ich, ale mimo to instynktownie się uklonili.

Całe szczęście, gdyż mała, ciężka czerwona piłka, którą oklaskiwał tłum, przeleciała z gwizdem milimetry nad głową Artura. W tłumie zemdłał mężczyzna.

Rzucili się na plecy, ziemia zdawała się w dość niemiły sposób wirować wokół nich.

- Co to było? - syknął Artur.

- Coś czerwonego - odsyknął Ford.

- Gdzie jesteśmy?

- Ee, na czymś zielonym.

- Kształty - wymruczał Artur. - Muszę zobaczyć kształty.

Aplauz został gwałtownie zastąpiony zdziwionymi posapywaniami i zmieszany chichotami setek ludzi, którzy nie mogli się jeszcze zdecydować, czy chcą uwierzyć w to, co przed chwilą ujrzeli, czy nie.

- Kanapa należy do obywateli? - zapytał jakiś głos.

- Co to było? - wyszeptał Ford.

Artur uniósł wzrok.

- Coś niebieskiego - odparł.

- Ma konkretny kształt? - zapytał Ford.

Artur popatrzył jeszcze raz.

- Wygląda - syknął wściekle, marszcząc brwi - jak policjant.

Na chwilę przycupnęli, rzucając wokół siebie ponure spojrzenia. Niebieska rzecz w kształcie policjanta postukała Forda i Artura w ramiona.

- No, wy dwaj - powiedział kształt - ruszamy się.

Słowa te zadziały na Artura jak porażenie prądem. Skoczył w górę jak pisarz słyszący dzwonek telefonu i rzucił serię przestraszonych spojrzeń na roztaczającą się wokół panoramę, która nagle okazała się czymś przerażająco zwyczajnym.

- Skąd pan to ma? - wrzasnął na policyjny kształt.

- Mam co? - Kształt był mocno zdziwiony.

- To przecież Królewski Klub Krykietowy, nie? Gdzie pan go znalazł, jak pan go tu przyniósł? Myślę - dodał Artur, łapiąc się za głowę - że będzie najlepiej, jak się uspokoję.

Gwałtownie usiadł przed Fordem.

- To policjant! - poinformował go. - Co teraz zrobimy?

Ford wzruszył ramionami.

- A co chciałbyś robić?

- Chcę, żebyś powiedział mi, że przez ostatnie pięć lat śniłem - odparł Artur.

Ford wzruszył ramionami i zrobił, co mu kazano.

- Przez ostatnie pięć lat śniłeś - oznajmił.

Artur wstał.

- W porządku, panie wachmistrzu - powiedział. - Przez ostatnie pięć lat śniłem. Niech pan zapyta jego - dodał, wskazując na Forda. - Występował w tym śnie.

Po tych słowach ruszył wolnym krokiem w kierunku linii autowej, wygładzając po drodze szlafrok. Nagle zobaczył, że ma go na sobie, i się zatrzymał. Zaczął wpatrywać się w swój strój i ruszył biegiem w kierunku policjanta.

- Skąd mam to ubranie?! - wrzasnął.

Nagle złamał się wpół jak scyzoryk i padł w drgawkach na murawę.

Ford potrząsnął głową.

- Ma za sobą trudne dwa miliony lat - wyjaśnił policjantowi. Wspólnie dźwignęli Artura na kanapę i zaczęli go znosić z murawy. Nieco im przeszkodziło nagłe rozpląnięcie się kanapy w powietrzu.

Reakcje publiczności na te wydarzenia były różnorodne. Większość obecnych nie umiała poradzić sobie z widokiem i zamiast patrzeć, słuchała sprawozdania radiowego.

- Ciekawy incydent, Brian - powiedział pierwszy sprawozdawca do drugiego. - Zdaje mi się, że na boiskach krykietowych nie było zagadkowych materializacji od... no od... hm, chyba nigdy nie było... Były?... Czy o czymś nie pamiętam?

- O Edgbaston w tysiąc dziewięćset trzydziestym drugim...

- No tak, cóż się wtedy stało...?

- Jeśli dobrze pamiętam to w momencie, gdy Willcox miał rzucać na Cantera, od strony pawilonu nagle przez boisko przebiegł jakiś widz.

Nastąpiła chwila ciszy, pierwszy sprawozdawca myślał.

- Taa... aa... ak... - powiedział - oczywiście... ale tak naprawdę nie było przecież w tym nic tajemniczego... Nie zmaterializował się, po prostu przebiegł przez boisko.

- Zgoda, ale twierdził, że widział, jak coś się zmaterializowało na murawie.

- Naprawdę?

- Tak. Krokodyl, jeśli się nie mylę, krokodyl jakiegoś gatunku.

- Ach! Czy ktoś jeszcze go widział?

- Najwyraźniej nie. Nikomu nie udało się wydusić z tego człowieka dokładnego opisu, dlatego szukano bardzo pobieżnie.

- I co się z nim stało?

- Hm, chyba ktoś zaproponował, że weźmie go na obiad, on jednak zapewniał, że jadł już lunch i to całkiem niezły, stąd przestano zajmować się sprawą i kontynuowano mecz. Warwickshire wygrało trzema bramkami.

- To jednak zupełnie coś innego niż dzisiejsza historia. Tych bowiem z państwa, którzy właśnie włączyli odbiorniki, zainteresuje być może, że eee... na boisku Królewskiego Klubu Krykietowego zmaterializowało się dwóch mężczyzn, dwóch dość obdartych mężczyzn, oraz kanapa... chesterfieldzka, mam rację...?

- Tak, chesterfieldzka.

- Wygląda jednak na to, że nie mają złych zamiarów, są całkowicie łagodni i...

- Przepraszam, Peter, jeśli wolno na krótko przerwać, chcę powiedzieć, że kanapa właśnie zniknęła.

- Rzeczywiście. No to o jedną zagadkę mniej. Mimo wszystko to coś godnego zanotowania w historii krykieta, szczególnie że wydarzyło się w tak dramatycznym momencie gry, kiedy Anglii do zwycięstwa w turnieju wystarczy zdobyć jedynie dwadzieścia cztery punkty. Mężczyźni właśnie opuszczają murawę w towarzystwie funkcjonariusza policji i myślę, że wszyscy się zaraz uspokoją, a gra zostanie wznowiona.

- A więc, proszę pana - zaczął policjant, gdy utorowali sobie drogę przez ciekawski tłum i położyli na kocu nieruchome ciało Artura - może będzie pan tak uprzejmy i opowie mi, kim jesteście, skąd przybywacie i co miało znaczyć to przedstawienie.

Ford przez chwilę patrzył w ziemię, jakby w jakimś celu próbował skoncentrować siły, potem wyprostował się i rzucił policjantowi spojrzenie, które trafiło go całą potęgą każdego centymetra odległości sześciu lat świetlnych między Ziemią i ojczyzną Forda w okolicy Betelgeuse.

- W porządku - rzekł Ford bardzo spokojnie. - Opowiem panu.

- Nie, to niekonieczne - pośpiesznie przerwał policjant - i choć nie wiem, co to miało znaczyć, proszę uważać, by nie zdarzyło się ponownie. - Policjant odwrócił się i odszedł, szukając kogoś, kto nie pochodzi z Betelgeuse. Na szczęście plac był pełen takich ludzi.

Świadomość Artura powracała do jego ciała z bardzo daleka i szalenie opornie. Była ostrożna, ostatnio przeżyła w nim bowiem przerażające momenty. Powoli i ze strachem wślizgnęła się do środka i usadowiła na swym miejscu.

Artur usiadł.

- Gdzie jestem? - zapytał.

- W Królewskim Klubie Krykietowym - powiedział Ford.

- Wspaniale - uznał Artur, na co jego świadomość jeszcze raz pośpieszyła na zewnątrz, by zaczerpnąć powietrza. Ciało znów zważyło się na murawę.

Dziesięć minut później Artur siedział w namiocie z napojami, pochylony nad filiżanką herbaty, a na wymęczoną twarz powoli wracały mu rumieńce.

- Jak się czujesz? - zapytał Ford.

- Jestem w domu - ochryple odparł Artur. Zamknął oczy i chciwie wdychał aromat herbaty, jakby to była... - o ile znał się na rzeczy - herbata. Rzeczywiście była to herbata. - Jestem w domu - powtórzył - w domu. To Anglia, terażniejszość, majaki senne minęły. - Znów otworzył oczy i pogodnie się uśmiechnął. - Jestem, gdzie moje miejsce - wyszeptał z przejęciem.

- Wydaje mi się, że powinienem powiedzieć ci dwie rzeczy - odezwał się Ford, podsuwając mu przez stół „Guardiana”.

- Jestem w domu... - powtórzył Artur.

- Cóż, po pierwsze - Ford wskazał na datę wydania gazety - Ziemia za dwa dni zostanie zniszczona.

- Jestem w domu - jeszcze raz powtórzył Artur. - Herbata... krykiet... dobrze przystrzyżone trawniki, drewniane ławki, białe płócienne marynarki, piwo w puszkach... - Jego oczy zaczęły się powoli koncentrować na gazecie. Z lekkim zmarszczeniem czoła odwrócił głowę. - Już ją widziałem - powiedział. Jego oczy powoli powędrowały ku dacie, w którą Ford leniwie stukał palcem. Na jedną, dwie sekundy twarz Artura zlodowaciała, zaraz zaczęła jednak wykonywać sztuczkę z niesamowicie powolnym osuwaniem się, którą w tak frapujący sposób mają opanowaną zwały wiosennej kry na Antarktydzie.

- Po drugie - dodał Ford - wszystko wskazuje na to, iż w brodzie wisi ci kość. - Odsunął filiżankę z herbatą.

Przed namiotem z napojami słońce świeciło na zadowoloną publiczność. Świeciło na białe kapelusze i czerwone twarze... Świeciło na lody na patyku i je rozpuszczało. Świeciło na lzy małych dzieci, których lody właśnie się rozpuściły i spadły z patyków. Świeciło na drzewa, błyskało na wirujących krykietowych kijach i odbijało się od niezwykłego obiektu, który zaparkował za otaczającymi stadion planszami i którego najwyraźniej nikt nie zauważył. Wylało kubek żaru na Forda i Artura, gdy mrużąc oczy, wyszli z namiotu i zaczęli rozglądać się dookoła.

Artur dygotał.

- Może powinienem...

- Nie! - odparł ostro Ford.

- Co? - zapytał Artur.

- Nie próbuj dzwonić do siebie do domu.

- Skąd wiedziałeś, że...?

Ford wzruszył ramionami.

- Właściwie to dlaczego nie? - spytał Artur.

- Człowiek rozmawiający z sobą samym przez telefon nigdy nie dowiaduje się przy tym niczego dobrego - odparł Ford.

- Ale...

- No to patrz! - kazał Ford. Sięgnął po wymyśloną słuchawkę i wykręcił wymyślony numer. - Halo? - powiedział do wymyślonego mikrofonu. - Czy zastałem Artura Denta? Halo, tak... mówi Artur Dent. Proszę nie odkładać słuchawki! - Rozczarowany przyglądał się wymyślonemu słuchawce. - Odłożył. - Wzruszył ramionami i ostrożnie położył wymyśloną słuchawkę na wymyślonych widelkach. - To nie pierwsza moja anomalia czasowa - zakończył.

Wystarczająco już rozdrażniona mina Artura Denta została zastąpiona jeszcze bardziej rozdrażnioną.

- A więc nie siedzimy w domu przy ciepłym kominku?

- Przesadą byłoby nawet twierdzić - odparł Ford - że weszliśmy do przedpokoju i wycieramy się suchym ręcznikiem.

Mecz trwał. Rzucający zaczął podchodzić do bramki długimi krokami, zmienił chód w trucht i w końcu ruszył biegiem. Nagle zmienił się w huragan rąk i nóg, z którego po chwili wyleciała piłka. Bramkarz obrócił się i trzasnął ją za siebie, aż przeleciała przez obramowanie boiska. Śledzące krzywą lotu piłki oczy Forda zdrząły. Zamarł. Znow zaczął śledzić lot piłki i znow drgnęły mu oczy.

- To nie mój ręcznik - oznajmił Artur, który właśnie grzebał w swej torbie z króliczego futra.

- Ciii... - syknął Ford. Z napięciem mrużył oczy.

- Miałem golgafrinchamski ręcznik do joggingu - upierał się Artur. - Niebieski z żółtymi gwiazdkami. To nie ten.

- Ciii... - ponownie syknął Ford. Zakrył jedno oko ręką i patrzył drugim.

- Ten jest różowy - mówił Artur. - Może to twój?

- Byłoby miło, gdybyś przestał gadać o swoim ręczniku - zezłościł się Ford.

- Nie jest mój - upierał się Artur - właśnie to chcę ci...

- Moment, w którym chciałbym cię poprosić, byś przestał gadać o ręcznikach - stwierdził Ford z groźnym pomrukiem w głosie - właśnie nadszedł.

- W porządku - zgodził się Artur i wepchnął ręcznik z powrotem do nieporadnie zszytej torby z króliczego futra. - Rozumiem, że z perspektywy kosmicznej rzecz jest prawdopodobnie nieistotna, ale nagle mieć różowy ręcznik zamiast niebieskiego z żółtymi gwiazdkami to po prostu dziwne...

Ford zaczął się zachowywać dość niezwykle. Dokładnie mówiąc, nie zaczął się zachowywać dziwnie, lecz w sposób dziwnie inny od pozostałych dziwnych sposobów swego zachowania. Oto, co robił: nie zwracając uwagi na rozbawione spojrzenia, jakie wywoływał w

oczach ludzi stojących w cisnącym się wokół boiska tłumie, pocierał sobie twarz szarpiącymi ruchami rąk, kuczał za jednymi osobami, spoza innych wyskakiwał w górę, potem zamierał w bezruchu i mrugał. W chwilę później zaczął się powoli i ukradkiem skradać, marszczył przy tym czoło w wyrazie zdziwienia i skupienia jak lampart, który nie wie zbyt dokładnie, czy w odległości kilometra nie wypatrzył właśnie na gorącej, zakurzonej równinie napoczętej puszką pokarmu dla kotów.

- Torba też nie jest moja - nagle odezwał się Artur.

Wybiło to Forda z rytmu, rozproszyło jego uwagę. Wściekły odwrócił się do Artura.

- Nie mówiłem o moim ręczniku! - uprzedził go Artur. - Już stwierdziliśmy, że ten nie jest mój. Chodzi o to, że torba, w którą chciałem wsadzić nie mój ręcznik, też nie jest moja, choć niezwykle do niej podobna. Osobiście uważam to za nadzwyczaj dziwne, zwłaszcza że sam ją zrobiłem na prehistorycznej Ziemi. Te kamienie też nie są moje - dodał, wyjmując z torby kilka płaskich szarych kamieni. - Zakładałem zbiór ciekawych kamieni, ale te, jak każdy może zobaczyć, są bardzo nudne.

Przez tłum przebiegł podniecony wrzask i zagłuszył odpowiedź Forda. Piłka krykietowa, która wywołała tę reakcję, spadła z nieba prosto do tajemniczej torby z króliczego futra, o której mówił Artur.

- Powiedziałbym, że to też bardzo dziwne - oświadczył Artur, który szybko zamknął torbę i udawał, że szuka piłki na ziemi. - Myślę, że tu jej nie ma - powiedział do chłopców, którzy zgromadzili się wokół, by wziąć udział w poszukiwaniach. - Prawdopodobnie gdzieś się potoczyła. Chyba tam. - Niejasno określił kierunek, w którym chciałby, by się ulotnili.

Jeden z chłopców patrzył szyderczo.

- Wszystko w porządku? - spytał chłopiec.

- Nie - odparł Artur.

- To dlaczego masz kość w brodzie? - zapytał chłopiec.

- Tresuję ją, by podobała jej się wszędzie, gdzie zostanie wsadzona. - Artur był dumny z ułożonego przez siebie zdania. „Coś takiego powinno bawić i pobudzać młode umysły” - pomyślał.

- Hm - powiedział chłopiec, schylił głowę na bok i zastanawiał się. - Jak się nazywasz?

- Dent - odpowiedział Artur. - Artur Dent.

- Jesteś cymbałem, Dent - rzekł chłopiec. - Jesteś najprawdziwszym durniem.

Chłopiec patrzył na coś obok, by udowodnić, że nieszczególnie mu się śpieszy z uciekaniem; po chwili odszedł wolnym spacerkiem, drapiąc się po nosie. Artur nagle sobie przypomniał, że za dwa dni Ziemia będzie ruiną, tym razem jednak ta myśl niezbyt go zabolala.

Wznowiono mecz nową piłką. Słońce w dalszym ciągu świeciło, a Ford ciągle skakał w górę i w dół, potrząsał głową i mrugał.

- Coś ci chodzi po głowie, prawda? - zapytał Artur.

- Zdaje mi się - odparł Ford tonem, który Artur zdążył już poznać jako ton, którym Ford przepowiadał zupełnie niepojęte rzeczy - że jest przed nami NTP.

Wskazał palcem. Dziwnym trafem kierunek, który wskazywał, nie pokrywał się z kierunkiem jego spojrzenia. Artur najpierw spojrzał w jednym kierunku, to znaczy na obramowania boiska, potem w drugim - na murawę. Kiwnął głową, wzruszył ramionami. Jeszcze raz wzruszył ramionami.

- Co? - zapytał Artur.

- NTP.

- N...?

- ...TP.

- A co to jest?

- Nie Twój Problem.

- Aha. To dobrze. - Artur się rozluźnił. Nie miał pojęcia, o czym mówią, ale przynajmniej było po wszystkim. Mylił się.

- Tam z przodu - powiedział Ford, znów wskazując na obramowania i patrząc na murawę.

- Gdzie?

- Tam!

- Widzę - zapewnił Artur, nic nie widząc.

- Naprawdę?

- Co?

- Jesteś w stanie - spytał Ford cierpliwie - widzieć NTP?

- Zdaje mi się, że powiedziałeś, że to nie mój problem.

- Tak powiedziałem.

Artur powoli, ostrożnie i z wyrazem niesamowitej tępoty skłonił głowę.

- Chciałbym wiedzieć, czy jesteś w stanie to zobaczyć - powiedział Ford.

- A ty widzisz?

- Tak.

- A jak to wygląda? - zapytał Artur.

- Skąd mam to, do pioruna, wiedzieć, cymbale? - wykrzyknął Ford. - Jeśli widzisz, to mi opisz.

Artur poczuł tuż pod skroniami tępe pulsowanie. Było to zjawisko występujące przy wielu rozmowach z Fordem. Jego mózg stał na czatach jak przestraszone szczenię w budzie. Ford wziął go za ramię.

- NTP - zaczął wyjaśniać - to zjawisko polegające na tym, że czegoś nie możesz zobaczyć, nie widzisz albo twój mózg nie pozwala ci zobaczyć, bo myślisz, że to nie twój problem. Dokładnie to oznacza NTP. Nie Twój Problem. Mózg po prostu wymazuje obraz, tworzy ślepą plamkę. Jeśli patrzysz prosto na coś, co jest nie twoim problemem, to nic nie

widzisz, chyba że dokładnie wiesz, czego szukasz. Jediną możliwością jest ujrzeć to coś przypadkiem kątem oka.

- Aha, to dlatego...
- Tak - przerwał Ford, który wiedział, co Artur zamierza powiedzieć.
- ...podskakiwałaś w górę i w dół...
- Tak.
- ...mrugałaś...
- Tak.
- ...i...
- Zdaje mi się, że wiesz, co jest grane.
- Widzę - oznajmił Artur. - To statek kosmiczny.

Przez chwilę Artur był do głębi poruszony reakcją wywołaną ujawnieniem tego faktu. Tłum wydał z siebie ryk; ludzie ze wszystkich stron zaczęli biec, krzyżeć, wyć i padać jeden na drugiego w dzikim nieładzie. Artur, zdziwiony, zatoczył się do tyłu i rozglądał ze strachem. W chwilę później rozejrzał się z jeszcze większym zdziwieniem.

- Podniecające, nie? - odezwała się jakaś zjawa. Zjawa dygotała przed oczami Artura, choć prawdopodobnie to oczy Artura dygotały przed zjawą. W ten sam sposób dygotały mu usta.

- C... c... c... c... - powiedziały usta Artura.
- Zdaje mi się, że twoja drużyna właśnie wygrała - powiedziała zjawa.
- C... c... c... c... - powtórzył Artur, interpunktując każde zająknięcie na plecach Forda.

Ford przerażony patrzył na skłębiony tłum.

- Nie jesteś Anglikiem? - zapytała zjawa.
- J... j... j... j... jestem - odparł Artur.

- No to, jak już mówiłem, twoja drużyna właśnie wygrała mecz. To oznacza, że popiół zostaje u was. Musisz się chyba z tego powodu cieszyć. Dość lubię krykiet, choć nie chciałbym, by usłyszał to ktokolwiek spoza tej planety. Bardzo bym nie chciał.

Zjawa wykonała ustami ruch, który mógłby zostać zinterpretowany jako złośliwe wyszczerzenie zębów, trudno jednak było powiedzieć cokolwiek pewnego, gdyż słońce tkwiło dokładnie za nią i tworzyło wokół jej głowy oślepiającą aureolę oraz oświetlało srebrzyście połyskujące włosy i brodę we wzbudzający głęboki szacunek i wysoce dramatyczny sposób, trudny do pogodzenia z wyobrażeniem złośliwego szczyrzenia zębów.

- Mimo to - powiedziała zjawa - za parę dni będzie po wszystkim, nie? Jak jednak mówiłem, gdy widzieliśmy się poprzednim razem, było mi bardzo przykro. No, ale co ma przeminać, przemija.

Artur spróbował coś powiedzieć, zrezygnował jednak z nierównej walki. Znow szturchnął Forda.

- Już myślałem, że stało się coś strasznego - powiedział Ford - ale to tylko skończył się mecz. Powinniśmy postarać się stąd wydostać. Cześć, Slartibartfast, co tu robisz?

- Ach, tak sobie łązikuje, rozglądam się - powiedział starzec wyniośle.

- To twój statek? Możesz nas podwieźć?

- Cierpliwości, cierpliwości - uspokoił go stary.

- Wiesz, pytam dlatego, że ta planeta zostanie wkrótce zniszczona.

- Wiem - odparł Slartibartfast.

- No tak, chciałem jedynie o tym napomknąć... - powiedział Ford.

- Napomknięcie zauważone.

- Jeśli więc uważasz, że akurat w takiej chwili musisz się szwendać po boisku krykietowym...

- Uważam.

- ...to jest twój statek.

- Zgadza się.

- Tak przypuszczałem. - Ford nagle się odwrócił.

- Cześć, Slartibartfast - powiedział w końcu Artur.

- Cześć, Ziemiaku - odparł Slartibartfast.

- W końcu - stwierdził Ford - umrzeć można tylko raz.

Starzec udał, że tego nie słyszy, i uważnie patrzył na boisko oczami pełnymi czegoś, nie mającego żadnego widocznego związku z tym, co działo się wokół. Działo się zaś niewiele - tłum zbierał się szerokim kręgiem wokół środka pola. Jedynie Slartibartfast wiedział, co ludzie widzą wewnątrz kręgu.

Ford nucił pod nosem. Był to jeden dźwięk, powtarzany w regularnych odstępach. Miał nadzieję, że ktoś zapyta, co nuci, nikt tego jednak nie zrobił. Gdyby ktoś zapytał, odpowiedziałby, że nuci tytuł piosenki Noela Cowarda *Szaleństwo z miłości* i to raz za razem. Zwrócono by mu wtedy uwagę, że przecież ciągle powtarza jeden dźwięk, na co by odpowiedział, że z powodów, które - jak ma nadzieję są jasne, opuszcza słowa „z miłości”. Irytowało go, że nikt nie pyta.

- Jeśli wkrótce nie pójdziemy - wybuchnął w końcu - to znów możemy wpaść w bagno, a nic mnie bardziej nie załamuje niż przyglądanie się, jak ginie planeta. Może z wyjątkiem bycia na niej, gdy to następuje. Albo - dodał cichym głosem - snucia się po okolicy i oglądania meczów krykieta...

- Cierpliwości - powtórzył Slartibartfast. - Nadchodzą historyczne wydarzenia.

- Dokładnie to samo mówiłeś, gdy spotkaliśmy się poprzednim razem - wtrącił Artur.

- No i działy się - powiedział Slartibartfast.

- Tak, to prawda - przyznał Artur.

W tej chwili wszystko wskazywało na to, że odbędzie się jedynie jakaś dziwna ceremonia. Organizowano ją chyba bardziej dla telewizji niż dla widzów, gdyż nikt z

obecnych i tak nie był w stanie nic zobaczyć. Rozwój wydarzeń można było śledzić jedynie przez radio.

Ford agresywnie wykazywał brak zainteresowania.

Rozzłościł się, gdy usłyszał, że popiół zaraz zostanie przekazany kapitanowi drużyny angielskiej i to na samym środku murawy; zapienił się z wściekłości, gdy oznajmiono, że odbywa się to tak dlatego, że Anglicy zdobyli go po raz n-ty; zawył prawie ze zmartwienia po komunikacie, że popiół to pozostałości spalonej poprzeczki bramki krykietowej. Gdy zaś poproszono go o przemyślenie faktu, iż owa poprzeczka została spalona w 1882 roku w Melbourne w Australii, by ogłosić „śmierć angielskiego krykieta”, wciągnął głęboko powietrze i odwrócił się do Slartibartfasta; nie miał jednak szansy powiedzenia czegokolwiek, gdyż starca nie było. Slartibartfast z niezwykłym zdecydowaniem maszerował właśnie w stronę boiska z tak rozwianymi włosami, brodą i szatami, że wyglądał tak, jak wyglądałby Mojżesz, gdyby Synaj nie był - jak się go przedstawia - dymiącą ognistą górą, ale porządnie przystrzyżonym trawnikiem.

- Powiedział, że spotkamy się przy jego rakiecie - poinformował Artur.

- A co, na Kłótlive Fojerwarki, ten stary idiota właściwie robi?

- Spotka się z nami za dwie minuty przy statku - powtórzył Artur, wzruszając ramionami, co miało podkreślić zupełną rezygnację z myślenia.

Ruszyli w drogę. Do ich uszu dochodziły dziwne odgłosy. Próbowali ich nie słyszeć, lecz dotarło do nich, że Slartibartfast płaczącym głosem prosi o wydanie mu srebrnej urny z popiołem, gdyż „jest to sprawa najwyższej wagi dla przeszłego, dzisiejszego i przyszłego bezpieczeństwa Galaktyki”; tak samo dotarło do nich, że jego słowa skwitowano niepoohamowaną wesołością. Postanowili to zignorować.

Tego, co zdarzyło się potem, nie mogli już zignorować. Nagle z dźwiękiem, jaki wydałoby z siebie sto tysięcy ludzi mówiących równocześnie „wap”, dokładnie nad boiskiem nie wiadomo skąd pojawił się stalowy biały statek kosmiczny. Wyglądał niesamowicie groźnie; zawisł w powietrzu, cicho mruczając.

Przez chwilę nic nie robił, jakby oczekiwał, że wszyscy wrócą do swych zajęć i nie będą zwracać uwagi na to, że wisi w powietrzu.

Potem zrobił coś nieoczekiwanego: otworzył się i wypuł coś zupełnie niezwykłego, dokładnie jedenaście zupełnie niezwykłych obiektów.

Były to roboty. Białe roboty.

Najdziwniejsze w nich było to, że ubrały się stosownie do sytuacji. Nie tylko były ubrane na biało, ale także trzymały w rękach przedmioty wyglądające na kije do krykieta. Mało - miały coś, co wyglądało na piłki do krykieta, mało - wokół puszczeli miały coś, co wyglądało na białe ochraniacze puszczeli. Ochraniacze były niezwykle, ponieważ wbudowano w nie dysze, które pozwoliły tym przedziwnie eleganckim robotom zlecieć z zawieszzonego w powietrzu statku i rozpocząć zabijanie ludzi.

- Hopla! - ucieszył się Artur. - Wygląda na to, że coś zaczyna się dziać.

- Szybko do statku! - zaczął krzyczeć Ford. - Nie chcę o niczym wiedzieć, chcę się tylko dostać do statku. - Ruszył biegiem. - Nie chcę o niczym wiedzieć, niczego nie chcę widzieć, niczego nie chcę słyszeć! - krzychał biegnąc. - To nie moja planeta, nie życzyłem sobie tu się znaleźć i nie chcę mieć z tym nic wspólnego. Zabierzcie mnie stąd i zawieźcie na prywatkę, gdzie będą inni tacy jak ja!

Z boiska uniosły się płomienie i dym.

- Wygląda na to, że ta nadprzyrodzona brygada przygnała w niezłej liczbie... - paplało samo dla siebie jakieś zadowolone radio.

- To, czego potrzebuję - ryczał Ford, by podkreślić swe poprzednie uwagi - to dobry drink i podobni do mnie ludzie! - Biegł dalej, zatrzymując się tylko na krótką chwilę, by capnąć Artura za ramię i pociągnąć go za sobą. Artur przyjął bowiem swą zwykłą w sytuacjach krytycznych postawę, polegającą na staniu z szeroko rozdziawionymi ustami i pozwalaniu, by wszystko działo się obok bez jego uczestnictwa.

- Grają w krykieta - wymruczał, idąc za Fordem i potykając się o własne nogi. - Mogę przysiąc, że grają w krykieta. Nie wiem dlaczego, ale grają. To nie zabijanie, lecz wyśmiewanie się z zabijanych! Ford, oni stroją sobie z nas żarty!

Niełatwo było uważać inaczej bez uprzedniego zdobycia znacznie większej wiedzy o historii Galaktyki, niż dotychczas udało się to Arturowi w trakcie podróży.

Eteryczne, choć brutalne postacie, których ruchy widać było przez gęstą zasłonę dymu, zdawały się wykonywać groteskowe parodie serwów; ich odmienność od prawdziwych serwów polegała na tym, że każda piłka, którą posyłały przy użyciu swych kijów w różne miejsca, eksplodowała tam, gdzie upadła. Już pierwsza piłka kazała Arturowi zmienić początkowy pogląd, że cała impreza jest być może jedynie dowcipem reklamowym australijskich producentów margaryny.

Wszystko skończyło się tak samo nagle, jak się zaczęło. Jedenaście białych robotów wzniosło się w ciasnym szyku przez buchające kłęby dymu w niebo. Z towarzyszeniem kilku ostatnich błyskawic ognia roboty zniknęły w unoszącym się w powietrzu białym statku kosmicznym, który natychmiast rozpląnął się w nicość, wydając z siebie dźwięk, jakby sto tysięcy ludzi jednym głosem powiedziało „tup”. Rozpląnął się dokładnie tak samo nie wiadomo gdzie, jak nie wiadomo, skąd się pojawił.

Przez chwilę panowało straszliwe, przesycone lękiem milczenie, potem z kłębow dymu wynurzyła się blada postać Slartibartfasta, jeszcze bardziej podobnego teraz do Mojżesza, gdyż - choć nadal nie było góry - dobrze utrzymany trawnik, przez który szedł, palił się i dymił.

Rozglądał się wściekle dookoła, aż ujrzał biegnących Artura Denta i Forda Prefecta, którzy przepychali się przez przestraszony tłum, zajęty uciekaniem w przeciwnym kierunku.

Tłum z pewnością myślał sobie, jaki zrobił się mimo wszystko niezwykły dzień, choć nie za bardzo wiedział, w jakim kierunku biec i czy w ogóle należy biec.

Podniecony Slartibartfast wymachiwał ręką w stronę Forda i Artura i coś do nich wołał. Wszyscy trzej powoli zbliżali się do statku Slartibartfaste, który ciągle stał tuż obok stadionu, najwyraźniej nie zauważony przez przebiegający tłum, który miał w tej chwili wystarczająco dużo własnych problemów.

- Połknęły matoly protokoły! - wołał Slartibartfast cienkim, drżącym głosem.

- Co on powiedział? - wydyszał Ford, torując sobie drogę łokciem.

Artur potrząsnął z niezrozumieniem głową.

- Poł... koły... czy coś w tym rodzaju.

- Wzięły rosoły giczoły! - krzyczał Slartibartfast.

Ford i Artur spojrzeli po sobie, potrząsając głowami.

- Zachowuje się, jakby miał coś ważnego do powiedzenia - uznał Artur.

Zatrzymał się i postanowił zasięgnąć języka.

- Co? - krzyknął do Slartibartfaste.

- Warchoły zwinęły popioły! - wołał Slartibartfast, ciągle machając.

- Mówi - wyjaśnił Artur - że ukradziono popioły. Wydaje mi się, że o to mu chodzi.

Biegli dalej.

- Wzięli...? - zapytał Ford.

- Popioły - skończył zwięźle Artur. - Spalone resztki poprzeczki bramki krykietowej.

Były w pucharze, który wygrała Anglia - dyszał. - Chyba to zabrały roboty. - Potrząsnął głową, jakby próbował przekonać mózg, by usadowił się głębiej w czaszce.

- Dziwne, mówić nam coś takiego - warknął Ford.

- Dziwne, zabierać nas z sobą.

- Dziwna rzecz, ten jego statek.

Dotarli do rakiety Slartibartfaste. Drugą co do dziwności (po fakcie istnienia) rzeczą w rakiecie było to, że pozwalała doświadczyć, jak działa pole NTP. Teraz dokładnie widzieli statek, ale dlatego, że wiedzieli o jego istnieniu i gdzie stoi. Całkiem jasne było też, że nikt inny nie jest w stanie go zobaczyć, nie dlatego jednak, że był niewidzialny lub w jakimś zakresie hipernieprawdopodobny. Trudności techniczne z uczynieniem jakiegoś przedmiotu niewidzialnym są tak wielkie, że w dziewięciuset dziewięćdziesięciu dziewięciu miliardach dziewięćset dziewięćdziesięciu dziewięciu milionach dziewięćset dziewięćdziesięciu dziewięciu tysiącach dziewięćset dziewięćdziesięciu dziewięciu przypadkach na bilion znacznie prościej i efektywniej jest wyrzucić daną rzecz i radzić sobie bez niej.

Ultrasłowny sejentomagik Effrafax z Wug założył się kiedyś o własne życie, że w ciągu roku uda mu się uczynić zupełnie niewidzialną olbrzymią megagórę Magramal. Po spędzeniu większości czasu na dłubaniu przy olbrzymich promiennikach luxolampowych, zerowaczach refrakcyjnych i spektrometach omijających, na dziewięć godzin przed upływem terminu zdał

sobie sprawę, że nie wykona zadania. Tak więc wspólnie ze swymi przyjaciółmi, przyjaciółmi swych przyjaciół, przyjaciółmi przyjaciół swych przyjaciół, przyjaciółmi przyjaciół przyjaciół swych przyjaciół i kilkoma dalszymi przyjaciółmi, którzy przypadkiem posiadali sporą międzygwiazdną firmę spedycyjną, zorganizował coś, co znane jest dziś wszem i wobec jako najcięższa nocna szychta w historii Galaktyki. Następnego dnia Magramalu nie było widać. Effrafax przegrał jednak zakład - i równocześnie stracił życie - dlatego że jakiś pedantyczny sędzia stwierdził, że a) chodząc po terenie, na którym powinna się znajdować megagóra Magramal, o nic się nie potyka ani o nic nie rozbija nosa i b) widzi bardzo podejrzany nowy księżyc.

Pole NTP jest znacznie prostsze i skuteczniejsze, w dodatku może działać ponad sto lat na baterii do ręcznej latarki. Funkcjonuje ono tak dobrze, ponieważ opiera się na wrodzonej skłonności ludzi, by nie widzieć tego, czego nie chcą widzieć, nie oczekują lub nie potrafią wyjaśnić. Gdyby Effrafax pomalował górę na różowo i rozpostarł wokół niej tanie, proste pole NTP, wszyscy przechodziliby obok, chodzili dookoła, a nawet po górze nie zauważając, że cokolwiek w tym miejscu się znajduje.

Tak samo było w przypadku statku Slartibartfasta. Nie był różowy, ale nawet gdyby tak go pomalowano, byłaby to ostatnia rzucająca się w oczy rzecz i zignorowano by ją tak samo, jak cokolwiek innego.

Najdziwniejsze w statku było, że jedynie częściowo wyglądał jak statek kosmiczny z drabinkami, silnikami, raketami, wyjściami awaryjnymi itp., a znacznie bardziej jak pionowo postawiony budynek włoskiego bistra.

Ford i Artur gapili się zdziwieni i do głębi poruszeni.

- Tak, wiem - odezwał się Slartibartfast, który podniecony i zdyszany właśnie nadbiegał - ale są ku temu powody. Chodźcie, musimy ruszać. Stary zły duch wrócił. Wszystkim grozi zguba. Musimy natychmiast ruszać w drogę.

- Proponuję, by jechać dokądś, gdzie jest słonecznie - wtrącił Ford.

Podążyli za Slartibartfastem do statku i to, co zobaczyli wewnątrz, tak ich zatkało, że zupełnie nie usłyszeli, co trochę później wydarzyło się na zewnątrz.

Ni stąd, ni zowąd z nieba spłynął zupełnie bezgłośnie jeszcze jeden statek, lśniący i srebrny, i rozpostarł długie nogi w perfekcyjnej technicznie baletowej ewolucji. Osiadł miękko na ziemi. Z kadłuba wysunął się krótki trap. Ze statku dziarsko wymaszerowała wysoka szarozielona postać i zbliżyła się do zebranej na środku boiska grupy ludzi, chcących pomóc ofiarom właśnie zakończonej groteskowej masakry. Odsunęła ich na bok z milczącą, dyskretną stanowczością i w końcu dotarła do leżącego w ogromnej kałuży krwi mężczyzny, wydychającego i wykasującego z siebie ostatnie tchnienie; możliwość uratowania mu życia bez wątpienia leżała daleko poza granicami możliwości ziemskiej medycyny. Postać bez słowa uklękła obok.

- Artur Filip Deodat? - zapytała.

Mężczyzna, z przerażonym zdziwieniem w oczach, słabo kiwnął głową.

- Jesteś nic niewartym, głupim zerem - szepnęła istota. - Pomyślałem sobie, że powinieneś się o tym dowiedzieć, nim wyciągniesz kopyta.

Rozdział 5

Fakty, które warto zapamiętać z historii Galaktyki, nr 2 (według *Popularnej historii Galaktyki* „Codziennego Kuriera Gwiezdnego”):

Od początku istnienia Galaktyki swój wzrost i upadek przeżyły niezliczone kultury. Tak często następował wzrost i upadek, ruch w górę i w dół, że dość kusząca staje się myśl, iż życie w Galaktyce to:

a) coś na kształt choroby morskiej - choroby przestrzeni, choroby czasu, choroby historii czy coś w tym stylu - oraz

b) głupota.

Rozdział 6

Arturowi zdawało się, że niebo nagle robi krok w bok i przepuszcza ich.

Arturowi zdawało się, że atomy jego mózgu i atomy kosmosu przenikają się nawzajem.

Arturowi zdawało się, że zdmuchuje go powiew wiatru wszechświata i równocześnie sam jest tym wiatrem.

Arturowi zdawało się, że jest jedną z myśli wszechświata, a wszechświat jedną z jego myśli.

Ludziom wokół boiska Królewskiego Klubu Krykietowego zdawało się, że zjawiała się i zaraz zniknęła nowa północnolondyńska restauracja, ale ponieważ często się to zdarza, stwierdzili, że to nie ich problem.

- Co się stało? - wyszeptał Artur dość przestraszony.

- Wystartowaliśmy - odparł Slartibartfast.

Artur ze strachem znieruchomiał na kozetce przyspieszeniowej. Nie był pewien, czy właśnie zachorował na chorobę przestrzenną, czy może stał się pobożny.

- Miły wózek - pochwalił Ford, który bez skutku próbował ukryć, jak wielkie wrażenie wywarło na nim to, co właśnie zrobił statek Slartibartfaste - ale wystrój wnętrza to wstyd.

Przez chwilę stary nie odpowiadał. Wpatrywał się w przyrządy jak ktoś, kto próbuje przeliczać w pamięci skalę Fahrenheita na Celsjusza, podczas gdy jego dom powoli niknie w płomieniach. Naraz jego twarz rozjaśniła się i rzucił okiem na znajdujący się przed nim olbrzymi panoramiczny ekran ukazujący niepokojącą płataninę gwiazd, przemykających dookoła jak srebrne wstęgi. Poruszył ustami, jakby próbował coś przeliterować. Nagle zaniepokojone oczy skoczyły z powrotem w stronę przyrządów, twarz Slartibartfaste złagodniała, na czole pozostała mu jednak głęboka bruzda. Znow spojrzał na ekran. Zbadał sobie tętno. Na chwilę zmarszczki na czole jeszcze mu się pogłębiły, zaraz jednak wygładziły.

- To błąd próbować zrozumieć maszyny - powiedział. - Jedyne mnie złości. Co powiedziałeś?

- Wystrój wnętrza - powtórzył Ford - to wstyd.

- Głęboko w sercu ducha i wszechświata - oświadczył Slartibartfast - istnieje ku temu powód.

Ford rzucał wokół siebie surowe spojrzenia. Uważał, że taki pogląd musi wynikać z patrzenia na świat przez różowe okulary.

Wnętrze było ciemnozielone, ciemnoczerwone, ciemnobrązowe, ciasne i źle oświetlone. W niewytłumaczalny sposób elementy upodabniające statek do małego włoskiego bistra wdarły się do wnętrza. Małe kręgi światła wydobywały z ciemności rośliny doniczkowe, kafelki i najprzeróżniejsze nieokreślone przedmioty z mosiądzu. W półmroku obrzydliwie czyhały oplecione rafią butelki.

Przyrządy, które przykuwały uwagę Slartibartfasta, zdawały się zamontowane w wprasowanych w beton denkach od butelek. Ford sięgnął ręką i dotknął ich. Fałszywy beton. Plastik. Atrapy denek od butelek w fałszywym betonie.

„Serce ducha i wszechświata niech zjeżdża - myślał - to przecież bzdura”.

Z drugiej strony nie dało się zaprzeczyć, że sposób, w jaki ten statek ruszył z kopyta, sprowadzał „Serce ze Złota” do poziomu elektrycznego samochodziku dla dzieci.

Ford wstał zamaszycie z kozetki. Wygładził ręką ubranie. Rzucił okiem na Artura, który nucił coś cicho pod nosem. Spojrzał na ekran i nie znalazł nic znajomego. Spojrzał na Slartibartfasta.

- Ile przelecieliśmy? - zapytał.

- Mniej więcej... tak na oko, to dwie trzecie Galaktyki - Opowiedział Slartibartfast. - Tak, myślę, że mniej więcej dwie trzecie.

- Dziwne - spokojnie powiedział Artur - ale im dalej i szybciej podróżuje się przez wszechświat, tym bliższa wydaje się pozycja, jaką samemu się w nim zajmuje, i człowieka zaczyna wypełniać... czy raczej opuszczać...

- Tak, to bardzo dziwne - zgodził się Ford. - Dokąd lecimy?

- Staniemy odważnie twarzą w twarz z prastarym złym duchem wszechświata - poinformował Slartibartfast.

- A gdzie nas wysadzisz?

- Potrzebuję waszej pomocy.

- Uparciuch. Na pewno możesz nas zawieźć gdzieś, gdzie się trochę zabawimy, ja mógłbym spróbować się nad wszystkim zastanowić, potem moglibyśmy się zalać, może posłuchać do tego pieskiej muzyki. Poczekaj, zaraz sprawdzę. - Wyciągnął *Autostopem przez Galaktykę* i szybko przeleciał te części spisu treści, które zajmowały się seksem, narkotykami i rock and rollem.

- Z mgieł czasu uniosło się przekleństwo... - oznajmił Slartibartfast.

- Tak, wierzę - powiedział Ford. - Jest! - krzyknął, znalazłszy przypadkiem dobrze znane hasło. - Ekscentryca Gallumbits, spotkałeś ją kiedyś? Trzypiersiastą nierządnicę z Erotikonu Sześć? Niektórzy twierdzą, że jej strefy erogenne zaczynają się pięć kilometrów od ciała. Nie zgadzam się - twierdzą, że osiem.

- Przekleństwo - powtórzył Slartibartfast - które zaleje Galaktykę ogniem i zniszczeniem i być może zepchnie wszechświat przed czasem w zgubę. Mówię poważnie - dodał.

- Nie brzmi to zbyt wesoło - zgodził się Ford - ale przy pewnej dozie szczęścia będę może wtedy tak zalany, że nic nie zauważę. O tu - wskazał palcem na monitor *Autostopem* - powinno być bardzo grzesznie i myślę, że tam należy się udać. Co ty na to, Arturze? Przestań mrużyć mantry i otwórz uszy. Tu nie dostaniemy tego, co nam potrzebne.

Artur zląkł z kozetki, stanął i potrząsnął głową.

- Dokąd lecimy? - zapytał.

- Tam, gdzie odważnie stanjemy twarzą w twarz...

- Zamknij się! - ryknął Ford. - Arturze, lecimy w głąb Galaktyki, by się zabawić. Czy to pomysł, z którym mógłbyś się zaprzyjaźnić?

- A czym tak się martwi Slartibartfast? - zapytał Artur.

- Niczym.

- Nieszczęściem - zaprzeczył Slartibartfast. - Chodźcie - dodał tonem, w którym nagle zabrzmiał rozkaz. - Istnieje wiele rzeczy, które muszę wam pokazać i wyjaśnić.

Podszedł do zielonych kręconych schodów z kutej stali, które nie wiadomo dlaczego znajdowały się na środku centrali dowodzenia, i zaczął nimi powoli wchodzić. Artur poszedł za nim z chmurnym spojrzeniem.

Ford wściekle wrzucił *Autostopem* z powrotem do torby.

- Mój lekarz mówi, że mam zdeformowany gruczoł obowiązków obywatelskich oraz wrodzoną słabość kośćca moralnego - zamruczał pod nosem - i dlatego jestem zwolniony od ratowania wszechświatów.

Mimo to stapał za nimi po schodach.

To, co zobaczyli na górze, było po prostu śmieszne, a przynajmniej sprawiało takie wrażenie. Ford potrząsnął głową, ukrył twarz w dłoniach i potknął się o kwiat doniczkowy, który potoczył się po podłodze i uderzył z hukiem w ścianę.

- Centralna strefa komputera. - Slartibartfast był niewzruszony. - Tu przeprowadzane jest każde obliczenie, które dotyczy statku. Tak, wiem, jak tu wygląda, ale w rzeczywistości to skomplikowany czterowymiarowy plan topograficzny szeregu wysoce skomplikowanych funkcji matematycznych.

- Wygląda to na dowcip - uznał Artur.

- Wiem, jak to wygląda - powtórzył Slartibartfast i wszedł do środka.

Kiedy to robił, Arturowi zaczęło świtać, co to może znaczyć, ale wzbraniał się przed uwierzeniem.

„Wszechświat nie może przecież tak działać - myślał - przecież tak nie wolno... Byłoby to tak absurdalne, jak... tak absurdalne, jak...” - zakazał sobie o tym myśleć.

Większość absurdalnych rzeczy, jakie mógł sobie wyobrazić, już się wydarzyła. Tu miał do czynienia z jedną z nich. Rzeczą tą była wielka szklana niby klatka, niby skrzynka - w

rzeczywistości pokój. W pokoju stał długi stół. Wokół niego rozstawiono niedbale kilkanaście krzeseł, jakby żywcem wziętych z wiedeńskiej kawiarni. Na stole leżał wytarty obrus w białoczerwoną kratę, tu i ówdzie zeszpecony wypalonymi przez papierosy dziurami, z których każda prawdopodobnie znajdowała się w dokładnie wyliczonym miejscu.

Na obrusie stało kilkanaście talerzy z nie dojedzonymi włoskimi potrawami, otoczonych nadgryzionymi kawałkami chleba i nie dopitymi kieliszkami z winem, którymi leniwie bawiły się roboty.

Wszystko było zupełnie nieprawdziwe. Roboty były obsługiwane przez robota-kelnera, robota-kelnera od win i robota-szefa sali. Meble były nieprawdziwe, obrus był nieprawdziwy i każda potrawa była bez wątpienia w stanie wykazać się cechami, powiedzmy *pollo sorpreso*, nie będąc nim.

Wszystko razem tworzyło balet - skomplikowane przedstawienie z udziałem kart dań, bloczków rachunkowych, portfeli, książeczek czekowych, kart kredytowych, zegarków, ołówków i papierowych serwetek; przedstawienie robiło wrażenie, że zaraz zamieni się w mordobicie, były to jednak pozory.

Slartibartfast pośpieszył do środka i wydawało się, że wymienia długo i namiętnie pozdrowienia z szefem sali, podczas gdy jeden z robotów-gości powoli zsuwał się pod stół, wyliczając na głos, co zamierza zrobić typowi, który siedział naprzeciw czegoś na kształt dziewczyny. Slartibartfast zajął miejsce na zwolnionym w ten sposób krześle i szybko rzucił wprawnym okiem na kartę dań. Tempo wydarzeń wokół stołu zdawało się niezauważenie przyspieszać. Zaczęły się kłótnie, na papierowych serwetkach wypisywano mądre wywody. Z wściekłością wymachiwano sobie nawzajem rękami przed nosami i próbowano poddawać badaniom kurze udka z talerzy sąsiadów. Ręka kelnera jeździła po bloczku szybciej, niż byłaby w stanie robić to ręka ludzka, potem szybciej, niż było w stanie śledzić ludzkie oko. Tempo rosło. Nagle cały tłumek zaczął się zasypywać niezwykle i przesadnymi grzecznościami, kilka sekund później osiągnięto ogólne porozumienie. Przez statek przeszła wibracja nowej energii.

Slartibartfast wyszedł ze szklanego pokoju.

- Bistromatyka - wyjaśnił. - Największa znana paranauce pojemność komputera. Chodźcie do kabiny iluzji informatycznych. - Przemknął obok, a Ford i Artur zdeorientowani poszli za nim.

Rozdział 7

Napęd bistromatyczny jest cudowną nową metodą pokonywania odległości międzygwiazdnych bez niebezpiecznego grzebania się w czynnikach nieprawdopodobieństwa.

Sama bistromatyka jest rewolucyjnie nowoczesną metodą rozumienia zachowań liczb. Już Einstein zauważył, że czas nie jest absolutny, lecz zależy od ruchu obserwatora w przestrzeni i że przestrzeń nie jest absolutna, lecz zależy od ruchu obserwatora w czasie, niedawno zaś odkryto, że liczby też nie są absolutne, lecz zależą od ruchu obserwatorów w restauracjach.

Pierwszą liczbą nieabsolutną jest liczba ludzi, dla których zostaje zarezerwowany stolik. W trakcie trzech pierwszych telefonów do restauracji będzie się ona stale zmieniać i w końcu utraci jakikolwiek związek z liczbą osób, która rzeczywiście się zjawi, albo z liczbą osób, które dojdą po zakończeniu przedstawienia/meczu/prywatki/koncertu, albo odejdą, gdy zobaczą, kto już przyszedł.

Drugą liczbą nieabsolutną jest podany czas rozpoczęcia imprezy. Obecnie jest ona uznawana za jedno z najdziwniejszych pojęć w matematyce i nazwano ją „wykluczona zwrotna”. Jest to liczba, której istnienie można zdefiniować jedynie przez określenie, że jest zupełnie czymś innym niż sobą samą. Innymi słowy: podany czas rozpoczęcia imprezy jest jedynym momentem, w którym zupełnie wykluczone jest pojawienie się jakiegokolwiek jej uczestnika. Wykluczne zwrotne grają obecnie ważną rolę w wielu zakresach matematyki, np. w statystyce i buchalterii, tworzą też podstawowe równania używane przy tworzeniu pola NTP.

Trzecia i najbardziej zagadkowa liczba w dziedzinie nieabsolutyzmu wynika ze stosunku między liczbą pozycji na rachunku, ceną każdej pozycji, liczbą ludzi przy stole i sumą, którą każdy jest gotów zapłacić. (Liczba osób, które w ogóle przyniosły pieniądze, jest tu zjawiskiem jedynie marginesowym.)

Pojawiająca się zwykle w tym miejscu rozważania gmatwanina sprzeczności pozostawała przez wieki nie zbadana, gdyż nikt po prostu nie traktował ich poważnie. Dawniej tłumaczono je takimi zjawiskami, jak grzeczność, beczelność, skąpstwo, narzucanie się, zmęczenie,

pobudliwość lub późna godzina, i następnego dnia o wszystkim całkowicie zapomniano. Wymienionych zjawisk nigdy nie badano w warunkach kontrolowanych, bo przecież nigdy nie występowały w laboratoriach - przynajmniej w szanujących się laboratoriach.

Tak więc dopiero wraz z pojawieniem się komputerów wyszła na jaw oszałamiająca prawda, że: *liczby pisane na rachunkach w restauracjach nie podlegają tym samym prawom matematyki co liczby pisane na wszystkich innych kawałkach papieru.*

Ten prosty fakt zmiażdżył naukę, całkowicie ją przenicował. Niesamowita ilość konferencji matematycznych zaczęła się odbywać w tak ekskluzywnych restauracjach, że wiele najwybitniejszych umysłów epoki zmarło z powodu otyłości i niewydolności serca, a matematyka cofnęła się w rozwoju o lata.

Powoli zaczęto pojmować głębszy sens powyższego twierdzenia. Z początku było zbyt fantastyczne, zbyt zwariowane, za bardzo podobne do zjawisk, o których człowiek z ulicy zwykł mówić: „Od razu mogłem wam to powiedzieć”. Dopiero później ukuto pojęcie „subiektywna sieć interakcyjna”, wszyscy mogli się odprężyć i dalej badać problem.

Grupki mnichów, które szwendały się w okolicach większych instytutów badawczych, śpiewając dziwne pieśni o tym, że wszechświat nie jest niczym innym jak wytworem fantazji, otrzymały subwencje z puli dla teatrów ulicznych i poszły z Bogiem.

Rozdział 8

- W kosmonautyce prawda - zaczął Slartibartfast, manipulując przy przyrządach w kabinie iluzji informatycznych - w kosmonautyce... - Przerwał i rozejrzał się.

Kabina iluzji informatycznych przynosiła miłą ulgę po stylistycznych potwornościach obszaru centralnego komputera. Była zupełnie pusta. Żadnej informacji, żadnych iluzji, tylko oni, białe ściany i parę małych przyrządów robiących wrażenie, że powinny być podłączone do czegoś, czego Slartibartfast nie może znaleźć.

- Tak? - naciskał Artur. Zaraził go pośpiech Slartibartfaste, nie wiedział jednak, co robić.

- Co „tak”? - zapytał stary.

- Co chciałeś właśnie powiedzieć?

Slartibartfast skarcił Artura wzrokiem.

- Liczby są obrzydliwe - skwitował swe poszukiwania.

Artur kiwnął mądrze głową. Po chwili zauważył, że nie rozjaśniło mu to panującego w niej chaosu, zdecydował się więc zadać pytanie:

- Które?

- W kosmonautyce wszystkie liczby są obrzydliwe - odparł Slartibartfast.

Artur znów kiwnął głową i szukając pomocy, poszukał wzrokiem Forda, okazało się jednak, że ćwiczy on przyjmowanie ponurego wyrazu twarzy, osiągając zresztą znaczny stopień wtajemniczenia.

- Próbowałem tylko - westchnął Slartibartfast - oszczędzić wam wysiłku zadawania pytania, dlaczego wszystkie komputerowe obliczenia na potrzeby statku prowadzone są na kelnerskim blozku rachunkowym.

Artur zmarszczył czoło.

- Dlaczego wszystkie komputerowe obliczenia na potrzeby statku prowadzone są na kelnerskim...? - zapytał, nie skończył jednak zdania.

- Dlatego że w kosmonautyce wszystkie liczby są obrzydliwe - wyjaśnił Slartibartfast. Zauważył, że nie mówi wystarczająco jasno. - Uważaj - dodał - na blozku rachunkowym kelnera liczby tańczą. Na pewno już się z tym spotkałeś.

- No tak...

- Na kelnerskim bloczku rachunkowym - ciągnął Slartibartfast - rzeczywistość i nierzeczywistość zderzają się z sobą w tak pierwotny sposób, że jedno staje się drugim, i przy wystąpieniu określonych parametrów wszystko staje się możliwe.

- Jakich?

- Nie da się tego określić i to właśnie jeden z parametrów - odparł Slartibartfast. - Dziwne, ale prawdziwe. To znaczy mnie wydaje się dziwne - dodał - ale zapewniano mnie, że to prawdziwe.

W tym momencie odkrył w ścianie gniazdo, którego szukał, i wcisnął w nie trzymany w ręku przyrząd.

- Nie przestraszcie się - powiedział, nagle jednak sam rzucił na przyrząd przestraszone spojrzenie i skoczył do tyłu - to jest...

Nie usłyszeli, co powiedział, gdyż w tym samym momencie statek, w którym byli, rozpląnął się, a z rozrywanej na strzępy nocy, buchając promieniowaniem z gwiazdnych laserów, spadł na nich międzygwiazdny krążownik bojowy wielkości miasteczka przemysłowego w środkowej Anglii. Przez ciemność strzelił przerażający orkan płonącego światła i wyrwał olbrzymi kawał znajdującej się za nimi planety.

Rozdziawili gęby, wybałuszyli oczy i nie byli w stanie krzyknąć.

Rozdział 9

Inny świat, inny dzień, inna jutrzienka.

W absolutnej ciszy pojawiła się delikatna poświata wczesnego poranka. Kilkanaście bilionów trylionów ton supergorących eksplodujących jąder atomów wschodziło powoli nad horyzont - udawało im się przy tym zachować skromny, zimny i nieco wilgotny wygląd.

Każdego poranka, gdy znikąd pojawia się światło, następuje chwila, w której możliwy jest cud. Wszechświat wstrzymuje wtedy oddech. Chwila na cud minęła - na Squornshellous Zeta robi to regularnie i nic się nigdy nie wydarza.

Nad bagnem wisiała mgła. Rosnące wokół drzewa wyglądały szaro, kontury wysokich traw rozplływały się jak mgła. Opary wisiały jak wstrzymany oddech.

Panował zupełny bezruch.

Było idealnie cicho.

Słońce bezsilnie zmagало się z mgłą, próbowało posłać tu trochę ciepła, tam trochę światła, dzień bez wątpienia nie miał mu jednak przynieść nic innego od konieczności przebycia piekielnie długiej drogi w poprzek nieba.

Panował zupełny bezruch.

Dalej było cicho.

Bezruch.

Cisza.

Zupełny bezruch.

Na Squornshellous Zeta bardzo często mijały w ten sposób całe dnie, ten zaś miał być kolejnym typowym.

Czternaście godzin później słońce zaszło po przeciwnej stronie horyzontu bez nadziei na przyszłość, a raczej mając wrażenie, że wysiłek całego dnia poszedł całkiem na marne. Parę godzin później słońce pojawiło się ponownie, przeciągnęło się i od nowa ruszyło w drogę w poprzek nieba. Tym razem jednak coś się wydarzyło. Materac spotkał robota.

- Cześć, robocie - zagaił materac.

- Blee - odparł robot, robiąc dalej to, co właśnie robił, czyli drepcząc bardzo powoli w kółko. Kręgi, które zataczał, nie miały więcej jak metr średnicy.

- Szczęśliwy? - zapytał materac.

Robot zatrzymał się i spojrzął na materac. Patrzył drwiąco. Był to najwyraźniej bardzo głupi materac - patrzył wielkimi oczami. Po chwili, której długość została wyliczona z dokładnością do dziesięciu miejsc po przecinku jako czas niezbędny do wyrażenia pogardy dla wszystkiego, co materacowe, robot wrócił do dreptania w kółko.

- Moglibyśmy porozmawiać - spróbował materac. - Miałbyś ochotę?

Materac był duży i prawdopodobnie niezłej jakości.

W dzisiejszych czasach bardzo mało rzeczy produkuje się naprawdę, gdyż w tak nieskończenie wielkim wszechświecie, jak ten, w którym żyjemy, można sobie dość łatwo wyobrazić, że większość rzeczy gdzieś rośnie (choć w przypadku wielu nie ma się na to ochoty). Niedawno został odkryty las, w którym prawie wszystkie drzewa owocowały kluczami nasadkowymi. Życiorys takiego owoca-klucza jest dość ciekawy. Po zerwaniu wymaga ciemnej, zakurzonej szuflady, gdzie może latami spokojnie leżeć. Potem pewnej nocy wykluwa się, zrzuca zewnętrzną powłokę (która rozpada się w pył) i pojawia jako bliżej nie określony metalowy przedmiot z kryzami na obu końcach, załączkiem uchwytu i czymś w rodzaju dziury na śrubę. Po znalezieniu należy klucz wyrzucić. Nikt nie wie, co ma z tego klucz - prawdopodobnie przyroda w swej nieskończonej mądrości jeszcze nad tym pracuje. Nikt też tak naprawdę nie wie, co właściwie mają z życia materace. Są dużymi, przyjaznymi istotami ze sprężynami w środku, żyją spokojnie i zupełnie same dla siebie w bagnach Squornshellous Zeta. Wiele z nich łapie się, zarzyna, suszy, transportuje i podkłada do spania. Żadnemu z nich nie wydaje się to sprawiać różnicy i wszystkie nazywają się Zem.

- Nie - oznajmił Marvin.

- Nazywam się Zem - powiedział materac. - Moglibyśmy porozmawiać o pogodzie.

Marvin znów zrobił przerwę w monotonnym dreptaniu w kółko.

- Rosa spadła dziś rano ze szczególnie obrzydliwym dudnieniem - rzucił mimochodem.

Znów podjął marsz, jakby ten werbalny wysiłek pomógł mu spaść na kolejne dno depresji i rozpacz. Uparcie włókł się dalej. Gdyby miał zęby, zazgrzytałby nimi. Nie miał zębów. Nie zazgrzytał. Samo dreptanie wyrażało wszystko.

Materac flolopnął. Jest to czynność, którą umieją robić jedynie żyjące materace i to w bagnie, dlatego też to słowo jest rzadko używane. Flolopnął ze sporym zainteresowaniem, wzbudzając przy okazji sporo wody. Gulgocząc uwodzicielsko, wypuścił spod wody kilka pęcherzyków powietrza, które uniosły się ku powierzchni. W słabym, nagle rozbłysłym promieniu słońca, który nieoczekiwanie przebił się przez mgłę, na krótko pojaśniały jego biało-niebieskie paski i stworzeniu udało się powygrzewać chwilę sprężyny.

Marvin dalej włókł się noga za nogą.

- Zdaje mi się, że coś cię gnębi - powiedział chlupliwato materac.

- Więcej, niż jesteś sobie w stanie wyobrazić - narzekał Marvin. - Moja zdolność wywoływania w sobie dowolnych procesów psychicznych jest tak nieograniczona, jak

nieskończone są przestrzenie kosmosu. Oczywiście pomijając zdolność cieszenia się. - Tup, tup - maszerował. - Moją zdolność cieszenia się mógłbyś zmieścić w pudełku od zapalek - dodał. - Bez wyjmowania z niego zapalek.

Materac zagługał. Jest to dźwięk, który wydaje z siebie żyjący, mieszkający w bagnie materac, gdy jest do głębi poruszony opisem czyjegoś nieszczęścia. Według *Ultrakompletnego słownika maximegalońskiego wszelkich możliwych języków* słowo to może też opisywać dźwięk, który wydał z siebie Lord Nadsanvalwag z Hollop, zauważywszy, że już drugi rok z rzędu zapomniał o urodzinach żony. Ponieważ jednak w historii istniał jeden jedyny Lord Nadsanvalwag z Hollop, a w dodatku nie był żonaty, słowo używane jest wyłącznie w znaczeniu negatywnym lub spekulatywnym i coraz bardziej powszechna staje się opinia, że *Ultrakompletny słownik maximegaloński* nie jest wart nawet kolumny ciężarówek, koniecznej do wożenia wydania mikrofilmowego. Dziwnym trafem nie ma w słowniku słowa „chlupliwate”, które oznacza po prostu „coś, co jest chlupliwe”.

Materac znów zagługał.

- Czuję w twych diodach głębokie przygnębienie - wolugnął - i to mnie smuci.

By zrozumieć słowo „wolugować”, należy w sklepie ze starzyzną kupić sobie *Squornshellońskie rozmówki bagienne* lub *Ultrakompletny słownik maximegaloński*. Uniwersytet będzie bardzo zadowolony z pozbycia się ich, gdyż w ten sposób zwolni się kilka cennych miejsc do parkowania.

- Powinieneś być trochę bardziej materacowny. Żyjemy cicho i samotnie w bagnie i zadowolamy się flopopowaniem i wolugowaniem, poświęcając wilgoci jedynie chlupliwatością uwagę. Niektóre z nas są zabijane, ale ponieważ wszystkie nazywamy się Zem, nigdy nie wiemy, kto zginął, i dzięki temu gluganie jest ograniczone do minimum. Dlaczego ciągle kręcisz się w kółko?

- Bo mi noga utknęła - odpowiedział Marvin.

- Wygląda na to - powiedział materac, ze współczuciem wbijając w Marvina wzrok - że jest dość słaba.

- Masz rację - zgodził się Marvin. - Jest słaba.

- Wunn! - wykrzyknął materac.

- Też tak sądzę - uznał Marvin. - Poza tym wydaje mi się, że musi cię śmieszyć robot z protezą. Powinieneś opowiedzieć o tym swoim przyjacielom Zemowi i Zemowi, kiedy pójdziesz ich kiedyś odwiedzić. Na ile ich znam, będą się strasznie śmiać. Oczywiście nie znam ich dokładnie - to znaczy nie wiem o nich więcej niż ogólnie o istotach żyjących - ale z drugiej strony znam ich lepiej, niż bym sobie życzył. Ach, moje życie to jedynie skrzynia przekładni ślimakowych...

Znów zaczął stapać w maleńkim kółku wokół swej cienkiej, stalowej nogi, która choć obracała się w bagnie, sprawiała wrażenie, że uwięzła na stałe.

- Dlaczego chodzisz bez przerwy w kółko? - zapytał materac.

- By przekonać się, że noga mi utknęła - odparł Marvin, nie przerywając kręcenia się w kółko.

- Uznaj sprawę za udowodnioną, drogi przyjacielu - zaflurczał materac - uznaj ją za udowodnioną.

- Jeszcze tylko milion lat - rzekł Marvin. - Jeszcze jeden szybki milion. Potem może spróbuję w drugą stronę. Ot, tak dla odmiany, rozumiesz?

W głębi swego sprężynowego wnętrza materac czuł, że robot gorąco sobie życzy, by zapytać go, jak długo już tak beznadziejnie kuśtyka, z cichym flurcznięciem zadał więc oczekiwane pytanie.

- O, niedawno minęło półtora miliona lat - wyniośle rzucił Marvin. - Zapytaj mnie, czy się czasem nudzę. No, pytaj!

Materac zapytał.

Marvin zignorował pytanie, jedynie kuśtykał z jeszcze większym zapałem.

- Przemawiałem kiedyś - rzucił nagle bez żadnego związku ze swoimi poprzednimi wywodami. - Może nie od razu zrozumiesz, dlaczego mówię o tym właśnie teraz, ale wynika to stąd, że mój umysł fenomenalnie szybko pracuje. Jestem od ciebie, lekko licząc, inteligentniejszy trzydzieści bilionów razy. Zaraz ci coś pokażę. Pomyśl sobie jakąś liczbę, zupełnie dowolną.

- Eee... pięć - spróbował materac.

- Źle! - ocenił Marvin. - Widzisz?

Zrobiło to na materacu niesamowite wrażenie i zrozumiał, że przebywa w towarzystwie nie byle jakiego umysłu. Cały się przewilomił, co wytworzyło na powierzchni jego płytkiej, zarośniętej algami kałuży małe, podniecone fale. Na bis gupnął.

- Opowiedz mi - nalegał - o swoim przemówieniu. Aż nazbyt chętnie o nim posłucham.

- Wypadło bardzo źle i to z bardzo różnych powodów - zaczął Marvin. - Było to tam - dodał, robiąc przerwę - tam, mniej więcej dwa kilometry stąd. - Swym znajdującym się akurat w nie najlepszym stanie ramieniem wykonał z wysiłkiem coś w rodzaju nieporadnego gestu. To ramię było jednak mimo wszystko w lepszym stanie niż drugie, beznadziejnie przyspawane do lewego boku. Wskazał w opisywanym kierunku najlepiej, jak umiał, i wyraźnie próbował udowodnić, że robi to najlepiej, jak umie. Przez mgłę i trzciny wskazywał na miejsce na bagnach, wyglądające dokładnie tak samo, jak każde inne miejsce na bagnach. - Tam - powtórzył. - Byłem wtedy dość sławny.

Materac ogarnęło podniecenie. Jeszcze nigdy nie słyszał o przemówieniach na Squornshellous Zeta, zwłaszcza o przemówieniach sławnych ludzi. Gdy przez plecy glurnęło mu mrowie, wytrysnęła z niego woda. Zrobił coś, na co materace rzadko się decydują. Zmobilizował całą energię, nawet najmniejszą jej drobinę, i uniósł swoje prostokątne ciało do góry, dźwignął je wysoko i drżąc, trwał tak przez parę sekund, wypatrując przez mgłę i trzciny miejsca w bagnie, które wskazywał Marvin, i stwierdził bez rozczarowania, że

wygląda dokładnie tak samo, jak każde inne miejsce na bagnach. Wysiłek był zbyt wielki i flucznął z powrotem w kałużę, opryskując Manrina śmierdzącym błotem, torfem i wodorostami.

- Przez krótki czas byłem sławny - zabuczał smutno robot - dzięki cudownemu i godnemu pożałowania ocaleniu od śmierci we wnętrzu płonącego słońca. Widzisz, jak wyglądam, możesz więc wywnioskować - dodał - jak mało brakowało, bym nie uszedł z życiem. Wyobraź sobie, że uratował mnie handlarz złomu. A teraz jestem tutaj, mózg wielkości... ach, dajmy temu spokój.

Przez chwilę ponuro włókł się w kółko.

- To on mnie doprowadził do użytku, przyprawiając tę nogę. Obrzydliwa, co? Sprzedał mnie do ZOO Myśli. Byłem tam gwiazdą ich zbiorów. Musiałem siedzieć na skrzynce i opowiadać swoje losy, a ludzie dogadywali mi, że bym nie tracił odwagi i próbował spojrzeć na wszystko przez pryzmat plusów swej sytuacji. „Rozchmurz no się, mały robocie! - wrzeszczeli. - Pośmiej się trochę!” Wyjaśniałem im wtedy, że doprowadzenie mojej twarzy do uśmiechu kosztowałoby każdy warsztat parę ładnych godzin pracy i udałoby się jedynie pod warunkiem, że mieliby solidny klucz francuski, i bardzo im się to podobało.

- Przemówienie! - upierał się materac. - Tak chętnie bym posłuchał o przemówieniu, które wygłosiłeś na bagnach.

- Nad bagnami zbudowano most, cybernetycznie spawany hipermost, długi na setki kilometrów, przez który miały przejeżdżać nad bagnem terenówki jonowe i pociągi towarowe.

- Most? - zakwilirlił materac. - Tu, na bagnach?

- Most - potwierdził Marvin. - Tu, na bagnach. Miał nakręcić gospodarkę systemu Squornshellous. Zainwestowano weń całe dochody systemu. Poprosili mnie, bym przeciął wstęgę. Biedni głupcy.

Zaczęło mżyć, przez mgłę przedzierały się drobne kropelki wody.

- Stałem na trybunie. Most rozciągał się setki kilometrów przede mną i setki za mną.

- Bił od niego blask? - z zachwytem zapytał materac.

- Bił.

- Majestatycznie łączył odległe o dziesiątki kilometrów punkty?

- Majestatycznie łączył odległe o dziesiątki kilometrów punkty.

- Ciągnął się jak srebrna nić daleko w nieprzeniknioną mgłę?

- Tak - potwierdził Marvin. - Chcesz posłuchać całej historii?

- Chciałbym usłyszeć twoje przemówienie - kolejny raz oznajmił materac.

- Właśnie o tym chcę mówić. Powiedziałem wtedy: „Z przyjemnością oznajmiłbym państwu, że jest dla mnie ogromną radością, zaszczytem i wyróżnieniem móc przekazać ten most do użytku, ale nie mogę, gdyż przestały mi funkcjonować wszystkie obwody kłamstwa. Wszystkich was nienawidzę i gardzę wami, a teraz uważam tę nieszczęsną budowlę za

otwartą dla wszystkich, którzy dobrowolnie chcą po niej przejść, by dokonać jej bezmózgiego zbeczeszczenia”. Potem podłączyłem się do obwodów otwierających.

Marvin zrobił przerwę, przypominając sobie tamtą chwilę.

Materac stralał i glunał. Flolopał, gupnał i przewilomił się, to ostatnie w szczególnie chlupliwy sposób.

- Wuun - wrufnął w końcu. - Czy było to wspaniałe wydarzenie?

- Dość. Most automatycznie złożył przesła na całej swej wynoszącej dziesiątki tysięcy kilometrów długości i płacząc, zatonał w bagnie, pociągając wszystkich za sobą.

W tym momencie w konwersacji nastąpiła smutna i straszna przerwa, w czasie której rozległ się dźwięk, jakby sto tysięcy ludzi nagle powiedziało „wap”, po czym z nieba spłynął rój białych robotów, podobnych do nasion lwiej paszczy, niesionych wiatrem w precyzyjnym militarnym ordynku. Przez pełną okrucieństwa chwilę roboty stały w bagnie, odrywając Marwinowi sztuczną nogę, i nim ktokolwiek zdążył mrugnąć okiem, były z powrotem w statku, który wydał z siebie jedno jedyne „fup”.

- Widzisz, z jakimi przeciwnościami losu muszę walczyć? - powiedział Marvin do gugającego materaca.

Chwilę później roboty znów się pojawiły, przeprowadziły drugi atak i gdy tym razem się ulotniły, materac został w bagnie sam. Zdziwiony i przestraszony flolopował, prawie że wliskał ze strachu. Uniósł się nad wodę, by spojrzeć ponad trzciny, ale nie było za nimi nic widać - żadnego robota, żadnego błyszczącego mostu, żadnego statku kosmicznego - jedynie dalsze trzciny. Nasłuchiwał, ale wiatr nie niósł żadnego dźwięku poza znanymi mu od dawna wrzaskami na wpół szalonych etymologów, którzy w oddali krzyczeli do siebie przez ponure bagna.

Rozdział 10

Artur Dent wirował wokół własnej osi.

Wszechświat rozprysnął się na milion błyszczących kawałków i każdy z nich płynął cicho przez pustkę, odbijając w swej srebrnej powierzchni obrazy spalającej wszystko i siejącej zniszczenie niepowtarzalnej katastrofy.

Ciemność za wszechświatem wybuchła i każda jej cząstka zmieniała się w nieposkromiony dym rodem z piekła. Runęła znajdująca się za ciemnością za wszechświatem nicość, potem za nicością za ciemnością za rozprysniętym wszechświatem pojawił się ciemny potężny kontur kogoś mówiącego potężne słowa.

- Wojny krikkitowe - mówiła siedząca w potężnym wygodnym fotelu postać - spowodowały największe zniszczenia w historii Galaktyki. To, co właśnie widzieliście...

Slartibartfast przefrunął, machając ręką.

- Widzicie film dokumentalny! - wołał. - To kiepski fragment. Strasznie mi przykro, właśnie próbuję znaleźć przycisk przewijania...

- ...biliony niewinnych...

- Nie dajcie się! - wołał Slartibartfast, znów przelatując i grzebiąc jak szalony w czymś, co sam wsadził w ścianę w kabinie iluzji informatycznych i co ciągle tam tkwiło. - Nie dajcie się i w nic nie wiercie!

- ...ludzi, istot, waszych bliźnich...

Zahuczała muzyka. Też potężna, o potężnych akordach. Zza postaci w fotelu powoli i jakby z ociąganiem wynurzyły się z niesamowicie wirującej mgły trzy wysokie kolumny.

- ...doświadczało, przeżywało przez lata, choć raczej częściej - nie przeżywało. Pamiętajcie o tym, przyjaciele. Nie zapominajmy! Zaraz pokażę wam sposób, który pomoże nam zawsze o tym pamiętać, że przed wojnami krikkitowymi Galaktyka była czymś wyjątkowym i wspaniałym, że była to szczęśliwa Galaktyka!

Muzyka z nadmiaru potęgi zupełnie oszalała.

- Szczęśliwa Galaktyka, drodzy przyjaciele, dokładnie jak zostało to przedstawione w symbolu bramy wikkitowej!

Widać było wyraźnie trzy kolumny - trzy kolumny z dwiema poprzeczkami, umieszczonymi w sposób, który zdezorientowanemu mózgowi Artura wydawał się zadziwiająco znajomy.

- Trzy kolumny - dudnił głos. - Kolumna stalowa, przedstawiająca potęgę i siłę Galaktyki!

Rozbłysły światła reflektorów i zaczęły wykonywać dzikie tańce w górę i w dół kolumny, wykonanej bez wątplenia ze stali lub czegoś bardzo podobnego. Muzyka dudniła i ryczała.

- Kolumna pleksiglasowa - oznajmił mężczyzna - przedstawiająca znaczenie nauki i rozumu w Galaktyce!

Światła kolejnych reflektorów zaczęły skakać w niezwykle sposób w górę i w dół prawej, przezroczystej kolumny, co wywołało pojawienie się w jej wnętrzu przedziwnych deseni, a w żołądku Artura Denta nagle spowodowało pojawienie się zupełnie niezrozumiałego apetytu na lody.

- Oraz - kontynuował grzmiący głos - kolumna drewniana, przedstawiająca znaczenie... - w tym momencie głos nieco zachryił z powodu natłoku emocji - ...przyrody i ducha.

Światła skierowały się na środkową kolumnę. Muzyka wzniosła się pompatycznie w sfery nieskazitelnego uduchowienia.

- Między nimi umieszczono - dudnił głos, dążąc do apogeum - złotą poprzeczkę bogactwa i srebrną poprzeczkę pokoju!

Budowla była teraz skąpana w cudownym świetle, na szczęście muzyka zdążyła już przekroczyć próg percepcji. Obie błyszczące poprzeczki opierały się i skrzyły na trzech kolumnach. Zdawało się, że siedzą na nich dziewczęta, być może anioły. Anioły są jednak zazwyczaj przedstawiane w bardziej kompletnej garderobie.

Nagle w mającej chyba przedstawiać kosmos przestrzeni zapadła dramatyczna cisza, a światła przygasły.

- Nie istnieje żaden świat - grzmiał doświadczony głos - ani jeden cywilizowany świat w Galaktyce, w której symbol ten nie byłby do dziś otaczany szacunkiem. Żyje on w świadomości narodów nawet na prymitywnych planetach. Zniszczyły go moce Krikkit, ale on zamknie ich świat aż po kres wieczności!

Orkiestra zagrała tusz, a w dłoniach mężczyzny pojawił się model bramy wikkitowej. W panującym wokół chaosie szalenie trudno było ocenić, w jakiej był zrobiony skali, model wyglądał jednak mniej więcej na metrowy.

- To oczywiście nie oryginał. Oryginał, jak każdy wie, został zniszczony, rozrzucony po wiecznie kłębiących się wirach czasoprzestrzeni i zginął na zawsze. To wspaniała kopia, wykonana ręcznie przez wyśmienitych artystów, którzy dzięki prastarym tajemnicom rzemieślniczym zbudowali ją pieczołowicie na wieczną pamiątkę. Będziecie ją przechowywać z dumą ku pamięci tych, którzy zginęli, i ku czci Galaktyki - naszej Galaktyki - w obronie której zginęli...

W tym momencie znów przeleciał obok nich Slartibartfast.

- Mam - oznajmił. - Możemy pozbyć się tych bzdur. Tylko nie kiwajcie teraz głowami.

- Pokłońmy się teraz z pokorą - zaintonował głos.

Potem powiedział wszystko jeszcze raz, tyle że znacznie szybciej i wspan. Zapaliły się i zgasły światła, kolumny zniknęły, mężczyzna bełkotał wspan sam do siebie. Wszechświat zrobił „bum” i znów poskładał się w całość.

- Kapujecie, co jest grane? - spytał Slartibartfast.

- Jestem zdziwiony i dezorientowany - oświadczył Artur.

- Spałem - powiedział Ford, który w tym momencie skądś się pojawił. - Straciłem coś?

Byli teraz na krawędzi potwornie wysokiej przepaści. Stali i widzieli, jak nad zatoką przed nimi - niby na puszczonej od tyłu filmie - rozprysnięte, płynące szczątki składają się z powrotem w jedną z największych i najpotężniejszych kosmicznych flot wojennych, jakie kiedykolwiek zebrano w Galaktyce. Niebo miało mętną, różową barwę i ciemniało, przechodząc przez zupełnie dziwny kolor w granat, a nieco bardziej od góry w czerń. W niesamowitym tempie spływały z niego kłęby dymu.

Wydarzenia mknęły do tyłu zbyt szybko, by je śledzić, gdy zaś wkrótce tuż obok przemknął olbrzymi, międzygwiazdny statek wojenny, wydając dźwięk, jakby wszyscy obecni powiedzieli „punt”, zrozumieli, że wrócili do momentu, od którego zaczęli wszystko oglądać. Dalsze wydarzenia toczyły się dla Forda i Artura zbyt szybko, zlewały w wideodotykową plamę, która kręcąc nimi, wprawiając w wirowanie i dygot, przepychała ich i przetrząsała przez stulecia galaktycznej historii. Słysząc było jedynie słabe pojękiwanie.

Od czasu do czasu w coraz bardziej zagęszczającym się kłębowisku wydarzeń spostrzegali przerażające wstrząsy, straszliwe okropności, niszczycielskie katastrofy, połączone niezmiennie z tymi samymi, ciągle powracającymi obrazami - jedynymi obrazami, jakie można było wyraźnie rozpoznać w lawinie zapadającej się historii.

Była to bramka do krykieta, mała, twarda czerwona piłka, oślepiająco białe roboty i coś mniej wyraźnego, ciemnego, zamazanego.

Było jednak jeszcze coś, co wyraźnie odcinało się od pędzącego strumienia wydarzeń.

Tak jak w następujących po sobie wolnych tyknięciach wraz z ich przyspieszeniem ginie dokładne odgraniczenie poszczególnych stuknięć i powoli stają się one nieprzerwanym, coraz wyższym dźwiękiem, tak i tu wiele następujących po sobie pojedynczych wrażeń zmieniło się w ciągle uczucie, choć nazywanie tego „uczuciem” nie jest najlepsze. Jeśli nazwać to uczuciem, to było absolutnie nieczułe. Właściwie była to nienawiść - nieprzejednana nienawiść. Była zimna, ale nie zimnem lodu, lecz ścianą. Była bezosobowa, ale nie bezosobowością przypadkowego uderzenia pięścią w tłumie, lecz bezosobowością wystawionego przez komputer mandatu. Była śmiertcionośna, znów jednak nie tak jak śmiertcionośne są kula czy nóż, lecz tak jak śmiertcionośny jest stojący w poprzek autostrady ceglany mur. Tak jak coraz wyższy dźwięk zmienia swe właściwości i im robi się wyższy,

tym bardziej jest harmonijny, tak tu to nieczułe uczucie zdawało się urastać do nieznośnego, choć niesłyszalnego krzyku, aż nagle zmieniło się we wrzask winy i rozczarowania.

Nagle zapadła cisza.

Stali na szczycie wzgórza, był przyjemny, cichy wieczór. Właśnie zachodziło słońce.

Dookoła, prawie aż po horyzont, łagodnie rozpościerały się lekko sfalowane zielone wzgórza. Ptaki śpiewały o tym, co sądzą o tym wszystkim - ich opinia zdawała się dobra. Nieopodal hałasowały bawiące się dzieci; tuż za miejscem, skąd rozlegały się krzyki, widać było w słabnącym świetle wieczora sylwetkę miasteczka. Miasteczko składało się w większości z dość niskich domów z białego kamienia. Horyzont tworzyły łagodne, przyjemnie zakrzywione linie. Słońce prawie zaszło.

Jakby znikąd rozległa się muzyka. Slartibartfast nacisnął guzik, i muzyka zamilkła.

- Oto... - powiedział jakiś głos.

Slartibartfast nacisnął inny guzik, i głos zamilkł.

- Opowiem wam o tym - powiedział łagodnie.

Okolica była spokojna. Artur czuł się szczęśliwy. Nawet Ford wydawał się wesoły. Przespacerowali się kawałek w stronę miasta. Informatyczna iluzja trawy była przyjemna i robiła pod stopami wiosenne wrażenie. Informatyczna iluzja kwiatów pachniała słodko i aromatycznie. Jedyne Slartibartfast wyglądał niespokojnie i nieswojo. Zatrzymał się i spojrzał w górę.

Nagle Arturowi wydało się, że teraz, kiedy wszystko zbliżało się do końca czy raczej ku początkowi okropności, które oglądali przed chwilą, musi się stać coś strasznego. Ciężyła mu myśl, że takiemu idyllicznemu miejscu jak to ma się przydarzyć coś strasznego. Także i on spojrzał w górę. Na niebie nie było nic widać.

- Chyba tu nie zaatakują, co? - spytał.

Zdawał sobie sprawę z tego, że spaceruje wewnątrz filmu, ale mimo wszystko był niespokojny.

- Nikt nie będzie atakował - głos Slartibartfaste drżał z emocji. - Jesteśmy w miejscu, z którego wszystko wzięło początek. To miejsce miejsc. To Krikkit.

Spojrzał w niebo. Od jednego krańca horyzontu do drugiego, ze wschodu na zachód, z północy na południe niebo było całkowicie i zupełnie czarne.

Rozdział 11

Tup tup. Bzzz.

- Zawsze do usług.

- Zamknij się.

- Dziękuję bardzo.

Tup tup tup tup tup.

Bzzz.

- Dziękuję bardzo, uszczęśliwił pan zwykłe drzwi.

- Mam nadzieję, że wkrótce zgniją ci diody.

- Dziękuję bardzo. Życzę miłego dnia.

Tup tup tup tup.

Bzzz.

- To przyjemność, otwierać się dla pana...

- Odzarkwoń się.

- ...i przyjemność, znów się zamykać wiedząc, że wykonałyśmy dobrą robotę.

- Powiedziałem: odzarkwoń się.

- Dziękujemy, że nas pan wysłuchał.

Tup tup tup tup.

Wap.

Zaphod stanął. Od wielu dni łąził, tupiąc po „Sercu ze Złota”, i dotychczas żadne drzwi nie powiedziały do niego „wap”. Był raczej pewien, że i teraz żadne drzwi nie powiedziały do niego „wap”. Drzwi nie mówiły takich rzeczy. Było to jak dla drzwi zbyt ciężkie. Poza tym nie istniało tyle drzwi. Słowo zabrzmiało bowiem, jakby „wap” powiedziało sto tysięcy ludzi, i to zaskoczyło Zaphoda, gdyż był na pokładzie zupełnie sam.

Było ciemno. Większość nieważnych systemów statku była wyłączona. Statek dryfował leniwie w odległej okolicy Galaktyki, pogrążony głęboko w kruczoczarnej ciemności przestrzeni. Skąd więc akurat tutaj miałyby się zjawić tajemnicze sto tysięcy ludzi i zupełnie nieoczekiwanie powiedzieć „wap”?

Rozejrzał się wokół, spojrzął w jeden, potem w drugi koniec korytarza. Wszystko było spowite głęboką ciemnością. Widać było, choć niewyraźnie, jedynie różowe kontury drzwi, które pulsowały światłem w momencie, gdy drzwi się odzywały, choć wypróbował wszystkie możliwe sposoby, by nie gadały. Światła były zgaszone, tak że głowy Zaphoda mogły uniknąć patrzenia na siebie, co było o tyle ważne, że obecnie ani jedna, ani druga nie wyglądały szczególnie efektownie, a wyglądały tak od chwili, gdy popełnił błąd i zajrzał w głębinę swej duszy.

To naprawdę był duży błąd.

Zdarzył mu się pewnego późnego wieczora. Oczywiście.

Miał za sobą ciężki dzień. Oczywiście.

W dźwiękowych układach statku szła uczuciowa muzyka. Oczywiście.

Był też wtedy - oczywiście - z lekka zalany.

Innymi słowy - spełnione były wszystkie warunki doprowadzające człowieka do grzebania sobie w duszy. Mimo wszystko bez wątpienia popełnił błąd.

Stojąc teraz milcząco i samotnie na korytarzu, przypominał sobie tamten moment i aż się wzdrygnął. Jedna głowa spozjrzała w jednym kierunku, druga w drugim i każda stwierdziła, że należy pójść tam, gdzie właśnie nie patrzy.

Przysłuchiwał się, nic jednak nie słyszał.

Jedyną rzeczą, jaką usłyszał, było „wap”.

Strasznie bezproduktywne wydało mu się zmuszanie tak ogromnej liczby osób do wypowiedzenia jednego słowa.

Z duszą na ramieniu zaczął się przemykać do centrali dowodzenia. Tam odzyska panowanie nad sobą.

Znów się zatrzymał. W jego obecnym stanie nie było chyba zbyt dużo nadziei, że odzyska panowanie nad sobą. Cofając się myślą, przypomniał sobie, że pierwszym szokiem było odkrycie, że ma duszę. W zasadzie zawsze mniej lub bardziej zakładał, że ją ma, posiadał przecież w komplecie wszystko inne, niektóre rzeczy nawet podwójnie, nagle jednak natknęcie się na owo czyhające głęboko w jego wnętrzu coś było ciężkim ciosem.

Odkrycie (był to szok numer dwa), że jego dusza nie jest tak na wskroś wspaniała, jak miał pełne prawo oczekiwać człowiek z jego pozycją, było kolejnym ciężkim ciosem.

Zastanowił się więc, czym właściwie jest pozycja, jaką zajmuje, i następny szok spowodował, że prawie rozlałby drinka. Szybko, zanim mogłoby mu się przydarzyć coś złego, wlał go sobie do gardła. Natychmiast wypił następnego, który miał pomknąć za pierwszym i sprawdzić, czy dobrze mu się wiedzie.

- Wolność - powiedział głośno.

W tym momencie do centrali weszła Trillian i wypowiedziała szereg entuzjastycznych słów na temat wolności.

- Nie mogę sobie z nią poradzić - ponuro przerwał Zaphod i posłał w dół gardła trzeciego drinka, który miał sprawdzić, dlaczego drugi nie wysłał jeszcze raportu o samopoczuciu pierwszego. Niepewnie spojrzął na obie Trillian i zdecydował się na prawą. Czwartego drinka posłał w dół drugą krtanią z zadaniem przerywania trzeciemu wagarów, zawarcia z nim sojuszu i wspólnego nakłonienia drugiego, by wziął się w garść. Wszystkie trzy miały rozpocząć poszukiwania pierwszego, miło z nim porozmawiać, może nawet coś mu zaśpiewać. Nie był pewien, czy czwarty drink wszystko dobrze zrozumiał, dlatego posłał za nim piątego, który miał mu jeszcze raz dokładnie wytłumaczyć plan, i szóstego dla moralnego wsparcia.

- Pijesz za dużo - stwierdziła Trillian.

Głowy Zaphoda zderzyły się, gdy próbował złożyć jedną osobę z czterech Trillian, które teraz widział. Zrezygnował, rzucił wzrokiem na monitor nawigacyjny i zdziwił się, widząc tak niesamowicie dużo gwiazd.

- Zabawa, przygody i szaleństwo... - wymamrotał.

- Słuchaj - powiedziała ze współczuciem w głosie Trillian, siadając obok - to przecież rozumiałe, że przez krótką chwilę wydajesz się sobie mało potrzebny.

Wybałuszył na nią oczy. Jeszcze nigdy nie widział kogoś, kto umiałby siedzieć u siebie na kolanach.

- Hej! - wrzasnął. Wychylił jeszcze jednego drinka.

- Wykonałeś zadanie, którym zajmowałeś się przez lata.

- Nie zajmowałem. Próbowałem robić wszystko, by się nim nie zajmować.

- Ale je wykonałeś.

Zaphod chrząknął. Wszystko wskazywało na to, że w jego żołądku odbywa się szalona prywatka.

- Myślę sobie, że to ono mnie wykończyło. Mogę lecieć, gdzie mi się spodoba, robić, co mi się spodoba, posiadam najfantastyczniejszy statek kosmiczny w znanym wszechświecie, dziewczynę, z którą mi się nieźle układa...

- Naprawdę?

- O ile umiem ocenić, ale nie jestem fachowcem od układów męsko-damskich...

Trillian uniosła brwi.

- Jestem szatan nie facet i mogę robić wszystko, na co mam ochotę, tyle że nie mam najbłedszego pojęcia, co to ma być... - Zawiesił głos. - Nagle jedno nie prowadzi do drugiego - dodał i zadając kłam tej mądrości, wlał sobie w gardło kolejnego drinka, po czym niezbyt elegancko zsunął się z krzesła.

W czasie gdy trzeźwiał, Trillian kartkowała należący do wyposażenia statku egzemplarz *Autostopem przez Galaktykę*. Zawierał kilka rad na wypadek stanu ciężkiego upojenia alkoholowego.

- Bierz się do roboty i dużo szczęścia! - przeczytała.

Był to równocześnie odnośnik do artykułu o wielkości wszechświata i informacja, jak sobie z nim radzić.

Następnie znalazła zapis o Han Wavel - egzotycznej planecie wypoczynkowej, będącej jednym z cudów Galaktyki.

Han Wavel jest planetą składającą się w większości z bajkowo ultraluksusowych hoteli i kasyn, ukształtowanych co do jednego wskutek wywołanej wiatrem i deszczem erozji. Szansa samoistnego powstania czegoś podobnego wynosi mniej więcej jeden do nieskończoności. Niewiele wiadomo o genezie zjawiska, gdyż żadnego z zapalonych do badań geofizyków, statystyków prawdopodobieństwa, analityków meteorów czy dziwnologów nie stać na pobyt na planecie.

„Szaleństwo” - pomyślała Trillian.

W parę godzin później wielkie, białe, mające kształt trampka „Serce ze Złota” powoli spływało z oświetlonego gorącym, jasnym słońcem nieba na iskrzące się mnóstwem kolorów, piaszczyste lotnisko międzyplanetarne. Na lądowisku statek stał się - oczywiście - sensacją i Trillian sprawiło to wielką przyjemność. Słyszała, że Zaphod kręci się po statku i pogwizduje.

- Co u ciebie? - zapytała przez radio pokładowe.
- Wspaniale - odparł rozanielony - niesamowicie fajnie.
- Gdzie jesteś?
- W łazience.
- Co tam robisz?
- Siedzę i nie zamierzam wychodzić.

Po godzinie czy dwóch stało się jasne, że nie żartował, i statek wrócił na nieboskłon bez otwarcia jednego luku.

- Hej ho! - odezwał się na to komputer pokładowy Eddie.

Trillian cierpliwie skinęła głową, trochę postukała tu i ówdzie palcami i nacisnęła na włącznik radia pokładowego.

- Wymuszona zabawa raczej nie jest tym, czego potrzebujesz, co?
- Raczej nie - odparł Zaphod z miejsca, w którym przebywał.
- Myślę jednak, że nieco wysiłku fizycznego mogłoby cię wyciągnąć ze skorupy, w którą się schowałeś.
- Bez względu na to, co myślisz, myślę to samo - odparł Zaphod.

NIEMOŻLIWOŚCI WYPOCZYNKOWE

Na tym napisie spoczął wzrok Trillian, gdy usiadła, by przeglądać *Autostopem przez Galaktykę*. Gdy „Serce ze Złota” mknęło z prędkością nieprawdopodobieństwa w nieokreślonym kierunku, popijała z filiżanki coś niemożliwego do picia, pochodzącego z pokładowego żywnościomatu, i czytała o lataniu.

Przewodnik *Autostopem przez Galaktykę* ma do powiedzenia następujące rzeczy o lataniu:

Latanie to sztuka, a raczej sztuczka.

Dowcip polega na tym, by nauczyć się rzucać na ziemię i nie trafiać w nią. Wybierz sobie ładny dzień i spróbuj. Początek jest bardzo prosty. Wymaga jedynie rzucenia się całym ciężarem do przodu i silnej woli, by nie przejąć się, kiedy zaboli. Dokładnie mówiąc, zaboli, jeśli nie uda ci się nie trafić w ziemię.

Większości ludzi nie udaje się nie trafiać w ziemię, co z dużym prawdopodobieństwem oznacza, że jeśli z uporem będą trenować, nie będzie im się to udawało z dużym impetem.

Bez wątplenia właśnie druga część, czyli nietrafienie, jest tym, co sprawia trudności.

Pewnym problemem jest, że w ziemię trzeba nie trafić przypadkowo. Nic nie daje świadome postanowienie nietrafienia w ziemię, gdyż wtedy nie wyjdzie. Należy dać sobie nagle odwrócić uwagę w momencie, gdy jest się w połowie drogi, i to tak, by nie myśleć ani o spadaniu, ani o ziemi, ani o tym, jak bardzo będzie bolało, jeśli nie uda się nie trafić w ziemię. Wiadomo, że ogromnie trudno jest odwrócić uwagę od tych trzech rzeczy akurat w trakcie ułamka sekundy, którym się dysponuje. Stąd też biorą się niepowodzenia większości ludzi i w końcu ich ocknięcie z zachwytu nad tym tak podniecającym i wymyślnym sportem.

Jeśli ma się jednak to szczęście, by w decydującym momencie stracić na krótko koncentrację, powiedzmy z powodu wspaniałej pary nóg (lub w zależności od gatunku i/albo osobistych upodobań czulków czy nibynózek), bomby, która wybucha w pobliżu, albo przez to, że nagle zauważy się pelzający po pobliskiej gałęzi niezmiernie rzadki okaz chrząszcza, to w absolutnym zdziwieniu zupełnie nie trafisz w ziemię i zawisniesz nad nią na wysokości kilku centymetrów w sposób mogący jednak sprawiać wrażenie nieco głupiego.

Jest to moment wymagający najwyższej koncentracji. Daj się nieść i szybuj, szybuj i pozwalaj się nieść.

Zrezygnuj z rozmyślania, jaki to właściwie jesteś ciężki, i daj się unieść wyżej.

Nie słuchaj, co w tym momencie zaczną mówić do ciebie ludzie, gdyż najprawdopodobniej nie powiedzą niczego, co mogłoby ci pomóc.

Najprawdopodobniej będą mówić coś w stylu:

„O mój Boże, to niemożliwe, żebyś leciał!”

Jest niesamowicie ważne, byś im nie uwierzył, bo jeśli uwierzysz, to natychmiast będą mieli rację.

Pozwól sobie unosić się wyżej i wyżej. Spróbuj kilku lotów nurkowych - najpierw bardzo ostrożnie, potem poszybuj nad koronami drzew i równomiernie oddychaj.

NIKOMU NIE MACHAJ RĘKĄ.

Gdy polecisz kilka razy, odkryjesz, że chwila tracenia koncentracji staje się coraz łatwiejsza do osiągnięcia. Wkrótce nauczysz się panować nad lotem, szybkością, zwrotnością. Największa trudność polega na tym, by nie zacząć zbyt gwałtownie dumać, co się chce robić, lecz pozwolić sprawie dziać się samej. Nauczysz się też, jak prawidłowo lądować - co przy pierwszej próbie z dość dużą pewnością dokładnie spartaczysz.

Istnieją prywatne kluby, które pomagają wyczuć ów podstawowej wagi moment utraty koncentracji. Zatrudniają one ludzi z fascynującymi ciałami lub poglądami, którzy w krytycznym momencie wypadają zza krzaków i prezentują swe dala i/lub wykładają swe poglądy. Tylko nieliczni autostopowicze mieliby szansę na członkostwo w tych klubach, niektórzy mogliby jednak dostać w nich pracę na godziny.

Trillian przeczytała to z rozrzewnieniem, doszła jednak - choć niechętnie - do wniosku, że Zaphod nie jest w nastroju, by próbować latania, maszerować przez góry ani przekonywać brantisvogoński wywiad, żeby uznał przedstawiane mu zaświadczenie o przemeldowaniu się, a były to kolejne rzeczy wymienione pod tytułem

NIEMOŻLIWOŚCI ROZRYWKOWE.

Skierowała statek na Allosimaniusa Synekę - planetę z lodu i śniegu, niesamowicie zimną i tak piękną, że dusza doznaje wstrząsu. Wędrówka z zasypanej śniegiem równiny Liski na szczyty utworzonych z lodowych kryształów piramid Sastantui jest długa i wyczerpująca, nawet jeśli ma się odrzutowe narty i hordę synekajskich psów arktycznych, ale widok z góry, obejmujący lodowcowe pola Stinu, połyskujące Góry Pryzmatyczne i tańczące eterycznie w oddali lodowe światła, jest czymś, co duszę najpierw zamraza na kość, potem ją jednak

powoli wyrzuciła na nie znane jej dotąd głębie piękna, a Trillian miała wrażenie, że dobrze zrobiłoby jej wyrzucenie duszy na nie znane dotąd głębie piękna.

Zeszła na niższą orbitę. W dole leżało srebrnobiałe piękno Allosimaniusa Syneki.

Zaphod leżał w łóżku. Jedną głowę wbił pod poduszkę, druga zajęta była do późnej nocy rozwiązywaniem krzyżówek.

Trillian kolejny raz cierpliwie kiwnęła głową i policzyła w myślach do dość dużej liczby. Powiedziała sobie w duchu, że tym, co się teraz liczy, jest zmuszenie Zaphoda do rozmowy.

Doprowadzając do ruiny wszystkie pokładowe żywnościomaty kuchenne, wyprodukowała najbardziej bajkowo pyszne jedzenie, na jakie stać było jej wyobraźnię - delikatnie obsmażone w oleju mięso, aromatyczne owoce, pięknie pachnące sery, wyborne aldebarańskie wina.

Zaniosła wszystko Zaphodowi i zapytała, czy jest w nastroju, by pogadać.

- Odzarkwoń się - padła odpowiedź.

Trillian spokojnie skinęła głową sama do siebie, policzyła w myślach, dochodząc do jeszcze większej liczby, pchnęła tacę nieco na bok, poszła do kabiny teletransportu i wyteleportowała się czym prędzej z życia Zaphoda.

Nie zaprogramowała współrzędnych - nie miała nawet cienia pomysłu, dokąd się udać. Po prostu odeszła - jako przypadkowy szereg tańczących przez wszechświat punkcików.

- Nic nie może być gorsze od tego - mruknęła pod nosem, odchodząc.

- Zgadzam się w zupełności - wymamrotał Zaphod, obrócił się na bok i bezskutecznie próbował zasnąć.

Następnego dnia snuł się niespokojnie przez puste korytarze statku i mimo iż wiedział, że Trillian odeszła, udawał, że jej nie szuka. Odciał się od słuchania zrzędzenia komputera, co u diabła się właściwie dzieje, naklejając na niektóre terminale elektroniczne kneble. Po paru dniach zaczął gasić światła. Nie istniało nic, co warto by oglądać. Nic się więcej nie wydarzy.

Leżąc pewnej nocy w łóżku - obecnie na pokładzie statku panowała bez przerwy noc - postanowił wziąć się w garść i doprowadzić sprawę do jako takiego porządku. Bez zastanowienia wstał i się ubrał. Uznał, że we wszechświecie musi istnieć ktoś, kto czuje się jeszcze żałośniej, nieszczęśliwiej i samotniej od niego, i postanowił go poszukać. W połowie drogi do centrali dowodzenia wpadła mu do głowy myśl, że tą istotą może się okazać Marvin, wrócił więc do łóżka.

Kilka godzin później zrozpaczony snuł się po ciemnych korytarzach i kłął na jedne po drugich przyjazne drzwi, znów usłyszał „wap” i znów mocno go to przestraszyło. W napięciu przyłgął do ściany korytarza, marszcząc czoło jak ktoś, kto próbuje telekinetycznie wyprostować korkociąg. Przyłożył czubki palców do ściany i poczuł niezwykłą wibrację. Potem wyraźnie usłyszał ciche odgłosy, wiedząc od razu, skąd pochodzą - z centrali dowodzenia. Przesunął dłoń wzdłuż ściany, dotknął czegoś i ucieszył się, że to znalazł. Cicho przesunął się kawałek dalej.

- Komputer? - syknął jak najciszej.
- Hmm? - zapytał znajdujący się tuż obok terminal, także bardzo cicho.
- Czy ktoś jest na statku?
- Hm - odpowiedział komputer.
- Kto?
- Hmm mmm mmmmmmm - odparł komputer.
- Co?
- Hmm mmmmm mmm mmmmmmm.

Zaphod schował jedną z twarzy w dwie ze swych rąk.

- Święty Zarkwonie - wymruczał. Spojrzał wzdłuż korytarza w kierunku drzwi do centrali dowodzenia, skąd słyhać było coraz więcej wyraźniejszych odgłosów i gdzie znajdowały się zakneblowane terminale komputera.

- Komputer - syknął znowu.
- Hmm?
- Jeśli zdejmę ci kneble...
- Hmm.
- To przypomnij mi, żebym się sprął po gębie.
- Hmm mmm?

- Po obu gębach. Teraz mi tylko odpowiedz. Raz znaczy tak, dwa - nie. Czy to niebezpieczne?

- Hmm.
- Tak?
- Hmm.
- Nie powiedziałaś przypadkiem dwa razy „hmm”?
- Hmm hmmm.
- Hmm.

Centymetr po centymetrze skradał się wzdłuż korytarza z wyrazem twarzy świadczącym, że wolałyby pędzić wzdłuż niego metr za metrem. Tak też było.

Brakowało mu dwóch metrów do centrali dowodzenia, gdy zauważył z przerażeniem, że drzwi wejściowe właśnie zamierzają przyjacielsko się zachować, zamarł więc w bezruchu. Dotychczas nie zdołał wyłączyć ich obwodów głosowo-grzecznościowych.

Z wnętrza centrali dowodzenia nie było widać drzwi wejściowych (wynikało to z pasjonująco topornej techniki tworzenia krzywizn, którą posłużono się przy budowie statku) i Zaphod miał nadzieję, że wejdzie nie zauważony. Oparł się przygnębiony o ścianę i powiedział kilka słów, które dość mocno zaszokowały drugą głowę.

Zaphod wpatrywał się w ledwie widoczny różowawy kontur drzwi i stwierdził, że w ciemności korytarza widzi niewyraźny obrys pola sensorowego; obejmowało ono kawałek

korytarza przed drzwiami, mający przekazać im informację, że ktoś się zbliża i że należy się otworzyć i powiedzieć kilka radosnych i miłych słów.

Przycisnął plecy do ściany, jakby chciał się rozplaszczyc, i ostrożnie osunął na podłogę, kurcząc przy tym ile się da klatkę piersiową, by w żadnym wypadku nie dotknąć bardzo niewyraźnych obrzeży pola sensorowego. Wstrzymał oddech i pogratulował sobie, że przez ostatnie dni leżał w marnym nastroju w łóżku, a nie próbował wyładowywać emocji w pomieszczeniu gimnastycznym, ćwicząc mięśnie klatki piersiowej.

Uświadomił sobie, że musi teraz coś powiedzieć.

Wziął kilka płytkich oddechów, potem najszybciej i najciszej, jak umiał, powiedział:

- Drzwi, jeśli mnie słyszycie, powiedzcie mi to bardzo, bardzo cicho.

Bardzo, bardzo cicho drzwi wyszeptały:

- Słyszemy cię.

- Dobrze. Za chwilę poproszę was, byście się otworzyły. Gdy się otworzycie, chciałbym, byście nie mówiły, że sprawiło wam to przyjemność. Dobrze?

- Dobrze.

- Nie chciałbym też, byście oświadczały, że uszczęśliwiłem zwykłe drzwi, ani że to dla was wielka radość otwierać się dla mnie i że jesteście zadowolone, iż możecie znów się zamykać ze świadomością wykonania dobrej roboty. Dobrze?

- Dobrze.

- I nie chcę, byście mi życzyły miłego dnia, jasne?

- Jasne.

- Świetnie - powiedział Zaphod i wstał. - Teraz się otwierajcie.

Drzwi bezgłośnie się rozsunały. Zaphod bezgłośnie się przez nie prześlizgnął. Drzwi bezgłośnie się za nim zamknęły.

- Czy było tak, jak pan sobie życzył, panie Beeblebrox...? - głośno zapytały drzwi.

- Wyobraźcie sobie - odezwał się Zaphod do grupy białych robotów, które w tym samym momencie odwróciły się i wbiły w niego wzrok - że mam w ręku bardzo skuteczny zabójcomat.

Zapadła niesamowicie lodowata i wroga cisza. Roboty patrzyły przeraźliwie martwymi oczami. Stały w zupełnym bezruchu. Ich wygląd miał w sobie coś makabrycznego, szczególnie dla Zaphoda, który dotychczas nie widział czegoś podobnego, a nawet nie słyszał o tych istotach. Wojny krikkitowe należały do prastarej przeszłości Galaktyki, a Zaphod większą część nauki prehistorii spędził na snuciu planów, jak przespać się z dziewczyną z sąsiedniej cyberkabiny. W momencie gdy włączył do realizacji swego planu swój komputer uczący, skasował mu prawie całkowicie obwody historyczne i zastąpił je szeregiem innych pomysłów. Doprowadziło to do tego, że komputer wycofano z użytku i wysłano do schroniska dla zdegenerowanych cybermatów, dokąd poszła za nim dziewczyna, która niechcący śmiertelnie się zakochała w nieszczęsnym aparacie. W rezultacie Zaphod a) nigdy

nie zdołał się do niej zbliżyć i b) stracił omawianie okresu prehistorii, którego znajomość miałyby dla niego w tej chwili bezcenne znaczenie.

Przerażony wpatrywał się w roboty.

Nie sposób tego wyjaśnić, ale gładkie, elastyczne białe ciała sprawiały wrażenie absolutnego ucieleśnienia klinicznie czystego zła. Od przeraźliwie martwych oczu aż po silne, nieruchome stopy były bez wątpienia doskonale przemyślanym produktem umysłu chcącego jedynie zabijać. Zaphoda zaczął dusić nagi strach.

Roboty rozmontowały już część tylnej ściany centrali dowodzenia i przebiły korytarz przez niektóre z najważniejszych instalacji statku. Ku swemu jeszcze większemu przerażeniu Zaphod zauważył przez splątane szczątki, że były właśnie w trakcie drążenia tunelu w kierunku centrum statku, ku podwalinie wytrząśniętego - jak wiadomo - z rękawa napędu nieprawdopodobieństwa. Dokładnie mówiąc: roboty przebijały się do samego serca ze złota. Stojący najbliżej Zaphoda robot patrzył, jakby oceniał każdą cząsteczkę jego ciała, duszy i możliwości. Kiedy przemówił, wrażenie to jeszcze się nasiliło. Zanim przejdziemy do tego, co powiedział, należy przypomnieć, że Zaphod był pierwszą od ponad dziesięciu bilionów lat organiczną istotą słyszącą mowę któregoś z tych stworów. Gdyby większą wagę przykładał do nauki, a mniejszą do swych potrzeb biologicznych, być może to wyróżnienie zrobiłoby na nim większe wrażenie.

Głos robota był taki sam jak ciało - zimny, gładki, martwy. Był lekko chrapliwy jak u ludzi z wyższych sfer. Brzmiał tak staro, jak stary był naprawdę.

- Masz w ręku zabójcomat - odezwał się robot.

Przez chwilę Zaphod nie wiedział, co mają znaczyć te słowa, potem jednak spojrzął na swą rękę i stwierdził z ulgą, że to, co wyciągnął z zamocowanego przy ścianie uchwytu, naprawdę było tym, co myślał, że znalazł.

- Tja - potwierdził bardzo sprytnie, pozorując coś w rodzaju ironicznej ulgi - no tak, nie chciałbym przemęczać twej wyobraźni, robocie.

Przez chwilę nikt się nie odzywał. Zaphod rozumiał, że roboty najwyraźniej nie przyleciały, po to, by prowadzić konwersację, i podtrzymywanie jej należy do niego.

- Stwierdzam ze zdziwieniem, że zaparkowaliście swój statek w poprzek mojego... - powiedział, kiwając jedną z głów w odpowiednim kierunku.

Był to niepodważalny fakt. Zupełnie nie troszcząc się o właściwe zachowanie, roboty zmaterializowały swój statek, gdzie chciały, by się znajdował; sterczał on w poprzek „Serca ze Złota”, jakby oba statki były wciśniętymi w siebie na krzyż grzebieniami.

Roboty znów nie odpowiedziały i Zaphod zadał sobie pytanie, czy rozmowa nie rozkręciłaby się lepiej, gdyby zaczął ujmować swe kwestie w formę pytań.

- ...nieprawdaż? - dodał.

- Zgadza się - odparł robot.

- Eee... to świetnie - powiedział Zaphod. - Co tu robicie, chłopcy?

Milczenie.

- Roboty! - zniecierpliwiał się Zaphod. - Co tu robicie, roboty?

- Przybyliśmy - wyskrzeczwał robot - by zabrać złotą poprzeczkę.

Zaphod skinął głową. Zaczął wymachiwać pistoletem, by wyciągnąć z robotów dalsze informacje. Wyglądało na to, że roboty pojęły jego intencję.

- Złota poprzeczka jest częścią klucza, który musimy znaleźć - kontynuował robot - by uwolnić naszych panów z Krikkit.

Zaphod znów skinął głową i zaczął wymachiwać pistoletem.

- Klucz - ciągnął robot - został rozproszony w przestrzeni i czasie. Złota poprzeczka jest częścią maszyny napędzającej twój statek. Zostanie ponownie włączona do klucza. Nasi panowie zostaną uwolnieni. Odbudowa wszechświata postępuje.

Zaphod jeszcze raz skinął głową.

- O czym ty właściwie gadasz? - zapytał.

Przez zupełnie pozbawioną wyrazu twarz robota przemknęło coś jakby lekkie cierpienie. Powoli zaczynał chyba uważać rozmowę za deprymującą.

- Mówię o zniszczeniu - powiedział. - Szukamy klucza - powtórzył. - Mamy już kolumnę drewnianą, kolumnę stalową i kolumnę pleksiglasową. Za kilka sekund będziemy mieli złotą poprzeczkę...

- Nie będziecie.

- Będziemy - upierał się robot.

- Z pewnością nie. Ona napędza mój statek.

- Za kilka sekund - powtórzył cierpliwie robot - będziemy mieli złotą poprzeczkę...

- Nie będziecie.

- A potem musimy lecieć - dodał robot bardzo poważnie - na prywatkę.

- Ach. - Zaphod był wyraźnie zaskoczony. - Mogę lecieć z wami?

- Nie. Zastrzelimy cię.

- Naprawdę? - Zaphod odważnie wymachiwał pistoletem.

- Jak najbardziej - oświadczył robot. Cała grupa wystrzeliła w Zaphoda salwę.

Zaphod był tak zdziwiony, że roboty musiały strzelić jeszcze raz, by upadł.

Rozdział 12

- Ciii... - syknął Slartibartfast. - Słuchajcie i uważajcie.

Nad starożytnym Krikkit właśnie zapadła noc. Niebo było ciemne i puste. Światło płynęło jedynie z pobliskiego miasta, z którego lekka bryza przynosiła też przyjemne, świąteczne odgłosy. Stali pod pachnącym odurzająco drzewem. Artur kucnął i dotknął informatycznej iluzji gruntu i trawy. Przeciągnął przez nią dłonią. Grunt zdawał się ciężki i tłusty, trawa mocna. Trudno było nie mieć wrażenia, że to pod każdym względem zachwycający zakątek.

Niebo było całkowicie puste i Arturowi zdawało się, że na idylliczny, choć niewidoczny krajobraz spływa z niego coś w rodzaju zimnych dreszczy. Wrażenie to - przypuszczał - miał jednak tylko dlatego, że był przyzwyczajony do innych widoków.

Poczuł na ramieniu dłoń i uniósł wzrok. Slartibartfast milcząco starał się zwrócić jego uwagę na coś niżej, po drugiej stronie wzgórza. Spojrzał we wskazanym kierunku i ujrzał, choć z trudem, kilka niewyraźnych świateł, które tańcząc i migocząc, zbliżały się powoli w ich kierunku. Gdy były wystarczająco blisko, pojawiły się też dźwięki, i wkrótce niewyraźne światła i hałasy okazały się grupką ludzi wracających przez wzgórza do miasta. Przeszli tuż obok stojących pod drzewem obserwatorów. Nieśli latarnie, których ruch powodował, że między drzewami i trawami skakały łagodne, zawadiackie światła. Paplali zadowoleni, niektórzy śpiewali piosenkę o tym, jak wszystko jest niesamowicie piękne, jacy są szczęśliwi, jak wielką satysfakcję sprawia im praca na roli i jak przyjemnie jest iść do domu, do żony i dzieci. Piosenka kończyła się wesołym refrenem o tym, jak szczególnie przyjemnie pachną o tej porze roku kwiaty i jaka szkoda, że pies zdechł. Przecież tak ich kochał.

Artur oczami duszy ujrzał Paula McCartneya, siedzącego wieczorem przed kominkiem z nogami na stołeczku, nucącego tę piosenkę do ucha Lindzie i zastanawiającego się, co mógłby kupić za uzyskane z niej tantiemy. Prawdopodobnie byłoby to hrabstwo Essex.

- Władcy Krikkit - prawie bezgłośnie wydyszał grobowym głosem Slartibartfast.

Słowa te tak nagle przerwały rozmyślenia Artura o Essex, że przez chwilę czuł się zupełnie zagubiony. Logika sytuacji sprawiła jednak, że jego roztargniony umysł wziął się w garść, i stwierdził, że nie rozumie, co stary ma na myśli.

- Co?

- Władcy Krikkit - powtórzył Slartibartfast. Jeśli poprzednio miał grobowy głos, to teraz szeptał jak chory na bronchit mieszkaniec Hadesu.

Artur popatrzył w kierunku przechodzących ludzi i próbował na podstawie garści informacji, jakie posiadał, pojąć o co tu chodzi.

Osobnicy, których widział, z pewnością wyglądali obco, ale brało się to jedynie stąd, że byli nieco za duzi, zbyt chudzi, nadmiernie kanciąsci i tak bladzi, że wydawali się prawie biali. Z drugiej strony robili wybitnie miłe wrażenie. Choć nie - wyglądali nieco cudacznie, nie chciałoby się odbyć z nimi długiej podróży pociągiem; było jednak faktem, że jeśli ich widok w jakiś sposób wywoływał myśl, że nie są dobrymi i uczciwymi ludźmi, to dlatego że byli zbyt ładni, a nie niewystarczająco ładni. Po co więc ta dysząca gimnastyka płuc Slartibartfaste, która nadawałaby się znacznie bardziej do radiowej reklamy filmu o człowieku z piłą łańcuchową, który zabiera pracę do domu?

Cała historia z Krikkit była dość skomplikowana. Artur jeszcze nie w pełni pojmował, jaki istnieje związek między tym, co znał jako krykiet, a...

Slartibartfast przerwał myśli Artura, jakby wyczuł, co mu chodzi po głowie.

- Gra, którą znasz pod nazwą krykiet - zaczął, przy czym jego głos zdawał się jeszcze błądzić w podziemnych czeluściach - jest jednym z dziwnych kaprysów podświadomości kolektywnej, która w pamięci narodu potrafi zachować obrazy jeszcze długo po zaginięciu ich prawdziwego znaczenia we mgle czasu. Ze wszystkich ras Galaktyki jedynie Anglicy byli w stanie przypomnieć sobie najstraszliwsze wojny, jakie szalały w całej historii wszechświata, i przerobili wspomnienia na coś, co - ku mojemu ubolewaniu - jest ogólnie uznawane za nieopisanie nudną i bezsensowną grę. Sam dość ją lubię - dodał - ale większość mieszkańców Galaktyki wini was za najbardziej groteskowe wydanie złego smaku, jakie tylko można mieć. Ten pomysł z czerwoną piłeczką, która musi trafić w bramkę... to bardzo nieeleganckie.

- Hm - mruknął Artur, marszcząc czoło z namysłem, by pokazać, że jego synapsy poznawcze robią, co mogą. - Hm.

- A to właśnie ci. - Slartibartfast znów zniżył głos, regulując go do poziomu dochodzących z krypty gardłowych dźwięków i wskazując na mężczyznę z Krikkit, którzy rozpętali całą historię. - Wszystko zacznie się dziś wieczorem. Chodźcie, pójdziemy za nimi i zobaczymy, jak to się stało.

Wyczołgali się spod drzewa i poszli za radosną grupą ścieżką przez pagórki. Instynkt im podpowiadał, że należy skradać się za zwierzyną cicho i w ukryciu, spacerowali jednak w środku iluzji informatycznej, tak samo dobrze mogliby więc dać w rogi myśliwskie i robić dowolne hałasy, a ludzie z przodu i tak nie zwróciliby na nich uwagi.

Artur zauważył, że kilku ludzi z grupki przed nimi śpiewa nową piosenkę. Przez noc płynęły perlisterony - była to romantyczna ballada, na której McCartney zarobiłby bez problemów na kupno hrabstw Kent i Sussex i jeszcze mógłby sobie pozwolić na złożenie uczciwej propozycji względem hrabstwa Hampshire.

- Z pewnością wiesz - zwrócił się Slartibartfast do Forda - co zaraz się wydarzy?
- Ja? - odparł Ford. - Nie.
- Nie uczyłeś się jako dziecko prehistorii Galaktyki?
- Siedziałem w cyberkabinie za Zaphodem, co bardzo odwracało moją uwagę. Nie znaczy to, że nie nauczyłem się paru niesamowitych rzeczy.

W śpiewanej przez idących przed nimi ludzi piosence Artur usłyszał coś dziwnego. Ośmiotaktowa środkowa część, która pozwoliłaby McCartneyowi raz na zawsze osiąść w Winchester i rzucać pożądliwe spojrzenia przez Test Valley na znajdujące się za nią żyzne dobra New Forest, zawierała kilka dziwnych linijek. Autor tekstu opowiadał o randce z dziewczyną nie „w świetle księżycy” czy „pod gwiazdami”, lecz „nad trawnikiem”, co wydało się Arturowi nieco prozaiczne. Spojrzał więc ponownie na zaskakująco puste niebo i odniósł wrażenie, że kryje się za tym coś ważnego, choć nie był w stanie domyślić się co. Niebo wywoływało odczucie, że jest się samemu we wszechświecie, i Artur głośno o tym powiedział.

- Nie - odparł Slartibartfast, przyspieszając kroku. - Ludzie z Krikkit nigdy nie pomyśleli: „Jesteśmy sami we wszechświecie”, gdyż są otoczeni olbrzymią chmurą pyłu, rozumiesz, w środku której są wyłącznie ich słońce i planeta, całość zaś leży bardzo daleko, na najdalszym wschodnim krańcu Galaktyki. Z powodu tej wielkiej chmury pyłu nigdy nic się nie pojawiało na niebie. W nocy jest absolutnie puste. W dzień widać słońce, ale nie można patrzeć w nie wprost i dlatego nikt tego nie robił. Prawie nie zauważali nieba. To tak, jakby mieli w oczach ślepą plamkę obejmującą sto osiemdziesiąt stopni - od horyzontu do horyzontu. Powód, dlaczego nigdy nie pomyśleli „Jesteśmy sami we wszechświecie”, jest taki, że aż do dzisiejszego wieczora nie mieli zielonego pojęcia o istnieniu wszechświata. Aż do dzisiejszego wieczora. - Szedł dalej, dźwięki słów rozkwitały w powietrzu za jego plecami. - Wyobraź sobie, nigdy nie pomyśleć „Jesteśmy sami” po prostu dlatego, że nikomu nie przyszło na myśl, że można żyć inaczej. Obawiam się, że może to być nieco denerwujące.

Jeszcze mówił, gdy wysoko nad sobą usłyszeli cichy pisk. Przestraszeni spojrzeli w górę, przez chwilę nie byli jednak w stanie nic dostrzec. Artur zauważył, że hałas usłyszeli też ludzie przed nimi, lecz żaden z nich nie jest w stanie go umiejscowić. Zaskoczeni rozglądali się dookoła, patrzyli w lewo, w prawo, do przodu, w tył, nawet w dół. Zupełnie nie wpadło im do głowy, by spojrzeć w górę.

Ogrom przerażenia i oburzenia, którym wybuchnęli kilka chwil później, gdy łomocząc i wyjąc, zwałił się z nieba i uderzył w ziemię około pół kilometra od miejsca, w którym stali, płonący wrak statku kosmicznego, to coś, co można w pełni pojąć jedynie, jeśli się przy tym było.

Niektórzy mówią pełnym szacunku szeptem o „Sercu ze Złota”, inni - o statku „Bistromat”. Większość mówi jednak z szacunkiem o legendarnym, gigantycznym

krążownika „Titanic”, majestatycznym i luksusowym liniowcu pasażerskim, który zwodowano przed kilkoma stuleciami w wielkich stoczniach w kompleksie planetoid Artefaktovol - a są ku temu znaczące powody.

Statek był sensacyjnie piękny, przytłaczająco ogromny i wyposażony bardziej zachwycająco niż jakikolwiek statek kosmiczny owych czasów, będących obecnie jedynie historią (porównaj ze znajdującymi się niżej uwagami dotyczącymi „Kampanii na rzecz realnego czasu”), miał jednak pecha, że został zbudowany w pierwszych dniach rozwoju fizyki nieprawdopodobieństwa, na długo nim w pełni zrozumiano, czy choćby jako tako pojęto, tę trudną i przewrotną dziedzinę nauki.

Konstruktorzy i inżynierowie, w swej niewiedzy, zdecydowali się wbudować w statek prototyp pola nieprawdopodobieństwa, co miało dać nieskończone nieprawdopodobieństwo, że kiedykolwiek zdarzy się cokolwiek złego z jakąkolwiek jego częścią. Nie rozumieli, że z powodu quasizwrotnej i cyklicznej natury wszelkich obliczeń z zakresu nieprawdopodobieństwa, wszystko, co ma być nieskończenie nieprawdopodobne, w rzeczywistości wydarzy się prawie w tej samej chwili, co je wyliczono.

Widok krążownika „Titanic” zadokowanego w oświetlonej laserami sieci rusztowań, leżącego jak arkturiański megapusty wieloryb srebrzysty, był niesamowicie piękny. Na tle głębokiej międzygwiazdnej ciemności wyglądał jak świecąca chmura z igieł i palików światła. Zsuwając się z pochylni, nie zdążył nawet nadać do końca swego pierwszego radiokomunikatu - SOS - gdyż nie wiadomo, jak i dlaczego przytrafiło mu się wypaść z bytu.

Tak się składa, że wydarzenie było nie tylko katastrofalną porażką jednej nauki już na etapie raczkowania, lecz też przyczyną apoteozy innej. Badania opinii publicznej dowiodły bez najmniejszej wątpliwości, że transmisję telewizyjną z wodowania „Titanica” oglądało więcej ludzi, niż istniało, co do dziś uważa się za największy sukces w historii tej nauki.

Innym spektakularnym wydarzeniem owych czasów było pojawienie się supernowej gwiazdy, której ofiarą w kilka godzin później padła planeta Ysllodins. Wokół Ysllodins znajduje się - czy raczej znajdowała - większość dużych towarzystw ubezpieczeniowych.

Jeśli jednak o tych i innych wielkich statkach kosmicznych (na myśl przychodzi na przykład tworzące pancerną flotę galaktyczną: pfg „Ryzyko”, pfg „Szaleńcza Odwaga” i pfg „Samobójcze Szaleństwo”) mówi się zwykle z estymą, dumą, zapałem, miłością, zachwytem, żalem, zazdrością, oburzeniem, czyli z większością bardziej znanych emocji, to największe zdziwienie wywołał jak dotychczas „Krikkit I” - pierwszy statek kosmiczny zbudowany przez mieszkańców Krikkit.

Wcale nie dlatego, że był przepiękny. Oj, nie był.

Sprawiał wrażenie pozbieranej przez szaleńca sterty śmieci. Wyglądał, jakby został sklecony na czyimś podwórku, no ale w końcu klecono go na podwórku. Najbardziej zadziwiało jednak nie to, że został dobrze zbudowany, bo tak nie było, lecz fakt, że w ogóle go zbudowano. Czas, jaki minął między chwilą, gdy mieszkańcy Krikkit odkryli, że istnieje

coś takiego jak kosmos, a odpaleniem ich pierwszej rakiety kosmicznej, wynosił mniej więcej rok.

Gdy Ford Prefect przypinał się pasem, był przeogromnie wdzięczny, że to tylko kolejna iluzja informatyczna i że jest bezpieczny. W rzeczywistości nie postawiłby na tym statku nogi za całe sake Chin. Pierwszym zdaniem, które przychodziło do głowy, gdy wchodziło się na pokład, było: „Niesamowicie rozklekotany”, drugim: „Czy mogę stąd wyjść?”

- To lata? - zapytał Artur, rzucając zrozpaczone spojrzenia na luźno powiązane kable i bujające się tu i ówdzie w ciasnym wnętrzu druty.

Slartibartfast zapewnił, że twór polecą, są całkowicie bezpieczni, a całość będzie niezwykle instruktażowa i ani trochę męcząca.

Ford i Artur postanowili, że usadowią się swobodnie w fotelach i będą przerażeni.

- Czemu by - spytał Ford - nie zwariować?

Przed Fordem i Arturem, i oczywiście bez pojęcia o obecności intruzów (bo przecież nie było ich w kokpicie) siedzieli trzej piloci. Byli również konstruktorami statku. Pamiętnego wieczora szli ścieżką przez pagórki, śpiewając poprawiające nastrój i rozlewające ciepło wokół serca piosenki. Uderzenie tuż obok nich obcego statku kosmicznego troszeczkę przewracało im w głowach. Spędzili tygodnie na wydzieraniu z wypalonego wraka najmniejszej tajemnicy - cały czas trelując wesołe śpiewki o rozkręcaniu statków kosmicznych. Potem zbudowali własny statek i basta. Oto on - właśnie śpiewali krótką piosenkę, wyrażając radość z ukończenia pracy oraz z posiadania. Refren był nieco łzawy i opowiadał o zmartwieniu z tego powodu, że praca trzymała ich tak długo w garażu na podwórku, daleko od żon i dzieci, które strasznie za nimi tęskniły, ale podtrzymywały ich dobry nastrój przynoszeniem coraz to nowych historii o tym, jak milutko rośnie nowy pies.

- Baaaaapp! - Wystartowali.

Statek rycząc, pognął w niebo prawie jak statek kosmiczny, który wie, co robi.

- Nigdy - stwierdził Ford, gdy otrząsnęli się z szoku wywołanego przyspieszeniem i wyzwolili z atmosfery planety - nikt nie skonstruuje i nie zbuduje w rok takiego statku, nieważne, jakie miałyby powody. Nie wierzę. Udowodnijcie mi to, a ja i tak nie uwierzę. - Zamyślony potrząsnął głową i wpatrywał się przez maleńki luk w nicość.

Podróż trwała bez zakłóceń i Slartibartfast pozwolił przemknąć przez etap wznoszenia na szybkim przewijaniu. Dzięki temu błyskawicznie osiągnęli wewnętrzną krawędź pustej, kulistej chmury pyłu, która otaczała planetę z jej słońcem, jakby tworzyła orbitę zewnętrzną. Wokół zaczęło się coś, co wyglądało na powolną przemianę struktury i gęstości przestrzeni. Ciemność zdawała się kruszyć i pluskając, przepływać obok. Była to bardzo zimna ciemność, bardzo pusta i mroczna ciemność. Była to ciemność nocnego nieba nad Krikkit.

Zimno, mrok i pustka nieba ścisnęły serce Artura i poczuł, jak do jego świadomości docierają wrażenia pilotów Krikkit wiszących w powietrzu jak silne ładunki elektromagnetyczne. Znajdowali się teraz na krańcu zbiorowej świadomości swego ludu.

Dotarli do granicy, poza którą nikt z ich ludu nigdy nie sięgnął myślą - ba, nawet nie wiedział, że można na ten temat teoretyzować.

Ciemność chmury uderzała w statek. Wewnątrz panowała towarzysząca wielkim wydarzeniom cisza. Historycznym zadaniem pilotów było dowiedzieć się, czy po drugiej stronie nieba istnieje ktoś lub coś, skąd mógł przybyć roztrzaskany statek. Jakiś inny świat - i to bez względu na to, jak obca i niezrozumiała była ta myśl dla zamkniętych umysłów tych, co żyli pod niebem Krikkit.

Historia szykowała się do spłodzenia kolejnego wielkiego wydarzenia.

Ciągle jeszcze atakowała ich ciemność - pusta, odgradzająca od wszystkiego ciemność. Zdawała się robić coraz ciaśniejsza i ciaśniejsza, gęstsza i gęstsza, czarniejsza i czarniejsza. Nagle znikła.

Wylecieli z chmury.

Piloci ujrzeli rozsiane w nieskończonej mgle cudowne klejnoty nocy, a w ich umysłach pojawił się strach.

Lecieli dalej, pozornie bez ruchu w stosunku do pędu gwiazd Galaktyki, będącej w pozornym bezruchu wobec nieskończonego pędu wszechświata. Zawrócili.

- To musi być możliwe - powiedzieli ludzie z Krikkit, biorąc kurs na dom.

W drodze powrotnej śpiewali szereg miłych dla ucha i pełnych zadumy pieśni o pokoju, sprawiedliwości, moralności, kulturze, sporcie, życiu rodzinnym i likwidacji wszelkich form życia.

Rozdział 13

- Tak więc - mówił Slartibartfast, powoli mieszając syntetyczną kawę, co spowodowało wzburzenie przestrzeni wirujących między liczbami rzeczywistymi i nierzeczywistymi oraz między wzajemnym postrzeganiem się ducha i materii, a także tak zmieniło struktury podstawowych macierzy zawartej w nich *implicite* subiektywności, że statek przekształcił teorię czasoprzestrzeni - widzicie, jak się sprawy przedstawiają.

- Tak - stwierdził Artur.

- Tak - dodał Ford.

- Co mam zrobić z tą kurzą nogą? - zapytał Artur.

Slartibartfast spojrział na niego z godnością.

- Pobaw się nią. Pobaw się.

Dał pokaz możliwości własnej kurzej nogi.

Artur zrobił, co mu kazano, i poczuł, że przez kurzą nogę przebiega lekka wibracja równania matematycznego, podczas gdy sam porusza się czterowymiarowo przez coś, o czym Slartibartfast zapewniał, że jest przestrzenią pięciowymiarową.

- W jeden dzień - wyjaśniał Slartibartfast - nastąpiła przemiana całej ludności Krikkit z uroczych, zachwycających, inteligentnych...

- ...nawet jeśli cudacznym... - wtrącił Artur.

- ...całkiem normalnym ludzi, w uroczych, zachwycających, inteligentnych...

- ...cudacznym...

- ...szalejących wrogów wszystkiego, co obce. Idea istnienia wszechświata nie pasowała, że tak powiem, do ich koncepcji. Po prostu nie umieli sobie z nią poradzić. Tak więc w swój uroczy, zachwycający, inteligentny i - jeśli chcesz - cudaczny sposób postanowili go zniszczyć. Cóż się dzieje?

- Wino niezbyt mi smakuje - powiedział Artur, wachając zawartość kieliszka.

- To odeślij je. To i tak jedynie kawałek matematyki.

Artur zrobił, jak mu kazano. Nie podobała mu się topografia uśmiechu kelnera, ale w końcu nigdy nie lubił grafiki.

- Dokąd teraz? - zapytał Ford.

- Z powrotem do kabiny iluzji informatycznych - odpowiedział Slartibartfast. Wstał i wytarł usta matematyczną ilustracją papierowej serwetki. - Na drugą część przedstawienia.

Rozdział 14

- Ludzie z Krikkit - mówił Jego Wysokość władza sędziowska, twór sędziowski Pag, ubbl-ski (uczony, bezstronny i bardzo luźny), przewodniczący zespołu sędziowskiego w procesie zbrodniarzy wojennych z Krikkit - są, no, rozumiecie, po prostu hordą dość miłych gości, prawda, którzy po prostu przypadkiem chcą zabić, kogo się da. Do diabła, czasami rano mam taki sam nastrój. - Z rozmachem położył nogi na sędziowskim stole, na chwilę przerwał, by wyciągnąć ze służbowych sandałów jakąś nitkę. - Zgoda, no... niekoniecznie ma się ochotę mieszkać z tymi chłopcami w tej samej Galaktyce...

Święta prawda.

Atak Krikkit na Galaktykę był piorunujący. Tysiące, dziesiątki tysięcy olbrzymich krikkitskich statków bojowych wypadło nagle z hiperprzestrzeni, atakując równocześnie dziesiątki tysięcy co większych światów, przy czym najpierw zagarniali surowce, przygotowywali przy ich użyciu następny falowy atak, a potem w zupełnym spokoju zdmuchiwali światło życia planety.

Galaktyka, która w owym czasie cieszyła się niezwykłym pokojem i bogactwem, zatoczyła się jak człowiek, któremu na środku kwiecistej łąki ktoś chce opróżnić kieszenie.

- Uważam - kontynuował twór sędziowski Pag, rozglądając się po ultranowoczesnej ogromnej sali sądowej (było to dziesięć bilionów lat temu, gdy „ultranowoczesne” oznaczało tony nierdzewnej stali i żelbetonu) - że ci goście po prostu mają obsesję.

Była to prawda i jedyne wytłumaczenie, jakie udało się znaleźć dla niewyobrażalnej szybkości, z jaką mieszkańcy Krikkit realizowali swe niezachwiane postanowienie zniszczenia wszystkiego, co nie krikkitskie.

Jest to też jedyne wyjaśnienie zjawiska, że tak przerażająco nagle opanowali całą hipertechnologię niezbędną do zbudowania tysięcy statków kosmicznych i milionów śmiertelnych białych robotów.

Roboty naprawdę napęłniały przerażeniem każdego, kto się z nimi zetknął, aczkolwiek w większości przypadków przerażenie trwało bardzo krótko - tak jak i życie tych, co je poczuli. Były to brutalne, bez skrupułów dążące do celu latające maszyny bojowe, machające siejącymi przerażenie wielozadaniowymi maczugami bojowymi. Po machnięciu w jedną

stronę maczuga rozbijała w drobiazgi dom, po machnięciu w drugą - wystrzeliwała rozlewające żar promienie wszechdestrukcyjne, po machnięciu w trzecią stronę rozpoczynała kanonadę straszliwym arsenałem granatów zawierającym wszystko - od skromnych bombek zapalających po maxislortowe automaty hipernuklearne mogące zniszczyć duże słońce. Przy zwykłym uderzeniu maczugą bojową granaty były równocześnie programowane i wystrzeliwane z fenomenalną dokładnością na odległości od kilku metrów po setki tysięcy kilometrów.

- Dobra jest - rzekł twór sędziowski Pag. - Zwyciężyliśmy. - Zrobił przerwę i trochę pożuł gumę. - Zwyciężyliśmy - powtórzył - ale to nic wielkiego. Mam na myśli, no... średniej wielkości Galaktyka przeciw jednej małej planecie i... ile czasu było nam na to potrzeba? Sekretarz!

- Panie przewodniczący? - zapytał, podnosząc się, mały, poważny człowiek w czerni.

- Ile nam to zajęło, kochaniutki?

- Trochę ciężko, panie przewodniczący, wypowiedzieć się dokładnie w tej materii. Czas i odległość...

- Spokojnie, mały, bądź całkiem niedokładny.

- Jestem bardzo niechętnie niedokładny, panie przewodniczący, zwłaszcza w takiej...

- To zaciśnij zęby i postaraj się.

Sekretarz sądu zamrugał. Wyraźnie było widać, że jak większość ludzi z kręgu galaktycznej palestry uważa twora sędziowskiego Paga (czy też Zipo Bibroka 5×10^8 , jak z nie wyjaśnionych powodów brzmiało jego prywatne nazwisko) za dość żalosne zjawisko. Bez wątpienia był to łobuz i cham. Najwyraźniej uważał, że fakt posiadania najszlachetniejszego wyczucia prawa, jakie dotychczas udało się odkryć, upoważnia go do zachowywania się zgodnie ze swymi kaprysami. Co gorsza, niestety miał rację.

- Eee, no więc, panie przewodniczący, szacując z wielkim przybliżeniem, dwa tysiące lat - wymruczał nieszczęśliwy sekretarz.

- A ilu gości zostało wyzerowanych?

- Dwa gryliony, panie przewodniczący. - Sekretarz ponownie usiadł, jego hiperspektralne zdjęcie zdradziłoby, że lekko paruje.

Twór sędziowski Pag jeszcze raz powiódł wzrokiem po sali sądowej, w której zebrane były setki najwyższych urzędników administracji galaktycznej. Wszyscy byli w galowych strojach lub ciałach - w zależności od metabolizmu i zwyczajów. Za ścianą z kryształu odpornego na promienie zabójcomatyczne stała reprezentatywna grupa mieszkańców Krikkit, którzy ze spokojną i grzeczną odrazą patrzyli na tych, którzy mieli wydać na nich wyrok. Obecna chwila miała przynieść znacznie poważniejsze skutki niż jakakolwiek inna chwila w historii prawa i twór sędziowski Pag dobrze o tym wiedział.

Wyjął z ust gumę do żucia i przykleił ją pod krzesłem.

- Cóż za zgraja idiotów - powiedział spokojnie.

Ponura cisza na sali sądowej zdawała się potwierdzać tę opinię.

- No więc, jak powiedziałem, są hordą miłych chłopaków, tylko że niekoniecznie ma się ochotę mieszkać z nimi w tej samej Galaktyce. Będzie tak, póki będą się po niej rozbijać, póki nie nauczą się traktować wszystkiego na większym luzie. Póki to nie nastąpi, będzie trwała stała wojna nerwów, nie? Peng, peng, peng - kiedy rzucają się na nas następnym razem? Pokojowa koegzystencja wyszła z mody, nie? Podaj no mi który łyk wody! Dziękuję.

Rozparł się w fotelu i w zamyśleniu pił małymi łykami.

- Dobrze, słuchajcie. Słuchajcie! Sprawa wygląda tak, że ci chłopcy, rozumiecie, mają prawo do posiadania własnych poglądów na wszechświat. Według tego, co narzucił im wszechświat, prawda, działali prawidłowo. Brzmi to wariacko, ale myślę, że się z tym zgodzicie. Wierzą oni w... - Spojrzał na kawałek papieru, który znalazł w tylnej kieszeni swych sędziowskich dżinsów - „...pokój, sprawiedliwość, moralność, kulturę, sport, życie rodzinne i likwidację wszelkich form życia”.

Wzruszył ramionami.

- Słyszałem gorsze rzeczy - stwierdził.

Zamyślony podrapał się w kroku.

- Friiiiooooo! - dodał. Jeszcze raz umoczył usta w wodzie, podniósł ją pod światło i oglądał, zmarszczywszy czoło. Zaczął obracać szklanę. - Czy w tej wodzie coś jest?

- Eee, nie, panie przewodniczący - poinformował dość przestraszony woźny sądowy, który mu ją przyniósł.

- To zabierz szklanę - warknął twór sędziowski Pag - i coś do niej wlej. Mam pomysł. - Odsunął szklanę i skłonił się. - Słuchajcie mnie! Słuchajcie! - rzucił.

Rozwiązanie było błyskotliwe i brzmiało następująco:

Planeta Krikkit zostanie zamknięta po wsze czasy w powłokę zwolnionego czasu, w której życie powoli będzie biegło dalej. Światło wokół powłoki należy odchylić, by pozostała niewidoczna i nieprzenikniona. Wyjście z powłoki ma być niemożliwe, chyba że zostanie otwarta z zewnątrz. Gdy pozostały wszechświat zginie, gdy całe dzieło stworzenia dojdzie do końca swego spadania w nicość (wszystko działo się w czasach, gdy jeszcze nie wiadano, że koniec wszechświata nie będzie niczym innym, jak gigantycznym przedsięwzięciem przemysłu gastronomicznego), a życie i materia przestaną istnieć, wtedy planeta Krikkit i jej słońce zostaną uwolnione, wyłonią się z powłoki zwolnionego czasu, a mieszkańcy będą kontynuować swą samotną egzystencję w półmroku pustki wszechświata, o co przecież tak gwałtownie się dopraszają. Zamek powłoki będzie się znajdował na okrążającej ją powoli asteroidzie. Kluczem będzie symbol Galaktyki - brama wikkitowa.

Kiedy w sali sądowej powoli milkły oklaski, twór sędziowski Pag już stał pod czujnikoprzysnkiem z dość ładną członkinią ławy przysięgłych, której pół godziny wcześniej podsunął karteczkę.

Rozdział 15

Dwa miesiące później Zipo Bibrok 5×10^8 , obciążony nogawkami swych galaktycznych państwowych dzinsów, przepuszczał część ogromnego honorarium, które dostał za wydanie wyroku. Wylegiwał się właśnie na ozdobionej kamieniami szlachetnymi plaży i pozwalał tej samej, dość ładnej członkini ławy przysięgłych nacierać sobie plecy esencją kwalaktyńską. Była to soolfiniańska dziewczyna pochodząca z zachmurzonej planety Yaga.

Miała skórę jak cytrynowy jedwab i bardzo się interesowała członkami palestry.

- Słyszałeś wiadomości? - zapytała.

- Wiiiiilaaaaauuu! - wrzasnął Zipo Bibrok 5×10^8 .

Trzeba było być obok niego, by dokładnie wiedzieć dlaczego. Na taśmie iluzji informatycznych nie ma zapisu, wszystko więc opiera się na przekazach ustnych.

- Nie - dodał, gdy minęło to, co spowodowało, że powiedział „wiiiiilaaaaauuu”.

Obrócił nieco ciało, by złapać pierwsze promienie trzeciego i największego z trzech słońc prastarej planety Vod, które właśnie wypęzłało zza niedorzecznie pięknego horyzontu i zaczęło rozświetlać niebo jednym z największych ze znanych współczynników opalania.

Znad spokojnego morza nadpłynęła wonna bryza, powoli sunęła wzdłuż plaży, potem wycofała się nad morze i zastanawiała, co mogłoby być jej następnym celem. Kierując się szalonym impulsem, powędrowała ponownie wzdłuż plaży. Potem znów poleciała nad morze.

- Mam nadzieję, że to złe wiadomości - wymruczał Zipo Bibrok 5×10^8 - bo zdaje mi się, że bym ich nie zniósł.

- Wykonano dziś twój wyrok w sprawie Krikkit - pompatycznie oświadczyła dziewczyna. Nie było potrzeby, by pompatycznie informować o czymś tak prostym, ale mówiła w podobnym stylu dalej, robiąc tak tylko dlatego, że był to szczególny dzień. - Słyszałam to w radiu, gdy poszłam do statku po olejek.

- Aha - burknął Zipo i znów złożył głowę na ozdobionym kamieniami szlachetnymi piasku.

- Coś się stało - powiedziała.

- Hmm?

- Akurat gdy zamknięto powłokę zwolnionego czasu - na chwilę przestała go nacierać esencją kwalaktyńską - okazało się, że jeden ze statków wojennych Krikkit, który uznano za zniszczony, jest jedynie zagubiony. Pojawił się i ni stąd, ni zowąd próbował zdobyć klucz.

Zipo gwałtownie usiadł.

- Że co?

- Wszystko jest w porządku - odparła głosem, który uspokoiłby Wielki Wybuch. - Walka była krótka. Klucz i statek zostały zdeintegrowane i rozprysły się po kontinuum czasoprzestrzeni. Zginęły najwidoczniej na zawsze.

Uśmiechnęła się i prysnęła jeszcze trochę esencji kwalaktyńskiej na czubki palców. Zipo odprężył się i znów położył.

- Rób to, co robiłaś przedtem - wymamrotał.

- To? - zapytała.

- Nie, nie to.

- To? - zapytała.

- Wiiiiilaaaauuu!

I znów trzeba było wtedy tam być.

Znów znad morza nadpłynęła wonna bryza.

Po plaży szedł czarodziej, ale nikt go nie potrzebował.

Rozdział 16

- Nic nie ginie na zawsze. Z wyjątkiem katedry z Chalesm - powiedział Slartibartfast. Jego twarz migotała czerwono w świetle świecy, którą próbował zabrać robot-kelner.

- Czego? - spytał Artur, wzdygając się z przestrachem.

- Katedry z Chalesm - powtórzył Slartibartfast. - W czasie moich badań dotyczących kampanii na rzecz realnego czasu...

- Czego? - znów zapytał Artur.

Stary zrobił przerwę i zbierał myśli, by rozpocząć - jak miał nadzieję - ostatni szturm do opowiedzenia swej historii.

Robot-kelner poruszał się między macierzami przestrzenno-czasowymi w sposób spektakularnie łączący gburowatość ze służalczością. Jego ręka strzeliła w kierunku świecy i ją chwyciła.

Mieli już zapłacony rachunek, zdążyli się ostro pokłócić, kto jadł *canelloni* i ile wypito butelek wina; dzięki temu - jak mgliście zaobserwował Artur - udało im się wymanewrować statek z subiektywnej przestrzeni na orbitę parkowania jakiejś dziwnej planety. Kelner starał się właśnie usilnie zakończyć swą rolę w całej szaradzie i próbował opróżnić knajpę.

- Wszystko się wyjaśni - oznajmił Slartibartfast.

- Kiedy?

- Za chwilę. Teraz słuchajcie. Strumienie czasu są bardzo zanieczyszczone. Pływa w nich mnóstwo brudu, dryfujących z prądem śmieci, coraz więcej z nich jest wypluwanych w materialny świat. W kontinuum znajdują się wiry, rozumiecie?

- Już to kiedyś słyszałem - wtrącił Artur.

- Słuchaj, dokąd właściwie lecimy? - zapytał Ford, niecierpliwie odsuwając krzesło od stołu. - Gorąco pragnąłbym tam dotrzeć.

- Spróbujemy - mówił Slartibartfast, powoli ważąc słowa - przeszkodzić robotom wojennym z Krikkit w odtworzeniu klucza, który jest im potrzebny, by wydobyć planetę Krikkit z powłoki zwolnionego czasu i wyzwolić resztę armii, a także swych szalonych władców.

- Mówiłeś coś o jakiejś prywatce... - przerwał Ford.

- Mówiłem - przyznał Slartibartfast i zwiesił głowę.

Stwierdził, że popełnił błąd, gdyż myśl o prywatce zdawała się wywoływać w umyśle Forda dziwną i niezdrową fascynację. Im więcej Slartibartfast wyjawiał faktów z mrocznej i tragicznej historii Krikkit i jej mieszkańców, tym bardziej Ford Prefect chciał pić na umór i tańczyć z dziewczynami.

Stary zrozumiał, że nie powinien był wspominać o prywatce, póki nie stałoby się to absolutnie konieczne. Niestety, sprawa została zdradzona i Ford Prefect przyczepił się do pomysłu zabawienia się jak arkturiańska megapijawka przyczepia się do swej ofiary, zanim odgryzie jej głowę i ucieknie jej statkiem kosmicznym.

- Kiedy tam dotrzemy? - zapytał Ford chciwie.

- Kiedy skończę opowiadać, dlaczego musimy tam jechać.

- Ja wiem, dlaczego muszę tam jechać - powiedział Ford, oparł się o coś i splótł ręce na karku. Dał próbkę swego uśmiechu powodującego, że każdemu, kto stał obok, przechodził po plecach zimny dreszcz.

Slartibartfast jeszcze niedawno miał nadzieję, że spokojnie dożyje emerytury... Zamierzał nauczyć się grać na ośmiobrzusznym hibifonie, choć wiedział, że nie posiada wystarczającej liczby ust, ale w końcu przyjemność tego zamiaru polegała na bezużyteczności... Planował napisać dziwną i bezlitośnie niedokładną rozprawę o fiordach równikowych, by w jednym lub dwóch miejscach, które uważał za ważne, wprowadzić błędy do taśmy z iluzjami informatycznymi...

Zamiast tego dał się namówić i wziął ćwierć etatu przy kampanii na rzecz realnego czasu i pierwszy raz w życiu zaczął traktować coś poważnie. W rezultacie ostatnie lata biegnącego szybko ku końcowi życia spędzał na walce ze złem i próbach ratowania Galaktyki. Uważał, że to męcząca praca. Ciężko westchnął.

- Słuchajcie - powiedział - w kamreczu...

- W czym? - zapytał Artur.

- Kampanii na rzecz realnego czasu, o której opowiem ci potem. W masie dryfujących z prądem śmieci, które dość niedawno zostały wyrzucone w byt, zauważyłem pięć części identycznych z częściami zaginionego klucza. Tylko dwie z nich udało mi się wysledzić dokładnie - kolumnę drewnianą, która pojawiła się na twojej, Arturze, planecie, i srebrną poprzeczkę. Wszystko wskazuje na to, że znajduje się na czymś w rodzaju prywatki. Musimy tam się dostać i zdobyć ją przed robotami z Krikkit. Inaczej nie wiadomo, co się może wydarzyć.

- Nie! - gwałtownie przerwał Ford. - Musimy dostać się na prywatkę, by pić na umór i tańczyć z dziewczynami.

- Czyż nie pojmujesz, że wszystko, co...

- Oczywiście - dodał Ford z nagłą i nieoczekiwaną zawziętością. - Wszystko doskonale rozumiałem. Właśnie dlatego chcę pić tyle drinków, ile się da, i tańczyć z tyłoma

dziewczynami, z iloma się da, ponieważ uważam, że należy to zrobić, dopóki istnieją drinki i dziewczyny. Jeśli prawdą jest wszystko, co nam pokazałeś...

- Prawdę? Oczywiście, że jest prawdą.

- ...to mamy mniej szans niż węgier na supernowej.

- Co? - zapytał Artur nerwowo. Z uporem śledził dyskusję i nie miał ochoty właśnie teraz stracić wątku.

- Mniej szans niż węgier na supernowej - powtórzył Ford z tym samym naciskiem. - Mniej...

- Co ma wspólnego węgier z supernową? - zapytał Artur.

- Nie ma... żadnych szans... na niej...

Ford poczekał, by sprawdzić, czy sprawa została ostatecznie wyjaśniona. Pełnący przez twarz Artura wyraz szczerego zmieszania powiedział mu, że nie.

- Supernowa - powiedział Ford tak szybko i wyraźnie, jak tylko umiał - to gwiazda, która wybucha z prędkością równą mniej więcej połowie prędkości światła, spala się z jasnością biliona słońc i zapada, stając się superciężką gwiazdą neutronową. Jest to gwiazda spalająca inne gwiazdy, kapujesz? Na powierzchni supernowej nic nie ma szans.

- Rozumiem - stwierdził Artur.

- Super...

- Ale dlaczego akurat węgier?

- A dlaczego nie? To nie ma znaczenia.

Artur zaaprobował wyjaśnienie, Ford zaś mówił dalej, próbując najlepiej, jak umiał, odtworzyć w głosie nacisk sprzed chwili.

- Sprawa polega na tym - mówił - że tacy ludzie jak my, Slartibartfast, Artur - szczególnie i wyjątkowo Artur - jesteśmy jedynie dyletantami, dziwakami, rozleniwionymi włóczęgami, w sumie bezwartościowymi typami, tracącymi całą energię na puszczanie bąków.

Slartibartfast zmarszczył czoło, po części ze zdziwienia, po części z urazy. Zaczął mówić.

-??? - tylko tyle udało mu się wyrazić.

- Nie jesteśmy niczym fanatycznie opętani, rozumiecie! - upierał się Ford.

-???

- I to rozstrzyga o wszystkim. Nie możemy wygrać z fanatyzmem. Im zależy, nam nie. Muszą zwyciężyć.

- Zależy mi na wielu rzeczach - powiedział Slartibartfast. Głos drżał mu po części z oburzenia, po części z niepewności.

- Na przykład?

- No... - odpowiedział stary. - Na życiu, wszechświecie. Na całej reszcie, naprawdę. Na fiordach...

- Umarłbyś za nie?

- Za fiordy? - Slartibartfast zamrugał zaskoczony. - Skądże.

- Proszę bardzo.

- Nie widziałbym w tym sensu, jeśli mam być uczciwy.

- A ja ciągle jeszcze nie widzę - wtrącił Artur - związku z wągrami.

Ford poczuł, że rozmowa wymyka mu się spod kontroli. Bronił się przed wszystkim, co mogłoby sprowadzić ją na boczne tory.

- Sprawa polega na tym - syknął - że nie jesteśmy opętani i dlatego nie mamy żadnych szans w walce z...

- Poza twoim nagłym opętaniem wągrami, którego ciągle jeszcze nie pojmuję - wtrącił Artur.

- Byłbyś uprzejmy dać sobie spokój z wągrami?

- Oczywiście, jeśli i ty to zrobisz - odparł Artur. - W końcu sam zacząłeś...

- Popełniłem błąd. Zapomnij o wągrach. Sprawa polega na tym...

Schylił głowę i oparł czoło o czubki palców.

- Co to ja chciałem powiedzieć? - spytał ze zmęczeniem w głosie.

- Chodźmy na prywatkę - zaproponował Slartibartfast. - Wszystko jedno, dlaczego. - Wstał, kręcąc głową.

- Wydaje mi się, że właśnie to chciałem powiedzieć - rzekł Ford.

Z jakiegoś niewytłumaczalnego powodu kabiny teleportacyjne znajdowały się w łazience.

Rozdział 17

Podróże w czasie są coraz częściej uznawane za niebezpieczne, powodują bowiem zamieszanie w historii.

Encyclopaedia Galactica ma wiele do powiedzenia na temat teorii i praktyki podróży w czasie, choć większość jest niezrozumiała dla kogoś, kto nie spędził przynajmniej czterech żywotów na studiowaniu wyższej hipermatematyki. Ponieważ przed wynalezieniem podróży w czasie było to niemożliwe, istnieje spore zamieszanie w opiniach, jak w ogóle pojawił się pomysł jej stworzenia. Jedno z wyjaśnień zakłada, że ze względu na swą istotę, podróże w czasie zostały wynalezione równocześnie we wszystkich okresach historycznych, ale to ewidentna bzdura.

Szkopuł w tym, że większa część historii też jest bez wątpienia bzdurą.

Na poparcie przytoczmy pewien fakt. Niektórym może się wydać nieważny, dla innych może mieć decydujące znaczenie. Jest on istotny o tyle, że w pierwszym rządzie z powodu tego wydarzenia rozpoczęto kampanię na rzecz realnego czasu. (A może spowodował ją w ostatnim rządzie? Wszystko zależy od tego, jak postrzega się kierunek rozwoju historii, a to też staje się coraz bardziej kontrowersyjne.)

Istnieje lub istniał kiedyś pewien poeta. Miał na imię Lallafa i napisał - w tym zakresie istnieje w Galaktyce ogólna zgodność - najpiękniejsze wiersze, jakie kiedykolwiek stworzono: *Pieśni z Długiej Krainy*.

Są one/były niewypowiedzianie piękne. To znaczy, natychmiast gdy zaczynało się na ich temat mówić, zalewały człowieka zawarte w nich emocje, poczucie prawdy, wrażenie pełni i jedności rzeczy, co dość szybko wymagało zrobienia szybkiego spaceru wokół bloku, a w drodze powrotnej także krótkiego przystanku w barze, by szybko wypić szklaneczkę perspektifu z wodą sodową. Takie były dobre.

Lallafa mieszkał w lasach długich krain Effy. Tam żył i tam pisał swe wiersze. Spisywał je na kartkach zrobionych z wysuszonych liści habry i pisał nie skażony dobroczyństwem wykształcenia ani znajomością korektora do zamalowywania błędów maszynowych. Pisał o świetle w lasach i co na ten temat sądzi. Pisał o ciemności w lasach i co na ten temat sądzi. Pisał o dziewczynie, która go porzuciła, i co dokładnie na ten temat sądzi.

Wiele lat po jego śmierci odnaleziono wiersze i zachwycono się nimi. Wieść o nich rozeszła się jak światło poranka. Przez stulecia rozświetlały i zraszały dni wielu ludzi, których życie byłoby bez nich być może ciemniejsze i suchsze.

Wkrótce po odkryciu podróży w czasie kilka większych firm produkujących korektor do zamalowywania błędów zadało sobie pytanie, czy być może wiersze nie byłyby lepsze, gdyby Lallafa miał do dyspozycji wysokiej jakości korektor i czy nie dałoby się namówić poety do powiedzenia na ten temat kilku słów.

Zorganizowali podróż przez bałwany czasu, znaleźli Lallafę, wyjaśnili mu - z pewnymi trudnościami - sytuację i go przekonali. Przekonali go tak skutecznie, że stał się niesamowicie bogaty, a dziewczyna, o której przedtem było mu przeznaczony tak dokładnie pisać, nigdy nie wpadła na pomysł, by go porzucić. Wyprowadzili się z lasu do dość miłego domku w mieście i Lallafa często wyskakiwał w przyszłość, gdzie występował w programach prezentujących rozmowy ze sławnymi ludźmi, w czasie których sypał na prawo i lewo dowcipami.

Nigdy oczywiście nie wpadł na pomysł pisania wierszy. Stanowiło to pewien problem, został jednak rozwiązany. Producenci płynu korekcyjnego po prostu wysyłali Lallafę na tydzień dokądkolwiek, dawali mu egzemplarz jednego z późniejszych wydań jego książki i stos suszonych liści habry, na które miał przepisywać wiersze, robiąc tu i ówdzie błąd oraz dokonując poprawek.

Wielu ludzi uważa, że naraz wiersze stały się bezwartościowe. Inni twierdzą, że są takie same jak zawsze, co się więc zmieniło? Pierwsi twierdzą, że nie o to chodzi. Nie wiedzą, o co naprawdę chodzi, twierdzą jednak z uporem, że nie o to. Tak więc rozpoczęli kampanię na rzecz realnego czasu, mającą uniemożliwić podobne sytuacje. Argumenty zwolenników kampanii uzyskały znaczące poparcie dzięki faktowi pojawienia się w tydzień po jej rozpoczęciu wiadomości o zburzeniu wielkiej katedry w Chalesm, by zbudować na jej miejscu rafinerię jonów. Mało - budowa rafinerii tak się przeciągała, że aby na czas rozpocząć produkcję, trzeba było początek budowy przesunąć na tyle w przeszłość, że w końcu katedra w Chalesm w ogóle nie została zbudowana. Pocztówki z jej widokiem stały się nagle szalenie cenne.

Z powodu podróży w czasie zaginęło wiele wydarzeń historycznych. Ludzie z kampanii na rzecz realnego czasu twierdzą, że tak samo jak zniesienie utrudnień w podróżowaniu zniwelowało różnice między krajami i planetami, tak podróże w czasie niwelują różnice między epokami.

- Przeszłość - mówią - zaczyna wyglądać jak zagranica. Robi się w niej tak samo jak u nas.

Rozdział 18

Artur zmaterializował się, jak zwykle zataczając się na wszystkie strony i chwytając za szyję, serce i inne części ciała. Robił to przy każdej obrzydliwej i bolesnej materializacji - był zdecydowany w żadnym wypadku się do nich nie przyzwyczać.

Rozejrzał się za Fordem i Slartibartfastem.

Nie było ich.

Znów się za nimi rozejrzał.

Dalej ich nie było.

Zamknął oczy.

Otworzył oczy.

Rozejrzał się za Fordem i Slartibartfastem.

Uparcie świecili nieobecnością.

Znów zamknął oczy, przygotowany na to, by ponownie wykonać to zupełnie bezużyteczne ćwiczenie, a ponieważ dopiero po zamknięciu oczu jego mózg zaczął rejestrować, co widział, gdy były otwarte, na twarzy Artura pojawił się grymas dezaprobaty.

Znów otworzył więc oczy, by sprawdzić fakty. Wyraz dezaprobaty pozostał. Może nawet stał się wyraźniejszy i naprawdę jednoznaczny. Jeśli miała to być prywatka, to była bardzo marna - tak marna, że wszyscy już poszli. Zrezygnował z tego toku myślenia, uznając go za zupełnie daremny. Najwidoczniej nie był na prywatce, lecz w jaskini, labiryncie czy też w czymś w rodzaju tunelu. Było za ciemno, by to stwierdzić. Wszystko zanurzone było w mroku - wilgotnym, migocącym mroku. Jedyne dźwiękiem, jaki Artur słyszał, było echo jego własnego oddechu, a brzmiał w nim niepokój. Artur cicho kaszlnął i zaczął się przysłuchiwać cichemu, upiornemu pogłosowi, który pomknął poplątanymi korytarzami i pozbawionymi światła salami wielkiego labiryntu i wrócił przez te same niewidoczne korytarze, jakby chciał powiedzieć:

- Tak, słucham?

Następowało to po każdym, nawet najcichszym hałasie, jaki powodował. Zjawisko złościło go. Próbował zanucić jakąś wesołą piosenkę, gdy jednak do niego wróciła, była zmieniona w głuchą grobową pieśń, więc przestał nucić. W myślach ujrzał naraz pełno scen z

historii, które opowiadał mu Slartibartfast. Spodziewał się nawet, że nagle ujrzy śmiercionośne białe roboty wychodzące cicho z ciemności, by go zabić. Wstrzymał oddech. Roboty się nie zjawily. Znow zaczął oddychać. Nie wiedział, czego oczekiwać.

Tymczasem ktoś lub coś zdawało się oczekiwać jego obecności, gdyż nagle w ciemności zapalił się podobny do zjawy zielony neonowy napis.

Brzmiał on (po cichu):

TO MIAŁO SŁUŻYĆ TWOJEJ ROZRYWCE

Napis niepostrzeżenie zniknął - w taki sposób, że Artur nie był pewien, czy mu się podobał. Zniknął z towarzyszeniem czegoś w rodzaju pogardliwych fanfar. Artur spróbował powiedzieć sobie, że to jedynie absurdalny figiel, jaki płata mu wyobraźnia. Neon może być zapalony albo zgaszony w zależności od tego, czy prąd płynie, czy nie. Niemożliwe jest, by przechodził z jednego stanu w drugi z towarzyszeniem pogardliwych fanfar. Artur owinął się szczelnie szlafrokiem, lecz mimo to nadal marzył.

W oddali nagle znów się zapalił dość niewyraźny napis złożony jedynie z trzech kropek i przecinka. Wyglądał tak:

...

Zielony neon. Nic więcej.

Wpatrując się w niego przez kilka sekund, Artur zrozumiał, iż próbuje mu chyba przekazać, że będzie coś jeszcze, że zdanie nie jest zakończone. Z nadludzką drobiazgowością próbował przewidzieć, co może nastąpić. No, może z nieludzką drobiazgowością.

Zdanie zostało zakończone następującymi słowami:

ARTURZE DENCIE.

Artur zachwiał się. Wziął się w garść, by wyostrzyć wzrok i spojrzeć jeszcze raz. Ciągłe widział: **ARTURZE DENCIE**, tak więc zachwiał się znowu.

Napis znów niepostrzeżenie zniknął, pozostawiając mrugającego w ciemności Artura samego. Na siatkówce tańczył mu niewyraźnie czerwony powidok własnego nazwiska.

CIESZĘ SIĘ, ŻE TU JESTEŚ - rozjarzył się nagle napis.

Po chwili dodał:

TO OSTATNIA MYŚL, JAKA PRZYSZŁABY MI DO GŁOWY.

Lodowaty strach, unoszący się wokół Artura i czekający na swoją chwilę, zauważył, że jego chwila właśnie nadeszła, i rzucił się na swą ofiarę. Artur spróbował go przepędzić. Zrobił coś podobnego do pełnego gotowości przysiadu, jaki widział kiedyś w telewizji, tyle że tam musiał przysiądać ktoś z mocniejszymi kolanami. Wpatrywał się w ciemność jak zaszczute zwierzę.

- Eee, halo? - zapytał.

Chrząknął i zadał pytanie jeszcze raz, głośniejszemu jednak i bez „eee” na początku. Wtem rozległ się dźwięk, jakby ktoś niedaleko zaczął walić w bęben. Artur przysłuchiwał się kilka sekund rytmowi i stwierdził, że to bicie jego serca. Przysłuchiwał się jeszcze kilka sekund i stwierdził, że to nie jego serce, tylko walenie w bęben w korytarzu.

Na jego czole pojawiły się krople potu, zebrały się razem i odpłynęły w dal. Oparł dłoń o ziemię, by utrzymać pełen gotowości przysiad, który nie był zbyt pewny. Napis znów się zmienił. Brzmiał teraz:

NIE BÓJ SIĘ.

Po chwili został zastąpiony przez:

ALE TRZEŃ ZE STRACHU, ARTURZE DENCIE.

I ten tekst niepostrzeżenie zniknął, znów zostawiając Artura samego w ciemności. Zdawało mu się, że oczy wyskoczą mu z orbit. Nie był pewien, czy robią to, bo chcą ostrzej widzieć, czy uciec.

- Halo? - odezwał się znowu, tym razem starając się nadać głosowi akcent gburowatej i agresywnej arogancji. - Jest tam ktoś?

Żadnej odpowiedzi, nic.

Zdenerwowało to Artura bardziej, niż byłąby to w stanie zrobić jakakolwiek odpowiedź, i powoli zaczął się cofać przed wywołującą przestraszenie nicością. Im dalej się jednak cofał, tym bardziej się bał. Po chwili zrozumiał, że po prostu pamięta filmy, w których bohater coraz dalej cofa się przed znajdującymi się przed nim wyimaginowanymi strachami tylko po to, by zderzyć się z nimi plecami.

W tym momencie wpadło mu nagle do głowy, by się szybko odwrócić.

Nie było tam niczego.

Jedynie ciemność.

Naprawdę go to zdenerwowało i zaczął się cofać dokładnie po trasie, którą przybył.

Długo nie potrwało, a uświadomił sobie, że bez względu na to, przed czym się cofa, porusza się dokładnie tam, skąd wycofywał się na początku. „Jest to - myślał bezwiednie -

dość głupie”. Uznał, że lepiej byłoby cofać się w kierunku, w którym cofał się na początku, więc się odwrócił.

W tym momencie okazało się, że prawidłowy był ostatni kierunek, gdyż dokładnie za nim stał nieruchomo nieopisanie potworny potwór. Artur dziko zawirował wokół własnej osi. Jego skóra próbowała skoczyć w jednym kierunku, kośćiec w drugim, mózg zaś zastanawiał się, którym uchem wypełznąć.

- Założę się, że nie spodziewałeś się znów mnie ujrzeć - powiedział potwór.

Wydało się to Arturowi dziwne, nigdy go jeszcze przecież nie widział. Na pewno nigdy nie spotkał stwora - wystarczającym dowodem było, że dotychczas mógł spokojnie sypiać.

Był to... był to... był to...

Artur zamrugał. Stwór stał w zupełnym bezruchu. Wydał się Arturowi jakby znajomy. Kiedy pojął, że to, na co patrzy, jest dwumetrowej wysokości hologramem muchy domowej, opanował go straszny, lodowaty spokój.

Zdziwił się, dlaczego właśnie teraz ktoś pokazuje mu dwumetrowej wysokości hologram muchy domowej. Zastanawiał się, czyj głos słyszał.

Hologram był przerażająco realistyczny. Zniknął.

- A może pamiętasz mnie lepiej - powiedział nagle głos, głęboki, dudniący, wrogi głos, brzmiący jak płynna smoła wypełniająca klejście z beczki z zamiarem czynienia zła - jako królika?

Z nagłym „bing” w czarnym labiryncie pojawił się królik. Olbrzymi, monstualny, strasznie łagodny i sympatyczny królik - znów obraz, ale taki, na którym każdy pojedynczy łagodny i sympatyczny włos zdawał się być całkiem prawdziwy i widoczny w łagodnym i sympatycznym futrze. Artur z przerażeniem ujrzał własne odbicie w łagodnym i sympatycznym, nieruchomym i niesamowicie ogromnym brązowym oku.

- Urodzony w ciemnościach, dojrzały w ciemnościach - zadudnił głos. - Pewnego poranka po raz pierwszy wystawiłem głowę na jasny, nowy świat i natychmiast rozłupano mi ją czymś, co w dotyku podejrzanie sprawiało wrażenie prymitywnego narzędzia z krzemienia. Narzędzia wykonanego przez ciebie, Arturze Dencie, i spuszczonego mi na głowę przez ciebie. Było dość twarde, o ile pamiętam. Z mojego futra zrobiłeś sobie woreczek, do którego zbierałeś ciekawe kamienie. Dowiedziałem się o tym przypadkiem, gdyż w następnym życiu przyszedłem na świat jako mucha i rozgniotłeś mnie. Znów mnie zgładziłeś. Tym razem woreczkiem, który zrobiłeś z futra mojego poprzedniego wcielenia. Arturze Dencie - nie tylko jesteś człowiekiem okrutnym i bez serca, ale też zdumiewająco nietaktownym.

Głos zamilkł, Artur gapił się.

- Jak widzę, nie masz woreczka - znów odezwał się głos. - Znudzili ci się, co?

Artur bezradnie potrząsnął głową. Chciał wyjaśnić, że wręcz przeciwnie, bardzo lubił woreczek, bardzo na niego uważał i wszędzie go z sobą zabierał, ale jakoś zawsze, gdy dokądkolwiek się udaje, dociera do celu nie wiadomo dlaczego ze złym woreczkiem i - jeśli

już są przy tym temacie - tak się dziwnie składa, że dopiero zauważył, iż woreczek, który ma przy sobie, jest zrobiony z dość obrzydliwej imitacji lamparciego futra i zupełnie nie jest tym, jaki miał przy sobie przed chwilą, nim dotarł tu, gdzie jest, choć nie wie, co to za miejsce, i to nie ten, który osobiście robił, i kto wie, co jest w nim w środku, ponieważ to nie jego woreczek i wolałby mieć stary, choć oczywiście jest mu strasznie przykro, że stał się jego właścicielem w tak brutalny sposób, to znaczy surowca na woreczek, czyli króliczego futra z poprzedniego właściciela, mianowicie królika, z którym próbuje mieć zaszczyt właśnie rozmawiać.

Wszystko, co był w stanie z siebie wydobyć, brzmiało: „łop”.

- Pozwól, że przedstawię ci salamandrę, po której właśnie depczesz - powiedział głos.

I rzeczywiście - na podłodze obok Artura znajdowała się olbrzymia zielona salamandra. Artur odwrócił się, wrzasnął, skoczył do tyłu i stwierdził, że stoi w środku królika. Znów wrzasnął, nie był jednak w stanie znaleźć miejsca, gdzie mógłby skoczyć.

- To też byłem ja - ciągnął głos z głębokim, groźącym grzmieniem - tak jakbyś nie wiedział..

- Wiedział? - wykrzyknął Artur podniecony. - Wiedział?

- Ciekawe w reinkarnacji jest to - skrzeczał głos - że większość ludzi, większość dusz wcale nie wie, co im się przydarza.

Zrobił przerwę dla osiągnięcia lepszego efektu. Jeśli chodzi o Artura, to już uważał, że dzieje się wystarczająco wiele.

- Ja wiedziałem - wysyczał głos. - To znaczy, dowiedziałem się. Powoli. Kawałek po kawałku.

Głos, czyjkolwiek był, znów przerwał. Jego właściciel wziął głęboki wdech.

- Nie mogłem chyba dojść do innych wniosków? - kontynuował niegrzecznie. - Jeśli ciągle zdarza się to samo, raz za razem, i ciągle na nowo! W każdym życiu, które miałem, byłem zabijany przez Artura Denta. Bez względu na planetę, bez względu na ciało, bez względu na epokę - wystarczy, że zacznę sobie mościć gniazdko, zjawia się Artur Dent i - peng! - zabija mnie. Trudno tego nie zauważyć. To strasznie odświeża pamięć. Jest w tym coś z zachowania się celowniczego haubicy. I ma w sobie coś cholernie zdradliwego! „To śmieszne - powtarzała sobie często moja dusza, wracając z krainy żywych w zaświaty z kolejnej bezpłodnej, zakończonej przez Denta wyprawy - ten człowiek, który na mnie nadepnął, gdy skakałem przez szosę do mego ulubionego bajora, wydaje mi się znajomy...” Kawałek po kawałku złożyłem mozaikę... Dencie, masowy morderco mnie!

Echo głosu pognało w górę i w dół korytarza. Artur stał cicho i obojętnie, jego głowa kręciła się z niedowierzaniem.

- Oto moment, Dent - zawył głos, osiągając punkt wrzenia nienawiści - oto moment, w którym nareszcie dowiedziałem się prawdy!

To, co nagle pojawiło się przed Arturem, było nieopisanie przerażające. Widok tego zmusił go do wydania z siebie gulgotu przerażenia i kazał mu łapać powietrze jak wyrzuconej na piasek rybce, mimo to spróbujmy opisać, jak było przerażające. Przed Arturem rozwarła się olbrzymia, drgająca i mokra jama, w której przewracał się ogromny, zaśliniony, splekany, podobny do wieloryba potwór, pełzający po niesamowicie białych nagrobkach. Wysoko nad jamą unosił się olbrzymi garb, a po jego bokach widać było czarne głębie dwóch dalszych przerażających jam, które...

Artur nagle pojął, że patrzy na własne usta. Jego uwagę koncentrowała żywa ostryga, którą właśnie wrzucano do środka.

Z krzykiem zatoczył się do tyłu i odwrócił wzrok. Gdy znów spojrzął w poprzednim kierunku, przerażające zjawisko zniknęło. Korytarz był ciemny i przez chwilę cichy. Artur był sam z myślami. Myśli były dość niewesołe i bardzo chciałyby mieć ochronę osobistą.

Następnym dźwiękiem było głębokie, ciężkie dudnienie kawału muru, który zwałił się nie opodal na bok i odsłonił znajdującą się za nim czarną pustkę. Artur wpatrywał się w dziurę jak mysz w ciemne wyjście psiej budy.

Głos znów przemówił.

- Spróbuj tylko powiedzieć, że to przypadek, Dent! Tylko się odważ wmawiać mi, że to był przypadek!

- To był przypadek - szybko powiedział Artur.

- Nie był! - warknęto w odpowiedzi.

- Ależ - upierał się Artur - to był...

- Jeśli to był przypadek - ryknął głos - to nie nazywam się Agrajag!!

- A z pewnością chciałbyś obstawać, że się tak nazywasz...

- Oczywiście! - wyszczał Agrajag, jakby doszedł do jakiegoś wyszukanego wniosku.

- No tak, mimo wszystko obawiam się, że to był przypadek - powiedział Artur.

- To wejdź do środka i powtórz to! - zaryczał głos, jakby dostał apopleksji.

Artur wszedł i powtórzył, że to był przypadek, czy raczej prawie powtórzył. Na końcu ostatniego słowa jego język niemal stracił grunt pod nogami, zapaliły się bowiem światła i ukazały, gdzie wszedł.

Artur stał wewnątrz katedry nienawiści.

Katedra była wytworem... ba, nie tylko skreconego, lecz wręcz zwichniętego umysłu.

Była olbrzymia i przerażająca. Na samym jej środku stała statua. Zaraz do niej dojdziemy.

Olbrzymia, niewyobrażalnie olbrzymia hala wyglądała, jakby wykuto ją we wnętrzu góry, a to dlatego że rzeczywiście była wykuta we wnętrzu góry. Arturowi, gdy tak stał i gapił się, zdawało się, że hala wiruje, i poczuł zawrót głowy.

Hala była czarna. Tam zaś, gdzie nie była, obserwator chciałby, by była, ponieważ kolory, za pomocą których wydobyto z czerni niektóre niesamowite detale, obejmowały w

prerażający sposób całe spektrum obrażających oczy barw - od ultranienawistnego aż do podmartwiczego, przechodząc po drodze przez purpurę wątrobianą, obrzydofiolet, żółć ropną, palonego hombre i zielen gangrenową.

Niesamowitymi, uwypuklanymi przez kolory detalami były plujące wodą rzygacze, na widok których nawet Francis Bacon straciłby apetyt na obiad. Rzygacze wystawały ze ścian, zwieszały się z kolumn, łukowatych przypór, stalli na chórze - zewsząd. Wszystkie były skierowane na statwę, do której zaraz dojdziemy. O ile plujące wodą figury zepsułyby apetyt na obiad Francisowi Baconowi, to wyraz ich twarzy wyraźnie wskazywał, że im apetyt na obiad zepsuła statua - oczywiście gdyby żyły i mogły go jeść (a nie żyły) lub gdyby ktoś chciał im go podać (czego nikt by nie zrobił).

Dookoła na monumentalnych ścianach wisiały olbrzymie kamienne tablice, na których wykute były ku pamięci imiona i nazwiska tych, którzy padli ofiarą Artura Denta. Niektóre nazwiska były podkreślone i opatrzone gwiazdkami. Tak na przykład imię krowy, która poszła zwykłym trybem do rzeźni i z której zrobiono befsztyk, który zjadł Artur, było jedynie wymienione, podczas gdy imię ryby, którą sam złowił i potem - ponieważ stracił na nią ochotę - zostawił nie ruszoną na talerzu, było dla wyraźnego zaznaczenia różnicy dwa razy podkreślone oraz ozdobione trzema gwiazdkami i zakrwawionym sztyletem. Najbardziej niepokojący w tym wszystkim - oczywiście pomijając statwę, do której krok po kroku dochodzimy - był bardzo wyraźny podtekst, że wszyscy ci ludzie i wszystkie te stwory byli w rzeczywistości ciągle i niezmiennie jedną i tą samą osobą.

Tak samo jasne było też, że osoba ta, nawet jeśli zupełnie nieuzasadnienie, jest krańcowo rozstrojona i zirytowana. Prawdą będzie, jeśli powiemy, że osiągnęła stopień irytacji, jakiego jeszcze nigdy nie widziano we wszechświecie. Była to irytacja w wymiarach epickich, płonący spopielający ogień, który rzucił na czas i przestrzeń cień najciemniejszy z ciemnych.

Najpełniejszy wyraz tej złości dawała znajdująca się w środku niesamowitego otoczenia statua. Przedstawiała ona Artura Denta, i to w niezbyt schlebiający mu sposób. Na piętnastu metrach jej wysokości nie było centymetra, który nie byłby przepelniony obelgami wobec przedstawionej osoby - a piętnaście metrów czegoś takiego może wystarczyć, by każdy przedstawiony marnie się poczuł. Od małego pryszcza koło nosa aż do kiepskiego fasonu szlafroka - nie istniało nic, czego rzeźbiarz by nie zelżył i nie oczernił. Artur zdawał się gorgoną, szaleńczym, pałającym żądzą mordy, dyszącym za ofiarą, łaknącym krwi wilkołakiem, krwawym rzeźnikiem przebijającym sobie drogę przez niewinny jednoosobowy wszechświat.

Każdą ze swych trzydziestu rąk, którymi rzeźbiarz postanowił go uraczyć w napadzie artystycznej ambicji, rozwalął królikowi czaszkę, rozgniatł muchę, wyciągał obojczyk z ciała kury, wydłubywał sobie z włosów wesz albo robił coś, czego Artur nie był w stanie na pierwszy rzut oka rozpoznać. Większość jego licznych nóg deptała mrówki.

Artur zakrył oczy dłońmi, zwiesił głowę i potrząsnął nią powoli pełen smutku i przerażenia, jak szalone rzeczy kryje w sobie wszechświat. Gdy ponownie otworzył oczy, stała przed nim postać człowieka, istoty, czy czegoś, co jakoby cały czas gonił.

- Hhhhhhhrrrrraaaaa. HHHHHHH! - powiedział Agrajag.

Wyglądał/wyglądało to jak oszalały, tłusty nietoperz. Chybotliwie chodził/chodziło dokoła Artura i sięgał/sięgało ku niemu zakrzywionymi szponami.

- Słuchaj...! - zaprotestował Artur.

- Hhhhhhhrrrrraaaaa. HHHHHHH! - wyjaśnił Agrajag, co Artur, acz niechętnie, zaakceptował, gdyż miał przed tym niesamowitym i dziwnie zniszczonym zjawiskiem niezłego stracha.

Agrajag był czarny, napuchnięty, pomarszczony i skórzasty. Jego nietoperze skrzydła - marne, poszarpane byle co - sprawiały w tym stanie wrażenie bardziej przerażające, niż gdyby były silnymi, rozłożystymi władcami wiatru. W całej postaci najbardziej zadziwiła jednak wytrzymałość, pozwalająca mu ciągle odnawiać egzystencję wbrew cielesnym przeszkodom.

Posiadał niesamowicie dziwną kolekcję zębów. Wyglądały, jakby każdy należał do innego zwierzęcia, i były porzucane w paszczy tak dziwacznie krzywo, iż miało się wrażenie, że gdyby Agrajag spróbował coś ugryźć, to rozszarpałby sobie pół twarzy i być może na dodatek wykłuł oko. Każde z jego trojga oczu było małe, patrzyło z napięciem i promieniowało mniej więcej taką ilością rozsądku, co ryba z za ligustrowego żywoplotu.

- To się zdarzyło w trakcie meczu krykieta - wychrypiał.

Na pierwszy rzut oka pomysł zdawał się tak nierozsądny, że Artur prawie zachłysnął się własną śliną.

- Nie w tym ciele - zaskrzeczała istota - nie w tym ciele! To tutaj jest ostatnim ciałem. Ostatnim życiem. To moje ciało zemsty. Ciało do zabicia Artura Denta. Moja ostatnia szansa. W dodatku musiałem o nie walczyć!

- Ale...

- Byłem na meczu krykieta! - wrzasnął Agrajag. - Miałem słabe serce, ale powiedziałem żonie: Cóż może mi się stać na meczu krykieta? Siedzę więc sobie, patrzę i co się dzieje? Dwóch ludzi złośliwie wynurza się tuż przede mną nie wiadomo skąd. Ostatnią rzeczą, jaką zauważyłem, zanim moje serce przestało bić ze strachu, było to, że jednym z nich jest Artur Dent z wplecioną w brodę króliczą kością. Przypadek?

- Przypadek - zapewnił Artur.

- Przypadek? - zawył stwór, machnął z wysiłkiem zniszczonymi skrzydłami i odkrył na prawym policzku szparę z widocznym za nią szczególnie obrzydliwym zębem. Po bliższym przyjrzeniu się (a miał nadzieję tego uniknąć) Artur zauważył, że twarz Agrajaga jest prawie cała pozaklejana brudnymi czarnymi plastrami. Z przestachem cofnął się o krok. Zaczął szarpać brodę. Z przerażeniem stwierdził, że rzeczywiście ciągle wisi w niej królicza kość. Wyciągnął ją i odrzucił.

- Słuchaj - powiedział - to los bawi się z tobą w kotka i myszkę. Ze mną. Z nami. To całkowity przypadek.

- Co masz do mnie, Dent? - parsknęła istota, ruszając w jego kierunku kołyszącym się, wyraźnie dlań bolesnym krokiem.

- Nic - upierał się Artur. - Naprawdę nic.

Agrajag przygwoździł go małymi oczkami.

- Wydaje mi się, że to dość dziwny sposób obchodzenia się z kimś, przeciw komu nic się nie ma - w trakcie każdego z nim spotkania zabijając go. Przedziwny przypadek interakcji społecznych, powiedziałbym. Chciałbym to, co mówisz, nazwać kłamstwem!

- Ależ słuchaj - przekonywał Artur - przykro mi. To wszystko jest straszliwym nieporozumieniem. Muszę iść. Masz zegarek? Muszę pomóc uratować wszechświat. - Zrobił krok do tyłu.

Agrajag zrobił krok do przodu.

- W pewnym momencie... - wysyczał - w pewnym momencie postanowiłem zrezygnować. Tak jest. Postanowiłem nie wracać, lecz pozostać w zaświatach. No i co?

Artur zasugerował niewyraźnym potrząśnięciem głowy, że nie ma zielonego pojęcia i w dodatku nie chce go mieć. Cofnął się aż do zimnego, ciemnego kamienia, w którym nie wiadomo kto herkulesowym wysiłkiem wyrzeźbił gigantyczną karykaturę jego rannych pantofli. Spojrzał na wznoszące się nad nim własne obrzydliwie sparodiowane odbicie. Ciągłe zdziwiony zadawał sobie pytanie, co robi jedna z jego rąk.

- Zostałem wbrew woli wrzucony w materialny świat - kontynuował Agrajag - jako petunia. Powinienem może dodać, że w doniczce. Owo wyjątkowo szczęśliwe, krótkie życie rozpoczęło się dla mnie pięćset kilometrów nad pewną szczególnie obrzydliwą planetą. „Niezbyt to odpowiednie miejsce dla doniczki z petunią” - można by pomyśleć. Oczywiście! Zakończyłem to życie niewiele później pięćset kilometrów niżej. Powinienem może dodać - w świeżych resztkach rozprysniętego wieloryba. Mego brata duchowego.

Zezował w stronę Artura z rozpaloną na nowo nienawiścią.

- W drodze w dół - klekotał - nie uniknąłem zobaczenia eleganckiego białego statku kosmicznego. Przez luk owego eleganckiego statku patrzył szykowny Artur Dent. Przypadek?!

- Tak! - zawył Artur. Znowu spojrzał w górę i stwierdził, że ręka, która tak go zadziwiła, chyba jedynie z przekory przywraca do życia zgładzoną petunię. Odkrycie tego nie należało do łatwych.

- Muszę iść - upierał się Artur.

- Będiesz mógł pójść - powiedział Agrajag - jak cię zabiję.

- To nie miałyby sensu - wyjaśnił Artur i zaczął wspinać się po twardym kamiennym zboczu swych wykutych pantofli - gdyż muszę uratować wszechświat, rozumiesz? Muszą znaleźć srebrną poprzeczkę, to ważne. Dla trupa byłoby to zbyt skomplikowane.

- Uratować wszechświat! - splunął pogardliwie Agrajag. - Trzeba było o tym pomyśleć, zanim zaczęłaś vendettę przeciwko mnie! Co powiesz o swej wizycie na Stavromula Beta, gdzie ktoś...

- Nigdy tam nie byłem - wtrącił Artur.

- ...próbował cię zabić, ale się schyliłeś? Jak myślisz, kogo trafiła kula? Co powiedziałaś?!

- Nigdy tam nie byłem - powtórzył Artur. - Nie wiem, o czym mówisz. Muszę już iść.

Agrajag stanął jak wryty.

- Musiałeś być. Byłeś tam odpowiedzialny za moją śmierć tak samo jak wszędzie. Niewinny widz! - Drżał.

- Nigdy nie słyszałem o tym miejscu - upierał się Artur. - Jak na razie nie próbowano mnie zabić. W przeciwieństwie do ciebie. Może pojedę tam w przyszłości, jak sądzisz?

Agrajag zamrugał powoli, jakby dostał ataku, usztywniającego ciało paraliżu logicznego myślenia.

- Na Stavromula Beta... jeszcze... nie byłeś? - wyszeptał.

- Nie. Nic nie wiem o tym świecie. Na pewno nigdy tam nie byłem, nie mam nawet zamiaru tam jechać.

- O, z pewnością pojedziesz... - wymamrotał Agrajag trzęsącym się głosem - z pewnością pojedziesz. Niech to Zarkwon trzaśnie! - Zachwiał się i dziko rozejrzał po swej ogromnej katedrze nienawiści. - Ściągnąłem cię tu za wcześniej!

Zaczął krzyczeć i wyć.

- Ściągnąłem cię tu, na Zarkwona, za wcześniej!

Nagle wziął się w garść i popatrzył na Artura mrocznym, przepelnionym nienawiścią spojrzeniem.

- Mimo to cię zabiję! - ryknął. - Nawet jeśli to logicznie niemożliwe, to, do jasnego Zarkwona, spróbuję! Wysadzę w powietrze całą górę! - ryczał. - Zobaczymy, czy uda ci się z tego wykręcić, Dent!

Pokonując ból, kołysząc się i kulejąc, pospieszył w stronę czegoś, co wyglądało jak mały, czarny ofiarny ołtarz. Ryczał teraz tak niepohamowanie, że naprawdę strasznie orał sobie twarz. Artur zeskoczył ze strategicznie korzystnego miejsca na kamiennej kopii własnej stopy i śpieszył, by powstrzymać tę na trzy czwarte obłąkaną istotę. Rzucił się na dziwaczного stworza i z trzaskiem walnął nim o ołtarz. Agrajag zawył, przez chwilę dziko walił skrzydłami. Patrzył na Artura z obłędem w oczach.

- Wiesz, co zrobiłeś? - rzeźził z wysiłkiem. - Znów mnie zabiłeś. Zastanawiam się, czego ty ode mnie chcesz? Krwi?

Zaczął walić skrzydłami w krótkiej agonii, zadrżał i zapadł się w siebie, rzucając na koniec dużym czerwonym przyciskiem w ołtarz. Artur skoczył pełen strachu i przerażenia, po pierwsze z powodu tego, co zrobił, po drugie z powodu wycia syren i terkotu dzwonek,

wstrząsających nagle powietrzem, by zapowiedzieć jakąś straszną katastrofę. Rozglądał się wokół jak oszalały.

Jedyną drogą na zewnątrz zdawała się ta, którą przyszedł. Rzucił się w jej kierunku, wyrzucając obrzydliwą torbę z paskudnej imitacji lamparciego futra. Gnał ślepo i jak popadło przez płataninę korytarzy i zdawało się, że klaksony, syreny i błyskające reflektory prześladowają go coraz wścieklej. Nagle wybiegł zza zakrętu i zobaczył przed sobą jasność.

Nie była to błyskawica. Miał przed sobą dzienne światło.

Rozdział 19

Twierdzi się czasem, że w naszej Galaktyce jedynie na Ziemi Krikkit (lub krykiet) jest uznawany za pretekst do gry i że właśnie dlatego unikano z Ziemią kontaktu. W rzeczywistości dotyczy to wyłącznie naszej Galaktyki, a dokładnie - naszej czasoprzestrzeni. W niektórych czasoprzestrzeniach wyższego rzędu uważa się, że wolno robić, co się komu podoba, tak więc już od bilionów lat (czy jaki jest tam odpowiednik czasu) gra się w nich w szczególną grę o nazwie brokiański ultrakrykiet.

Przewodnik *Autostopem przez Galaktykę* mówi:

Bądźmy uczciwi, to straszliwa gra, ale każdy, kto był kiedykolwiek w którejś z czasoprzestrzeni wyższego rzędu, wie też, że istoty stamtąd są straszliwą, niecywilizowaną hordą, która powinna zostać rozbita i zlikwidowana, co też by się stało, gdyby ktoś wymyślił, jak odpalać rakiety pod kątem prostym do rzeczywistości.

Istnieje szereg przykładów, że przewodnik *Autostopem przez Galaktykę* przyjmie z otwartymi ramionami każdego, kto zechce wpaść do redakcji i da się uczciwie podduścić pytaniami, zwłaszcza jeśli wpadnie przypadkiem po południu, gdy obecnych jest bardzo niewielu stałych pracowników. Należy sformułować w tym miejscu zasadnicze stwierdzenie: historia *Autostopem przez Galaktykę* jest historią pełną idealizmu, walki, rozpacz, namiętności, sukcesów, pomyłek i niesamowicie długich przerw obiadowych. Najwcześniejsze dokumenty *Autostopem* zaginęły, podobnie jak jego dane podatkowe, w odmętach czasu.

Na temat dziwnych teorii, jak to się stało, patrz niżej.

Większość przekazanych historii mówi jednak o pierwszym wydawcy - zwał się Hurling Frootmig. Hurling Frootmig - twierdzi się - założył *Autostopem*, ustanowił jego podstawowe zasady - uczciwość i idealizm - i splajtował. W jego życiu nastąpiło wiele lat biedy i ucieczki do wewnątrz, w czasie których pytał przyjaciół o rady, przesiadywał w ciemnych pokojach i znajdując się w nielegalnych stanach psychicznych, rozmyślał o tym i owym, wyprawiał

różne rzeczy z hantlami i w końcu po przypadkowym spotkaniu ze świętymi obiadowiczami z Voondoon - którzy twierdzą, że tak samo jak obiad zajmuje środek dnia człowieka, a dzień człowieczy może być traktowany jako analogia jego życia duchowego, obiad a) powinien być uważany za centrum życia duchowego człowieka i b) powinien być spożywany w dobrych restauracjach - założył *Autostopem* od nowa, sformułował jeszcze raz jego podstawowe zasady - uczciwość i idealizm oraz jak można je ominąć - i w ten sposób doprowadził przewodnik do komercyjnego sukcesu. Był też pierwszym, który wynalazł redakcyjne przerwy obiadowe i dokładnie zbadał ich znaczenie. Później miały one odegrać wielką rolę w historii *Autostopem*, gdyż ich skutkiem było to, że lwia część rzeczywistej pracy wykonywali przypadkowi ludzie, którzy po południu wchodzili ot tak sobie do pustych biur i załatwiali coś, co uważali za warte zrobienia. Wkrótce *Autostopem* przejęty został przez oficynę wydawniczą Magadodo z Małej Niedźwiedzicy, dzięki czemu wszystko zostało postawione na zdrowych podstawach finansowych i czwartemu wydawcy, Ligowi Lury juniorowi, dało możliwość przejścia na przerwy obiadowe o długości tak zapierającej dech w piersiach, że wysiłki nowych wydawców, by odbywać dotowane przerwy obiadowe na cele charytatywne, to przy tym małe piwo.

Lig nigdy nie zrezygnował formalnie ze stanowiska wydawcy - jedynie opuścił pewnego późnego przedpołudnia biuro i nigdy nie powrócił. Mimo że od tego czasu minęło ponad sto lat, wielu członków zespołu redakcyjnego *Autostopem* ciągle jeszcze trzyma się romantycznej myśli, że po prostu skoczył na bułkę z szynką i zaraz wróci, by uczciwie poharować wieczorem. Dokładnie rzecz biorąc, z tego powodu wszyscy wydawcy po Ligu Lurym juniorze nazywali się jedynie p.o. wydawcami, a biurko Liga jest ciągle utrzymywane w stanie, w jakim je opuścił; jedyną zmianą jest tabliczka, na której napisano:

LIG LURY JUNIOR, ZAGINIONY,
PRAWDOPODOBNIENIE ZNÓW COŚ PAŁASZUJE:

Kilka perfidnych i podstępnych źródeł chce dać do zrozumienia, że Lig zginął przy pierwszych eksperymentach *Autostopem* w zakresie buchalterii alternatywnej. Wiadomo o nich bardzo mało i jeszcze mniej się mówi. Każdemu zaś, kto choćby zauważy (nie mówiąc o tym, że zwróci na to czyjaś uwagę) dziwną, choć zupełnie przypadkową i nie mającą znaczenia okoliczność, iż każda planeta, na której *Autostopem* otworzyło biuro, wkrótce potem ginęła z powodu wojny lub klęski żywiołowej, grozi proces o takie odszkodowanie, że pójdzie z torbami.

Jest ciekawym faktem, nie mającym jednak najmniejszego związku z tym, co zostało właśnie powiedziane, że dwa lub trzy dni przed zniszczeniem planety Ziemia, w celu zrobienia miejsca nowej hiperprzestrzennej trasy szybkiego ruchu, dramatycznie wzrosła liczba obserwowanych nad nią UFO, widziano je zaś nie tylko nad Królewskim Klubem

Krykietowym w St. John's Wood w Londynie, lecz też nad Glastonbury w hrabstwie Somerset. Glastonbury już od dawna łączono z sagami o starożytnych królach, magicznych mocach, kręgach czarownic oraz zamawianiu brodawek; zostało ono wybrane na plac budowy nowego magazynu ksiąg podatkowych *Autostopem przez Galaktykę* i rzeczywiście, gdy wyniesiono księgi podatkowe z ostatnich dziesięciu lat na magiczną górę tuż za miastem, kilka godzin później zjawili się *Vogoni*.

Żadna jednak z tych historii, bez względu na to jak są dziwne i nie wyjaśnione, nie jest tak dziwna i niejasna jak reguły gry brokiańskiego ultrakrykieta, w który gra się w czasoprzestrzeniach wyższego rzędu. Kompletny spis reguł jest tak skomplikowany, że kiedy po raz pierwszy (i jedyny) zostały zebrane w jeden tom, doznał on zapaści grawitacyjnej i stał się czarną dziurą.

Skrócona wersja brzmi następująco:

REGUŁA PIERWSZA: Wyhoduj sobie przynajmniej trzy dodatkowe nogi. Nie będziesz ich potrzebował, ale pomogą ci utrzymać widzów w dobrym nastroju.

REGUŁA DRUGA: Znajdź dobrego gracza w brokiański ultrakrykiet. Sklonuj go kilka razy. Oszczędzi ci to ogromnych sum na długotrwały dobór zawodników i ich trening.

REGUŁA TRZECIA: Ustaw drużyny swoją i przeciwną na dużym boisku i zbuduj wokół niego wysoki mur.

Powód jest następujący: ponieważ gra jest wielką rozrywką dla mas, rozczarowanie widzów nie mogących obserwować przebiegu gry spowoduje, że wyobrażą sobie, iż mecz był znacznie bardziej fascynujący, niż był rzeczywiście. Tłum, który właśnie widział dość nudny mecz, charakteryzuje się znacznie mniejszą chęcią utrzymania się przy życiu niż widzowie, którzy uważają, że właśnie przegapili najdramatyczniejsze wydarzenie w historii sportu.

REGUŁA CZWARTA: Przerzuć graczom przez mur masę najróżniejszych sprzętów sportowych. Stosowne jest wszystko - kije do krykieta, kije do baseballu, karabiny tenisowe, narty - wszystko, czym można się dobrze zamachnąć.

REGUŁA PIĄTA: Gracze powinni teraz zacząć wszystkim, co im wpadnie w ręce, walić wokół siebie. Gdy jakiś gracz uzyska „trafienie” na ciele innego gracza, musi natychmiast uciec i przeprosić z bezpiecznej odległości. Przeprosiny winny być zwięzłe, szczere i - dla większej dokładności i dobitności - podawane przez megafon.

REGUŁA SZÓSTA: Zwycięską drużyną jest pierwsza, która wygra.

Im bardziej ludzie z czasoprzestrzeni wyższego rzędu szaleją na punkcie tej gry, tym rzadziej się - o dziwo - w nią gra, gdyż większość konkurujących z sobą drużyn znajduje się w stanie permanentnej wojny z powodu interpretacji reguł. Jest to znakomite, gdyż dobra, solidna wojna mniej szkodzi psychice niż przedłużająca się partia brokiańskiego ultrakrykieta.

Rozdział 20

Gdy Artur, rzucając ciałem na boki i dysząc, gnał w dół zbocza, poczuł nagle, że góra delikatnie, bardzo delikatnie się pod nim porusza. Zaczęło grzmieć i dudnić, skądś pojawiło się ledwie zauważalne drżenie i Artur poczuł, że z oddali za nim i nad nim napływa podmuch gorąca. Biegł niemal oszalały ze strachu. Ziemia zaczęła mu się obsuwać spod nóg i naraz zrozumiał potęgę słowa „tąpnięcie” z nie znaną dotychczas wyrazistością. Zawsze było to dla niego jedynie słowo, teraz jednak nagle i przerażająco uświadomił sobie, że tąpnięcia są dla ziemi czymś dziwnym i obrzydliwym. Ziemia podrzuciła Arturem, aż ze strachu i od wstrząsów zrobiło mu się niedobrze. Grunt uciekł spod niego, góra zaczęła znikać, Artur obsunął się, upadł, wstał, znów się obsunął i znów pognał dalej. Wtedy ruszyła lawina.

Kamienie, potem głazy, w końcu skały zaczęły przeskakiwać obok niego jak nieporadne młode psy, tyle że dużo większe, dużo twardsze i cięższe, i prawie nieskończenie bardziej stworzone do tego, by zabić, gdy na kogoś spadną. Oczy Artura tańczyły razem z głazami, jego stopy tańczyły razem z tańczącą ziemią. Gnał, jakby bieg był straszną chorobą polegającą na wymiotowaniu przez skórę potem. Serce waliło mu w rytm dudniącego wokół geologicznego szaleństwa.

Logice sytuacji, znaczy się temu, że jeśli rzeczywiście ma nastąpić kolejne wydarzenie w legendzie o jego nieświadomym prześladowaniu Agrajaga, to musi przeżyć, zupełnie nie udawało się oddziaływać na jego psychikę, a tym bardziej mieć na nią najmniejszego uspokajającego wpływu. Gnał, a w sobie, pod sobą i nad sobą miał śmiertelny strach, który próbował złapać go nawet za włosy. Nagle Artur znów się potknął i poleciał do przodu z potężnym impetem. W chwili kiedy miał strasznie twardo uderzyć o ziemię, tuż przed sobą zobaczył małą granatową torbę podróżną, którą mniej więcej dziesięć lat temu (licząc w jego osobistej skali czasu) zgubił podczas odbierania bagażu na lotnisku w Atenach. W bezbrzeżnym zdziwieniu nie trafił w ziemię i wystrzelił w powietrze.

Mózg Artura zaśpiewał.

Artur leciał. Rozejrzał się zaskoczony, nie mogło być jednak wątpliwości, że właśnie to robił. Żadna część jego ciała nie dotykała ziemi, żadna nawet się do niej nie próbowała zbliżyć. Po prostu się unosił, podczas gdy wokół latały głazy.

Koniecznien trzeba było w tym coś zmienić. Mrugając z niewiarą z powodu łatwości przedsięwzięcia, poszybował wyżej - teraz głązy latały pod nim. Z pełną napięciem ciekawości spojrział w dół. Między sobą a drżącą ziemią miał dobre dziesięć metrów pustej przestrzeni, to znaczy pustej, jeśli pominęło się głązy, które długo się w niej nie zatrzymywały, lecz spadały w stalowym uchwycie prawa ciężkości; tego samego prawa, które - na to wyglądało - Artur wysłał na urlop.

Z instynktowną precyzją, którą daje duszy człowieka odruch samozachowawczy, Arturowi prawie natychmiast przyszło na myśl, że musi spróbować o nim nie myśleć, gdyż gdyby tylko zaczął, prawo ciężkości spojrzaloby nagle w jego kierunku i zechciało się dowiedzieć, cóż, do pioruna, Artur robi w górze, i wszystko od razu by się skończyło. Myślał więc o tulipanach. Zadanie było trudne, ale starał się. Myślał o cudownym, wyraźnym zaokrągleniu tulipanich cebulek, myślał o fascynującej różnorodności kolorów ich kwiatów i zastanawiał się, ile tulipanów może wyrosnąć, czy raczej mogło rosnać, na Ziemi w promieniu kilometra od wiatraka. Po chwili rozmyślania te niebezpiecznie go znudziły i poczuł, że powietrze umyka spod niego. Zaczął opadać w kierunku przefruwających z hukiem głązów, o których tak bardzo starał się nie myśleć; przez krótką chwilę myślał więc o lotnisku w Atenach, co zajęło jego uwagę około pięciu minut, po upływie których odkrył z zaskoczeniem, że szybuje mniej więcej dwieście metrów nad ziemią. Przez chwilę zadawał sobie pytanie, w jakiz to sposób dostanie się na dół, od razu jednak odrzucił je i spróbował spojrzeć na sytuację z powagą.

Leciał. Co z tym począć? Ponownie spojrział ku ziemi. Nie wpatrywał się, robił co mógł, by rzucić jedynie przelotne, leniwe spojrzenie. Istniało kilka rzeczy, które zobaczył. Jedną z nich było to, że erupcja góry już minęła. Tuż poniżej szczytu widać było krater, prawdopodobnie tu góra zapadła się, zasypując olbrzymią katedrę w jaskini, pomnik Artura i okrutnie sponiewieranego Agrajaga. Drugą rzeczą była jego torba podróżna - ta sama, którą zgubił na lotnisku w Atenach. Leżała impertynencko na odsłoniętym kawałku terenu, otoczona wyczerpanymi do cna głązami, jednak przez żaden nie trafiona. Nie miał pomysłu, jak to się mogło udać. Ponieważ jednak jeszcze większym cudem był zupełnie niemożliwy fakt, że torba w ogóle tu leżała, szukanie rozwiązania pierwszej zagadki nie było czymś, do czego czuł się wystarczająco silny. Faktem było, że leżała. Równocześnie wyglądało na to, że zniknął obrzydliwy worek z imitacji lamparciego futra. Nawet jeśli nie do końca wytłumaczalne, było to wspaniałe. Zrozumiał, że postawiono go przed faktem dokonanym, i musi podnieść torbę. Leciał dwieście metrów nad powierzchnią obcej planety, której nazwy nawet nie pamiętał, nie mógł więc zignorować pożałowania godnego położenia maleńkiej cząstki tego, co kiedyś było treścią jego życia - zwłaszcza tu, tyle lat świetlnych od sproszkowanych resztek ojczyzny.

Poza tym przypomniał sobie, że w torbie - jeśli ciągle zawierała to, kiedy ją zgubił - musi być puszka z jedynym obecnie we wszechświecie greckim olejem z oliwek.

Powoli, ostrożnie, centymetr po centymetrze zaczął spływać w dół. Kołysał się delikatnie z boku na bok jak przestraszony kawałek papieru, który zauważył, że rozpoczął podróż ku ziemi. Szło mu świetnie, czuł się dobrze. Powietrze niesło go, ale równocześnie przepuszczało. Dwie minuty później Artur unosił się pół metra nad torbę i wiedział, że czeka go kilka trudnych decyzji. Lekko się zawahał. Zmarszczył czoło, najdelikatniej, jak umiał. Jeśli chwyci torbę, to czy będzie w stanie ją unieść? Czy dodatkowy ciężar nie ściągnie go w dół? Czy samo dotknięcie gruntu nie zniesie nagle magicznej mocy, która utrzymuje go w powietrzu? Czy nie byłoby lepiej, gdyby zachował się rozsądnie i na jedną, dwie chwile wrócił z powietrza na twardy grunt? Jeśli tak zrobi, to czy kiedykolwiek będzie znów w stanie latać?

Gdy w pełni uświadomił sobie, że frunie, odczuł coś tak spokojnie ekstatycznego, aż bolało go na myśl, iż może stracić zdolność latania może na zawsze. Z tym nowym zmartwieniem w duszy znów unosił się kawałek w górę - tylko po to, by czuć lot, czuć zaskakujący i nie wymagający wysiłku ruch. Unosił się, szybował. Spróbował krótkiego lotu nurkującego. Nurkowanie było fantastyczne. Z rozpostartymi ramionami, trzepoczącymi włosami i łopoczącymi połami szlafroka spadł z nieba, prześlizgnął się na poduszce powietrza pół metra nad powierzchnią planety i znów unosił w górę, zatrzymał w najwyższym punkcie łuku, którym wyniósł go rozpęd, i zastygł w powietrzu. Po prostu stanął w powietrzu. Utrzymywał się w bezruchu.

Było to cudowne.

To właśnie - zrozumiał - jest sposób, w jaki można podnieść torbę. Pomknij w dół i złapie ją w chwili, gdy zacznie się wznosić. Weźmie ją z sobą ku górze. Może nieco nim to zachwieje, był jednak pewien, że się uda. Przecwiczyl jeszcze dwa, trzy razy lot nurkujący - udawał się coraz lepiej. Wiatr na twarzy, spadanie i nurkowanie, wszystko tworzyło całość i wyzwalalo takie upojenie zmysłów, jakiego Artur nie czuł od... od... no, odkąd był w stanie sięgnąć pamięcią. Innymi słowy - od urodzenia. Unosił się na poduszce lekkiej bryzy i oglądał panoramę okolicy, która - jak stwierdził - była dość ohydna. Wyglądała na zdewastowaną i opuszczoną. Postanowił, że nie będzie na nią więcej patrzył. Podniesie torbę i... nie wiedział, co zrobi, gdy podniesie torbę. Postanowił, że na początek tylko ją podniesie, a potem zobaczy, jak sytuacja się rozwinie.

Pohalsował pod wiatr, unosił się pchany nim w górę i obrócił. Teraz płynął na wietrze. Nie zauważył tego, ale jego ciało właśnie się wilomiło. Schylił się pod prądem powietrza, załamał tor lotu i zanurkował. Powietrze wokół mknęło, pruł przez nie. Grunt w dole niepewnie się zachybotał, postanowił jednak zachować rozsądek, unosił się więc spokojnie w kierunku Artura razem z torbą, której zużyte plastikowe uchwyty skierowane były prosto w górę.

W połowie drogi w dół nastąpił groźny dla Artura moment, gdyż będąc nowicjuszem, nie mógł dłużej wierzyć, że naprawdę robi to, co robi, i dlatego nieomal przestał to robić, w

odpowiednim jednak momencie pozbiierał się, przesybował tuż nad powierzchnią planety, z gracją wsunął rękę w uchwyty torby i znów zaczął się unosić. Nic z tego nie wyszło - runął, rąbnął, zaczął orać kamienisty grunt i z łomotem po nim koziołkować. Zataczając się, stanął natychmiast na nogi i zaczął się bezradnie kręcić wokół własnej osi. W napadzie bólu i rozczarowania wymachiwał wokół torbą.

Stopy zaczęły mu się kleić do podłoża tak samo ciężko, jak miały zwyczaj robić zawsze.

Ciało odczuwał jako potykający się i mający zaburzenia równowagi nieporęczny worek kartofli, w jego głowie panowała zwiewność tony ołowiu.

Zgiął się wpół i zachwiał jak półprzytomny. Wszystko go bolało. Spróbował pobiec, lecz bez skutku - stopy okazały się zbyt słabe. Potknął się i poleciał na twarz. W tym momencie przypomniał sobie, że w torbie, którą złapał, jest nie tylko puszka greckiej oliwy z oliwek, lecz też wolnocłowa butelka retsiny i z powodu radosnego przestrawienia wynikłego z tego odkrycia nie zauważył, że przynajmniej od dziesięciu sekund ponownie leci.

Krzyknął i zawył z ulgi, radości i czystej fizycznej rozkoszy. Zakręcił się i załopotał, poszybował i zawirował w powietrzu. Odważnie położył się na prądzie wznoszącym i zbadał zawartość torby. Czuł się, jak musi się czuć anioł wykonujący sławny taniec na ostrzu szpilki, podczas gdy filozofowie próbują zinterpretować ów fakt. Zaśmiał się z radości, gdy odkrył, że w torbie są zarówno olej z oliwek, jak i retsina, do tego zepsute okulary słoneczne, zapiaszczone kąpielówki, kilka pogniecionych widokówek z Santorini, wielki ohydny ręcznik, kilka ciekawych kamieni i spora ilość kartek z adresami ludzi, których - ku swej uldze - nigdy już chyba nie spotka, nawet jeśli ze smutnego powodu. Wyrzucił kamienie, założył okulary, kartkom pozwolił uciec z wiatrem w siną dal.

Kiedy dziesięć minut później dryfował leniwie przez chmurę, na kark zwała mu się olbrzymia, mająca niezwykle złą opinię prywatka.

Rozdział 21

Najdłuższa i najbardziej destrukcyjna prywatka, jaką zorganizowano w historii, powoli dorabia się czwartego pokolenia gości, ciągle jednak nikt nie zamierza ruszać do domu. Kiedyś ktoś spojrział na zegarek, zdażyło jednak minąć od tego momentu jednaście lat, a naśladowcy nie było. Na prywatce panuje niesamowity chaos i trzeba ją zobaczyć samemu, by uwierzyć; jeśli jednak nie ma się szczególnego powodu, by próbować uwierzyć, to za nic nie należy tam iść i patrzeć, gdyż widok nie sprawi przyjemności. Niedawno w chmurach trzasnęło i błysnęło. Istnieje teoria, że toczyła się bitwa między krążącymi nad prywatką jak sępy flotami konkurujących z sobą firm, oferujących usługi w zakresie czyszczenia dywanów, ale wiadomo przecież, że nie powinno się wierzyć w nic, co mówi się na prywatkach. Dotyczy to zwłaszcza tej prywatki.

Jednym z problemów i to coraz większym jest fakt, że dzisiejsi uczestnicy prywatki są dziećmi, wnukami albo prawnukami tych, którzy nie chcieli wyjść na początku, co z powodu zjawisk związanych z chowem wsobnym, istnieniem genów recesywnych i tak dalej, oznacza, że goście to albo fanatyczni prywatkowicze, albo paplający głupoty idioci. Niestety, coraz częściej jedno i drugie. A więc tak czy siak - genetyka jest nieubłagana - każde następne pokolenie będzie cechować coraz mniejsza chęć pójścia do domu.

Rolę zaczął odgrywać inne czynniki - na przykład brak napojów. Z powodu pewnych pomysłów, które w swoim czasie wydawały się bardzo dobre (a jednym z problemów z nigdy nie kończącymi się prywatkami jest, że to, co wydaje się dobrym pomysłem na prywatce, okazuje się dobrym pomysłem także długo potem), moment ten jest jednak najwyraźniej bardzo odległy.

Jedną z rzeczy, które w swoim czasie wydawały się dobrym pomysłem, było to, że prywatka miała latać. Nie chodziło przy tym o to, że miała być „odlotowa”, lecz miała latać dosłownie.

Tak więc pewnego wieczora, dawno temu, chmara pijanych astroinżynierów z pierwszej generacji gości zaczęła łązić wokół budynku; tu pogrzebali, tam coś przymocowali, gdzie indziej w coś mocno postukali, gdy zaś następnego dnia weszło słońce, bardzo się zdziwiło, widząc, że świeci na pełen rozbawionych, pijanych ludzi dom, unoszący się nad czubkami

drzew jak młody, nieporadny ptaszek. Mało tego - latającej prywatce udało się dość solidnie uzbroić. Uznano - na wypadek małostkowych sporów z handlarzami winem - że lepiej od razu jasno stawiać sprawę, po czyjej stronie jest przewaga.

Przejście od całonocnego cocktail-party do popołudniowej prywatki plądrującej nastąpiło bez zgrzytów i w dużym stopniu przyczyniło się do dodania przedsięwzięciu rozmachu i zwiększenia czadu, co stało się konieczne, gdyż z biegiem lat kapela zdążyła nieskończoną ilość razy zagrać każdy kawałek, jaki znała. Plądrowano, rabowano, brano całe miasta jako zakładników za okup z krakersów serowych, sosu z avocado, żeberek wieprzowych oraz win i wódek, które przepompowywano na pokład z latających tankowców.

Problemowi, że skończą się napoje, trzeba będzie w związku z tym spojrzeć w oczy innym razem.

Planeta, nad którą unosi się prywatka, dawno przestała być tym, czym była, nim prywatka wzleciała nad jej powierzchnię. Planeta popadła w okropny stan.

Prywatka atakowała i rabowała ogromne ilości razy, z powodu zaś nieobliczalnego i niemożliwego do przewidzenia sposobu, w jaki kluczy po niebie, nigdy jeszcze nikomu nie udało się przeprowadzić kontrataku.

To nie prywatka - to szaleństwo.

Kiedy zwali ci się nagle na kark - można oszaleć.

Rozdział 22

Artur zwijał się z bólu, leżąc na wyrwanym skądś i unoszącym się swobodnie kawałku żelbetonu, lekko głaskany przez kłęby przepływających chmur i zdezorientowany odgłosami rozlegającego się niewyraźnie za nim oklapłego rozpasania. Usłyszał coś, czego nie był w stanie od razu zidentyfikować, a to po części dlatego, że nie znał piosenki *Straciłem nogę na Jaglan Beta*, po części dlatego, że kapela była bardzo zmęczona i kilku muzyków intonowało melodię na trzy czwarte, kilku na cztery czwarte, kilku w czymś na kształt pijanego nr^2 , co zależało od tego, ile w ostatnim czasie udało się każdemu z nich przespać.

Artur leżał, ciężko dysząc w wilgotnym powietrzu, i próbował pomacać się to tu, to tam, by ocenić, czy jest ranny. Bolało bez względu na to, gdzie dotykał. Po chwili zdał sobie sprawę, że boli go ręka. Wyglądało na to, że skręcił nadgarstek. Bolał go też krzyż, szybko się jednak upewnił, że nie jest ciężko ranny, ale tylko podrapany i dobrze wytrząśnięty, kto by jednak nie był po tylu przejściach? Nie mógł pojąć, jaka kamienica chciałaby latać w chmurach.

Z drugiej strony miałby w razie potrzeby spore trudności z przekonywającym wytłumaczeniem swojej obecności, stwierdził więc, że będą się musieli zaakceptować nawzajem z kamienicą. Spojrzał w górę. Ujrzał mur z jasnych, poplamionych płyt wapienia - oto jaśnie pani kamienica osobiście. Zdawała się wyrastać z czegoś w rodzaju gzymsu czy występu muru otaczającego budynek, szerszego metr czy półtora niż jego podstawa. Był to fragment podłoża, w którym umieszczono kiedyś fundamenty budynku prywatki i który zabrał z sobą, by elegancko się trzymać u dołu.

Artur wstał dość nerwowo, gdy niechcący spojrzawszy przez krawędź w dół, nagły zawrót głowy prawie przenicował mu żołądek. Natychmiast przycisnął plecy do ściany, mokry od mgły i potu. Jego głowa płynęła kraulem, ktoś w żołądku próbował płynąć motylkiem. Choć przeleciał przepaść jak ptak, nie był w stanie zmusić się nawet do pomyślenia o przerażającej głębinie pod sobą. W żadnym wypadku nie skoczy z krawędzi. Nawet się do niej o centymetr nie przysunie.

Kurczowo trzymając torbę podróżną, przesuwał się powoli wzdłuż ściany z nadzieją, że znajdzie prowadzące do budynku drzwi. Artur musiał przyznać, że solidny ciężar puszek z oliwą jest dużym oparciem.

Przysuwał się do rogu z nadzieją, że w przeciwieństwie do ściany, przy której był teraz, ściana za węglem zaoferuje jakieś drzwi. Z powodu chybliwego lotu kamienicy zrobiło mu się niedobrze ze strachu, wyjął więc z torby ręcznik i zrobił z nim coś, co po raz kolejny potwierdza pierwsze miejsce ręczników na liście rzeczy, które trzeba mieć, podróżując autostopem przez Galaktykę. Owinął go wokół głowy, by nie widzieć, co robi.

Stopy badały podłogę. Wyciągnięta ręka macała wzdłuż ściany. W końcu Artur dotarł do rogu i gdy sięgnął za nim ręką, dotknął czegoś, co napędziło mu takiego stracha, że o mało nie spadł. Była to druga ręka.

Ręce złapały się.

Rozpaczliwie próbował zerwać z głowy ręcznik drugą ręką, trzymał w niej jednak torbę z oliwą z oliwek, retsina i pocztówkami z Santorini i bardzo nie chciał jej puścić.

Przeżywał czystej wody „egomoment”, jedną z chwil, kiedy człowiek nagle się odwraca, patrzy na siebie i myśli: „Kim jestem? Po co tu się znalazłem? Co osiągnąłem? Czy mam się dobrze?”. Cichutko zakwilił.

Próbował wyrwać rękę, ale nie mógł. Tamta mocno trzymała. Arturowi nie pozostało nic innego, jak powoli przysunąć się do rogu. Wychylił głowę za róg i potrząsnął nią, by pozbyć się ręcznika. Czynność ta wyzwoliła u właściciela drugiej ręki piskliwy wybuch jakiejś tajemniczej emocji.

Zerwano mu z głowy ręcznik. Patrzył prosto w oczy Forda Prefecta. Za Fordem stał Slartibartfast, za Slartibartfastem widać było portal i wielkie zamknięte drzwi.

Obaj stali przyciśnięci plecami do ściany, w oczach mieli obłęd. Wpatrywali się w gęstą, nieprzenikloną chmurę wokół i próbowali utrzymać się na nogach mimo zarzucania i kołysania kamienicy.

- Gdzie, do wszystkich pędzących fotonów, się podziewałeś? - wysyczał Ford pełen paniki.

- Eee, nno... - wyjąkał Artur, który naprawdę nie miał pojęcia, jak wszystko streścić. - Tu i tam. A co wy tu robicie?

Ford znów dziko popatrzył na Artura.

- Nie chcę nas wpuścić bez flaszki - warknął.

Pomijając hałas, przytłaczający upał, niesamowite bogactwo przebłyskujących niewyraźnie przez ciężkie opary kolorów, dywany usiane rozbitymi kieliszkami, popiołem i resztkami avocado oraz grupkę podobnych do pterodaktyli istot w ubraniach z lureksu, które rzuciły się na otaczaną taką opieką butelkę retsiny, piszcząc „Nowa zabawa! Nowa

rozrywka!” - pierwsze, co Artur zauważył, gdy wbijał się w tłum gości, to była Trillian, z którą właśnie próbował nawiązać rozmowę Bóg Piorunów.

- Czy nie znam pani z „Milinowej”? - mówił właśnie.

- To pan był tym z młotem?

- Tak. Tu podoba mi się znacznie bardziej. Nie jest tak sztywno, dużo więcej się dzieje.

Salę przeszły wrzaski jakiejś okropnej zabawy. Jej rozmiarów nie można było ocenić z powodu kłębiącego się tłumu rozbawionych, hałaśliwych stworów, które wesoło wykrzykiwały do siebie niezrozumiałe dla nikogo słowa i od czasu do czasu przeżywały załamania nerwowe.

- Wygląda, że jest wesoło - powiedziała Trillian. - Arturze, co mówiłeś?

- Pytałem, jak się tu, do diabła, dostałaś?

- Leciałam przez wszechświat jako szereg punkcików. Znasz Thora? Produkuje pioruny.

- Cześć! - rzekł Artur - Wyobrażam sobie, że to bardzo ciekawe zajęcie.

- Cześć - odparł Thor. - Bardzo ciekawe. Nie ma pan nic do picia?

- Eee, właściwie to nie...

- To czemu niczego pan sobie nie przynosi?

- No to na razie, Arturze - powiedziała Trillian, odchodząc.

Coś pobudziło umysł Artura i nerwowo się rozejrzył.

- Nie ma Zaphoda? - zapytał.

- Zobaczmy się później - dobitnie powiedziała Trillian.

Thor wściekle spojrział na Artura twardymi, czarnymi jak węgiel oczami. Broda zjeżyła mu się, a drobina płynącego w powietrzu światła na krótko zebrała siły, by odbić się groźnie w rogach jego hełmu. Chwyił swą niesamowicie wielką dłonią łokieć Trillian, a mięśnie ramienia poruszyły mu się jak para parkujących volkswagenów. Dokąś ją zabierał.

- Jedną z najciekawszych rzeczy w nieśmiertelności jest... - zaczął.

- Jedną z najciekawszych rzeczy we wszechświecie - Artur usłyszał Slartibartfasta, mówiącego do wysokiej, masywnej postaci, która wyglądała, jakby właśnie przegrywała walkę ze swym różowym boa z piór, i zafascynowana wpatrywała się staremu w oczy i srebrną brodę - jest bezbrzeżna nuda.

- Nuda? - zapytała postać, mrugając otoczonymi zmarszczkami, przekrwionymi oczami.

- Tak, wstrząsająca nuda. Zaskakująca nuda. Rozumie pani, tyle go jest, a tak mało ma w środku. Czy mogę podać kilka danych statystycznych?

- Eee, no...

- Proszę, zrobiłbym to z wielką chęcią. Też są sensacyjnie nudne.

- Zaraz wrócę i posłucham - powiedziała postać, klepnęła starego kilka razy w ramię, uniosła suknię i jak poduszkowiec potoczyła się w falujący tłum.

- Już myślałem, że nigdy sobie nie pójdzie - zazgrzytał zębami stary. - Chodź, Ziemiaku...

- Arturze.

- Musimy znaleźć srebrną poprzeczkę. Gdzieś tu jest.

- A nie moglibyśmy najpierw trochę odsapnąć? - spytał Artur. - Miałem męczący dzień. Spotkałem Trillian, trafiła tu całkiem przypadkowo, nie powiedziała, jak się dostała, ale to pewnie i tak bez znaczenia...

- Pomyśl o grożącym wszechświatowi niebezpieczeństwie...

- Wszechświat jest wystarczająco duży i dorosły, by przez pół godziny móc pomartwić się o siebie. Jak chcesz - dodał, widząc rosnący niepokój Slartibartfasta - pochodzę i popytam, czy ktoś nie widział poprzeczki.

- Dobrze, bardzo dobrze - uznał Slartibartfast. - Znakomicie. - Rzucił się w tłum i każdy, kogo mijął, radził mu, by był całkiem na luzie.

- Widział pan gdzieś poprzeczkę? - pytał właśnie Artur niskiego człowieczka, który stał i zdawał się z pożądaniem czekać na to, by kogoś wysłuchać. - Jest zrobiona ze srebra, ma ogromne znaczenie dla przyszłego bezpieczeństwa wszechświata i jest mniej więcej tak długa.

- Nie - odparł zachwycająco skurczony maleńki człowieczek - przynieś sobie drinka, to opowiesz mi wszystko po kolei.

Ford Prefect minął ich, wijąc się w dzikim, szalonym i nie całkiem dozwolonym dla młodzieży tańcu z jakąś istotą płci żeńskiej, która wyglądała, jakby miała na głowie budynek opery w Sydney. Wykrzykiwał do niej zdania mające służyć zupełnie niepotrzebnej konwersacji.

- Podoba mi się pani czapka! - krzyczał.

- Co?

- Powiedziałem, że podoba mi się pani czapka.

- Nie mam czapki.

- No to podoba mi się pani czaszka.

- Co?

- Powiedziałem, że podoba mi się pani czaszka. Ciekawa budowa kości.

- Co?

W skomplikowany zestaw ruchów, które wykonywał, Ford artystycznie wplótł wzruszenie ramion.

- Powiedziałem, że wspaniale pani tańczy! - krzyczał. - Z tym że proszę mniej kiwać głową.

- Co?

- Chodzi o to, że za każdym razem, gdy pani kiwa głową - powiedział Ford - aua...! - dodał, gdy jego partnerka schyliła głowę, by spytać „co?”, i znów boleśnie go dziobnęła w czoło ostrym końcem pochylonej do przodu czaszki.

- Moja planeta została pewnego poranka wysadzona w powietrze... - Artur zupełnie nieoczekiwanie stwierdził, że opowiada człowieczkowi historię swego życia, a przynajmniej

wybrane fragmenty - ...dlatego też jestem ubrany w szlafrok. Moja planeta wyleciała w powietrze ze wszystkimi moimi ubraniami, wiesz? Nie przypuszczałem, że wybiorę się na prywatkę.

Człowieczek zachwycony kiwnął głową.

- Potem zostałem wyrzucony ze statku kosmicznego. W szlafroku. Nie w skafandrze, jak należałoby oczekiwać. Wkrótce odkryłem, że tak naprawdę moja planeta została zbudowana dla sfory myszy. Możesz sobie wyobrazić, jak się wtedy poczułem. Później przez pewien czas mnie ostrzeliwano i wysadzano w powietrze. Właściwie to śmiesznie dużo razy wysadzano mnie w powietrze, ostrzeliwano, obrażano, rwano na strzępy i odmawiano mi herbaty, w końcu zaś wpadłem w bagno i musiałem spędzić pięć lat w wilgotnej jaskini.

- Ach! - parsknął człowieczek. - Musiałeś się wspaniale bawić.

Artur zachłysnął się drinkiem. Zaczął kasłać.

- Jaki zachwycający kaszel! - uznał człowieczek w absolutnym zaskoczeniu. - Nie miałbyś nic przeciwko temu, bym się dołączył?

Po tych słowach dostał ataku najbardziej niesamowitego i niezwykle popisowego kaszlu. Artur był tak zaskoczony, że też zaczął się straszliwie zachłystywać, kiedy jednak uzmysłowił sobie, że robił to już przedtem, zupełnie się pogubił.

Wspólnie wykonywali morderczy dla płuc duet, trwający pełne dwie minuty, nim Arturowi udało się przestać kasłać i pluć.

- To orzeźwia - stwierdził człowieczek, dysząc i wycierając łzy. - Jakie musisz prowadzić podniecające życie! Bardzo dziękuję! - Przyjacielsko potrząsnął dłonią Artura i zniknął w tłumie. Artur pokręcił z niedowierzaniem głową.

Zbliżał się do niego dość młodo wyglądający mężczyzna, patrzący agresywnie typ z haczykowatymi ustami, nosem jak latarnia i wąskimi, zaokrąglonymi, małymi kośćmi policzkowymi. Miał na sobie czarne spodnie, czarną jedwabną koszulę, rozpiętą aż do miejsca, gdzie prawdopodobnie miał pępek (choć Artur nauczył się nie snuć przypuszczeń na temat budowy ciała istot, które ostatnio spotykał), na szyi dyndały mu najróżniejsze okropne rzeczy ze złota. Włókł z sobą coś w czarnej torbie i aż zbyt wyraźnie było widać, że życzy sobie, by ludzie zauważali, że nie życzy sobie, żeby to zauważyli.

- Hej, eee, usłyszałem właśnie twoje nazwisko? - odezwał się.

Była to jedna z wielu rzeczy, które Artur wyjawiał zachwyconemu człowieczkowi.

- Tak. Nazywam się Artur Dent.

Mężczyzna zdawał się kołysać w jakimś rytmie, zupełnie jednak innym niż wszystkie, które nieugięcie wytrąbiała kapela.

- No tak... - powiedział - był taki ktoś w środku pewnej góry, kto chciał się z tobą spotkać.

- Widziałem się z nim.

- Z tym że zdawał się tym dość mocno martwić...

- Wiem, widziałem się z nim.
- Tak sobie myślę, że powinieneś o tym wiedzieć.
- Wiem. Widziałem się z nim.

Mężczyzna zrobił przerwę i przez chwilę żuł gumę. Potem klepnął Artura w plecy.

- Świetnie, w porządku. Tylko ci mówię, nie? Dobranoc, życzę szczęścia, wygrywaj nagrody.

- Co? - Artur zaczął się w tym momencie dość poważnie gubić.

- Nie ma sprawy. Rób, na co masz ochotę, rób to jednak dobrze. - Wykorzystując gumę, czy co tam żuł, wydał z siebie coś na kształt gulgotu, potem zrobił dziwny gest. Może miał wyrażać siłę.

- Dlaczego? - zapytał Artur.

- No to rób źle - odparł mężczyzna. - Kogo to obchodzi? Kto dałby za to złamany grosz? - Nagle zdała się uderzyć mu do głowy krew i zaczął się drzeć. - A dlaczego po prostu nie zwariować?! - wrzasnął. - Spadaj, złaż mi z karku, dobra? Hej, facet! Odzarkwoń się!!

- W porządku, już idę - szybko zapewnił Artur.

- To było coś! - Mężczyzna zasalutował i zniknął w tłumie.

- O co chodziło? - zapytał Artur dziewczynę, którą zauważył koło siebie. - Dlaczego kazał mi wygrywać nagrody?

- To gadka rodem z showbusinessu. - Dziewczyna wzruszyła ramionami. - Właśnie dostał w corocznym konkursie Instytutu Iluzji Wypoczynkowych z Gwiazdy Polarnej pierwszą nagrodę i miał nadzieję, że będzie w stanie sobie z tym poradzić, a ponieważ nic pan o niej nie wspomniał, nie wytrzymał.

- Aha - powiedział Artur - bardzo mi przykro. Za co dostał nagrodę?

- Za najbardziej bezsensowne używanie zwrotu „w dupę się ugryź!” w poważnym scenariuszu. Nagroda jest bardzo ceniona.

- Rozumiem - powiedział Artur - oczywiście. Co jest nagrodą?

- Rory. Coś takiego małego ze srebra na wielkim czarnym cokole. Co pan powiedział?

- Nic. Chciałem tylko zapytać, co jest...

- Myślałam, że to pan powiedział „wap”.

- Co proszę?

- Wap.

Na prywatce było sporo ludzi, którzy kilka lat temu wpadli ot, tak na chwilę, wyfiokowanych nierobów z różnych światów, i czasami ich obecność skłaniała pochodzących z leżącej w dole planety do spojrzenia na nią w dół. Widząc zniszczone miasta, zdewastowane plantacje avocado i wyniszczone do cna winnice, ogromne nowe pustynie i morza pełne okruchów ciasta (oraz znacznie gorszych rzeczy), myśleli sobie, że ich świat w jakiś dziwny, niezauważalny sposób przestał być tak zabawny jak kiedyś. Niektórzy zaczęli się nawet

zastanawiać, czy nie wytrzeźwieć na chwilę, przerobić prywatkę na międzyplanetarną i polecieć nad jakiś inny świat dokądś, gdzie powietrze byłoby czystsze i powodowało mniej bólów głowy.

Tych paru niedożywionych chłopów, którym jeszcze udawało się wycisnąć z półmartwej gleby podstawy słabowitej egzystencji, przyjęłoby to z najwyższym uznaniem, tego jednak dnia, gdy prywatka wypadła z chmur ze zwykłym wyciem, a chłopci spojrzeli w górę ze zwykłym panicznym lękiem przed kolejną rewizją w poszukiwaniu sera i wina, stało się jasne, że prywatka nigdzie nie poleci i tak naprawdę niedługo się skończy. Bliski był moment, w którym trzeba będzie sięgnąć po kapelusz i płaszcz, wytoczyć się niewyspanym na dwór i sprawdzić, jaka jest pora dnia, jaka panuje pora roku i czy w tak wypalonym i wyniszczonym kraju można znaleźć taksówkę, która dokądkolwiek pojedzie.

Otóż prywatka została schwytana w straszliwe objęcia dziwnego, białego statku kosmicznego, który najwyraźniej przewiercił się przez nią w poprzek. Z groteskowym lekceważeniem wspólnego ciężaru spleciony z dwóch statków twór zataczał się, zarzucał i wirował na niebie. Chmury się rozstały. Powietrze wyło i uciekało z drogi.

Zakleszczone z sobą prywatka i krążownik z Krikkit przypominały dwie kaczki, z których jedna próbuje wyprodukować w drugiej trzecią kaczkę, podczas gdy druga próbuje jasno postawić sprawę, że akurat teraz nie ma ochoty na trzecią kaczkę, poza tym nie jest pewna, czy w ogóle chciałaby mieć wyprodukowaną przez pierwszą ową trzecią kaczkę, szczególnie w momencie, gdy jest (znaczy się ta druga) właśnie zajęta lataniem.

Niebo piało i wyło od zamieszania i torturowało ziemię gwałtownymi uderzeniami fal powietrza.

Nagle, wydając z siebie jedno jedyne „fup”, statek z Krikkit zniknął.

Prywatka zatoczyła się bezradnie na niebie jak mężczyzna chcący oprzeć się o drzwi, które wbrew oczekiwaniom są otwarte. Zachwiała się i zatoczyła, wspierając się na gazach wypluwanych z dysz rakiet wznoszenia. Spróbowała wyprostować lot, lecz zamiast tego skrzywiła go. Znow zaczęło nią zarzucać.

Chybotanie trwało przez chwilę, lecz oczywiście prywatka nie mogła długo w nim pozostawać. Była teraz śmiertelnie ranną prywatką. Wyparowała z niej cała radość i nie mógł tego ukryć jeden czy drugi rachityczny piruet. Im dłużej będzie unikać kontaktu z ziemią, tym straszniejsza będzie katastrofa, gdy w końcu w nią uderzy.

W środku sprawy też nie miały się najlepiej. Przeciwnie - miały się niesamowicie źle, wszystkich mierzyła sytuacja i głośno o tym mówili. Właśnie zakończyły wizytę roboty z Krikkit.

Zabrały nagrodę za najbardziej bezsensowne używanie zwrotu „w dupę się ugryź!” w poważnym scenariuszu i zostawiły na jej miejscu taki chaos, że Artur czuł się prawie tak okropnie jak ktoś, kogo nominowano do Rory’ego, ale nie przyznano mu nagrody.

- Z chęcią byśmy zostali i pomogli! - zawołał Ford, przebijając sobie drogę przez ruiny. - Ale nie zrobimy tego.

Kamienica z prywatką wpadała z poślizgu w poślizg, co wydobywało spomiędzy dymiących gruzów podniecone wrzaski i westchnienia.

- Musimy lecieć ratować wszechświat, rozumiecie? - mówił Ford. - Jeśli brzmi to dla was jak marny wykręt, to macie rację. Bez względu na to, co o tym sądzicie, już nas nie ma.

Nagle natknął się na zamkniętą butelkę, która cudem leżała nienaruszona na podłodze.

- Nie będziecie mieli nic przeciwko temu, jeśli ją wezmę? - zapytał. - Wam i tak już się nie przyda...

Wetknął też za pazuchę paczkę chipsów.

- Trillian? - wołał słabiutkim ze strachu głosem Artur. W dymiącym chaosie nie był w stanie niczego dojrzeć.

- Ziemiacu, musimy iść - nerwowo odezwał się Slartibartfast.

- Trillian?! - znów zawołał Artur.

Wkrótce ujrzeni chwiejącą się i zataczającą Trillian, wspieraną przez swego nowego przyjaciela, Boga Piorunów.

- Dziewczyna zostaje ze mną - powiedział Thor. - W Walhalli rusza wielka impreza i lecimy tam...

- Gdzie byliście, gdy to się wydarzyło? - zapytał Artur.

- Na górze - odparł Thor. - Ważyłem ją. Latanie to skomplikowana sprawa, rozumiesz, trzeba obliczyć siłę wiatru...

- Idzie z nami - powiedział Artur.

- Hej! - wtrąciła się Trillian. - A ja to już nie mam...

- Nie! - przerwał Artur. - Idziesz z nami.

Thor spojrzał na Artura, powoli zaczynały mu się żarzyć oczy. Przykładał dość sporą wagę do swej boskości, a nie miała ona nic wspólnego z niewinnością.

- Dziewczyna idzie ze mną - powiedział spokojnie.

- Chodź Ziemiacu - nerwowo rzucił Slartibartfast, ciągnąc Artura za rękaw.

- Chodź, Slartibartfast - nerwowo dodał Ford, ciągnąc starego za rękaw, bowiem to Slartibartfast miał aparaturę do teleportacji.

Prywatka podskakiwała i rzucała każdym o podłogę. Wyjątkiem byli Thor i Artur, który chwiejąc się, wpatrywał się Bogowi Piorunów w oczy. Trudno uwierzyć, ale Artur powoli uniósł coś, co okazało się jego mikroskopijnymi pięściami.

- Chcesz w nos? - zapytał.

- Co, krasnalu? - ryknął Thor.

- Pytałem - Arturowi nie udawało się opanować drżenia głosu - czy chcesz w nos? - Śmiesznie wymachiwał pięściami.

Thor patrzył na niego z niedowierzaniem. Potem z dziurki w nosie wypłynęła mu chmurka dymu. Pojawił się w niej mały płomień.

Thor złapał się za pas.

Wypiął klatkę piersiową, by raz na zawsze wyjaśnić, że jest istotą, której można się odważyć wejść w drogę, jedynie mając ekipę Szerpów.

Odczepił z haczyka na pasie rączkę młota. Uniósł go wysoko w górę, by zaprezentować masywną żelazną głowicę. Rozwiął tym ewentualne przypuszczenie, że targa z sobą słup telegraficzny.

- Czy chcę... w nos? - syczał jak płynąca przez walcownię stali rzeka.

- Tak! - głos Artura zabrzmiał nagle mocno i agresywnie. Znów pomachał pięściami, tym razem jednak tak, jakby rzeczywiście miał na myśli to, czym groził. - Chcesz wyjść? - warknął na Thora.

- W porządku! - szczechnął Thor jak wściekły byk (czy raczej jak wściekły Bóg Piorunów, co robi znacznie większe wrażenie) i wyszedł za drzwi.

- Znakomicie - ucieszył się Artur - no to mamy go z głowy. Slarty, zabieraj nas stąd.

Rozdział 23

- W porządku! - darł się Ford na Artura. - Jestem tchórzem, ale najważniejsze, że wciąż żyję. - Znów byli na pokładzie statku kosmicznego „Bistromat”. Był z nimi Slartibartfast. Była Trillian. Nie było harmonii i zgody.

- No to co, ja też jeszcze żyję, nie? - odparł Artur, przepelniony złością i chęcią działania. Brwi skakały mu w górę i w dół, jakby chciały się znokautować.

- Cholernie mało brakowało, byś już nie żył! - wybuchnął Ford.

Artur odwrócił się gwałtownie w stronę Slartibartfaste, siedzącego na kozetce pilota i wpatrującego się w zamyśleniu w dno butelki, która przekazywała mu coś, czego najwyraźniej nie umiał rozgryźć. Artur zwrócił się do niego płomiennymi słowy.

- Czy uważasz, że ten facet rozumie choć słowo z tego, co mówię? - poskarżył się, drżąc ze wzburzenia.

- Nie wiem - odparł Slartibartfast niezbyt obecny duchem. - Nie jestem pewien - dodał, na chwilę unosząc wzrok - czy sam cię rozumiem. - Z nowym zapalem i tym samym roztargnieniem wpatrywał się w przyrządy. - Będziesz to nam musiał jeszcze raz wyjaśnić - skończył.

- No więc...

- Ale później. Szykują się straszne rzeczy.

Postukał w zrobione z pseudoszkła dno butelki.

- Na prywatce zachowaliśmy się niestety dość mizernie - oświadczył. - Jedyne nasze nadzieje to spróbować przeszkodzić robotom we włożeniu klucza do zamka. Jak to mamy, na wszystko we wszechświecie, zrobić, tego nie wiem - wymruczał. - Chyba musimy polecieć na miejsce akcji, choć muszę powiedzieć, że ten pomysł wcale mi się nie podoba. Z pewnością będzie to mój koniec.

- Gdzie jest właściwie Trillian? - zapytał Artur z udawaną obojętnością. Zezłościło go, że Ford nawymyślał mu za marnowanie czasu z Bogiem Piorunów, mogli bowiem uciec znacznie szybciej. W swoim przekonaniu Artur zachował się niesamowicie odważnie i pomysłowo, a przekonanie to przedstawił jako coś, co każdy miał zaakceptować.

Zdawał się jednak panować pogląd, że przekonanie Artura nie jest warte złamanego szeląga. Naprawdę bolało go, że Trillian jest obojętne, co zrobił, i gdzie się schowała.

- Gdzie moje prażynki? - zapytał Ford.

- Trillian i prażynki - poinformował Slartibartfast, nie podnosząc wzroku - są w kabinie iluzji informatycznych. Wydaje mi się, że twoja młoda przyjaciółka próbuje zrozumieć kilka problemów galaktycznej historii. Prażynki być może jej w tym pomagają.

Rozdział 24

Błędem jest wierzyć, że każdy poważniejszy problem można rozwiązać za pomocą kartofli.

Tak na przykład istniał kiedyś szalenie agresywny lud, zwący się Silastyczne Diabły Pancerne ze Striterax. Była to jedynie nazwa ludu. Nazwa jego armii była jeszcze straszniejsza. Na szczęście żył w znacznie wcześniejszej epoce niż wszystko, z czym się dotychczas spotkaliśmy - dwadzieścia bilionów lat temu, gdy Galaktyka była jeszcze młoda i świeża i każda idea, o którą opłacało się walczyć, była jeszcze całkiem nowa. W walce Silastyczne Diabły Pancerne ze Striterax były bardzo dobre, a ponieważ były w niej bardzo dobre, walczyły z upodobaniem. Walczyły ze swymi wrogami (to znaczy kimkolwiek), walczyły z sobą. Ich planeta była totalną ruiną. Jej powierzchnia usiana była opuszczonymi miastami, które były otoczone porzuconymi machinami bojowymi, otoczonymi z kolei głębokimi bunkrami, w których Silastyczne Diabły Pancerne mieszkaly i się kłóciły.

Najlepszym sposobem, by zacząć bójkę z Silastycznym Diabłem Pancernym ze Striterax, było się urodzić. Nie lubiły tego, robiły się wtedy złe. Jeśli Diabeł Pancerny stawał się zły, ktoś ponosił szkodę. Można by uznać, że to męczący sposób życia, lecz Diabły zdawały się mieć szalenie dużo energii. Najlepszym sposobem radzenia sobie z Silastycznym Diabłem Pancernym było wsadzić go do jednoosobowego pokoju, gdyż prędzej czy później prał w nim samego siebie.

W końcu stało się dla nich jasne, że muszą zapanować nad swą agresywnością, wydano więc ustawę, że każdy, kto w związku ze swą silastyczną pracą musi nosić broń (policjanci, ochroniarze, nauczyciele szkół podstawowych itp.), powinien codziennie spędzić przynajmniej trzy kwadransy na waleniu w worek kartofli, by pozbyć się nadmiaru energii.

Wszystko funkcjonowało bardzo dobrze, póki ktoś nie wpadł na pomysł, że przecież znacznie skuteczniej i szybciej będzie strzelać do kartofli. Tak więc na nowo obudził się zachwyty, by strzelać, do czego się da, i wszyscy byli strasznie podnieceni z powodu pojawienia się możliwości rozpoczęcia pierwszej od tygodni większej wojny.

Innym wielkim wyczynem Silastycznych Diabłów Pancernych ze Striterax było to, że udało im się pierwszym doprowadzić do stanu pełnego przerażenia komputer.

Otóż istniał olbrzymi, unoszący się w kosmosie komputer zwany Haktar, którego do dziś wspomina się jako jeden z największych, jakie kiedykolwiek zbudowano. Był pierwszym komputerem, który działał jak mózg. Każda jego cząsteczka miała wbudowany plan całości, co umożliwiało mu myślenie elastyczniejsze i kreatywniejsze i - jak się okazało - dało zdolność przerażenia się.

Silastyczne Diabły Pancerne ze Striterax były zajęte jedną ze swych regularnych wojen z Pilnymi Bojownikami Gwiezdnymi ze Stug, która to wojna nie sprawiała im jednak zwykłej radości, gdyż związane były z nią straszliwe dalekie marsze przez radioaktywne bagna Cwulzندی i ogniste góry Frazfragia i w żadnej z tych okolic nie czuli się u siebie. Gdy jednak w bijatykę włączyli się Wisielczy Nożownicy z Jajazikstak i zmusili ich do walki na drugim froncie w świecących promieniami gamma jaskiniach Carfaxu i lodowatych burzach Varlengooten, postanowili, że basta, i zlecili Haktarowi, by zaprojektował im broń ostateczną.

- Co macie na myśli, mówiąc „ostateczna”? - zapytał Haktar.

- Przeczytaj sobie w którymś ze swych zakichanych słowników - odpowiedziały Silastyczne Diabły Pancerne ze Striterax i rzuciły się z powrotem w wir walki.

Tak więc Haktar wyprodukował broń ostateczną. Była to mała, bardzo mała bomba, będąca skrzynką odgałęźną w hiperprzestrzeni, która - gdyby ją odbezpieczono - doprowadziłaby do fuzji jądra każdego większego słońca z jądrem każdego innego większego słońca i w ten sposób zmieniła cały wszechświat w monstrialną supernową.

Gdy Silastyczne Diabły Pancerne chciały jej użyć, by w jednej z emitujących promienie gamma jaskini wysadzić w powietrze skład amunicji Wisielczych Nożowników, stwierdziły z absolutnym przerażeniem, że bomba nie działa, i poinformowały o tym Haktara.

Sprawa nappełniła Haktara konsternacją. Próbował wyjaśnić, że przemyślał temat broni ostatecznej i wyliczył, że nie pozwolić wybuchnąć bombie nie może być gorsze od jej detonacji, tak więc dał sobie prawo przemyślenia do mechanizmu błędu i ma nadzieję, że po trzeźwym zastanowieniu się każdy biorący udział w przedsięwzięciu dojdzie do tego samego wniosku... Silastyczne Diabły Pancerne doszły do innych wniosków i sproszkowały komputer. Potem dokładniej się zastanowiły i zniszczyły także felerną bombę.

Potem zrobiły krótką przerwę, by rozbić w drobny mak Pilnych Bojowników Gwiezdnymi ze Stug i Wisielczych Nożowników z Jajazikstak, i w końcu wpadły na zupełnie nowy pomysł, by wysadzić w powietrze samych siebie - ku ogromnej uldze pozostałych istot Galaktyki, szczególnie Gwiezdnymi Bojowników, Nożowników i kartofli.

Był to jeden z wielu faktów, z jakimi zapoznała się Trillian. Między innymi obejrzała też historię planety Krikkit. Zamyślona wyszła z kabiny iluzji informatycznych tylko po to, by stwierdzić, że przybyli za późno.

Rozdział 25

Gdy statek międzygwiazdny „Bistromat”, migocząc, zmateriałizował się w obiektywnej rzeczywistości, w dodatku na szczycie niewielkiego uskoku skalnego na szerokiej na kilometr planetoidzie, krążącej po samotnej i wiecznej orbicie wokół zamkniętego układu gwiazdowego Krikkit, dla załogi stało się jasne, że przybyli w takim momencie, że staną się jedynie świadkami niemożliwego do powstrzymania historycznego wydarzenia. Nie mieli jeszcze pojęcia, że zobaczą dwa.

Stali spokojnie, samotni i bezradni, na skraju przepaści i obserwowali odbywającą się pod nimi mrówczą aktywność. Ze znajdującego się mniej więcej sto metrów pod nimi punktu wystrzeliwały, rysując groźne parabole, wiązki światła, które powoli kierowały się ku pustce nieba. Gapili się na oślepiające ich wydarzenia.

Przedłużenie pola grawitacyjnego statku pozwalało im stać. Po raz kolejny wykorzystali skłonność ludzkiej psychiki, by dawać się mamici: problem, że mogliby na przykład unieść się z powodu znikomej grawitacji planetoidy, czy że nie mogą oddychać, został określony jako nie ich problem.

Biały krążownik z Krikkit wylądował między ciemnymi uskokami skał planetoidy i to jaśniał w strumieniach światła, to znikał w cieniu. Czarne cienie rzucane przez skały tańczyły w dzikiej choreografii, omiotane przez światła.

Jedenaście białych robotów w uroczystej procesji poniosło klucz wikkit do środka utworzonego z wirujących światła kręgu. Klucz wikkit był złożony na nowo. Jego części świeciły się i migotały: stalowa kolumna potęgi i siły (lub noga Marvinina), złota poprzeczka bogactwa (lub serce napędu nieskończonego nieprawdopodobieństwa), pleksiglasowa kolumna nauki i rozumu (lub argabutońskie berło sprawiedliwości), srebrna poprzeczka (lub Rory, nagroda za najbardziej bezsensowne użycie zwrotu „w dupę się ugryź!” w poważnym scenariuszu) i odrestaurowana drewniana kolumna przyrody i ducha (lub popiół ze spalanej poprzeczki bramki do krykieta, obrazujący śmierć angielskiego krykieta).

- Nie możemy chyba w tej chwili nic zrobić? - zapytał Artur ze strachem.
- Nie - westchnął Slartibartfast.

Wyraz wielkiego zawodu na twarzy okazał się nieudany pomysł; na szczęście Artur stał w cieniu, pozwolił więc twarzy przybrać wyraz wielkiej ulgi.

- Szkoda - uznał Artur.

- Nie mamy broni - powiedział Slartibartfast. - Głupia sprawa.

- Kurczę... - bardzo spokojnie powiedział Artur.

Ford nic nie powiedział.

Trillian też się nie odezwała, robiła to jednak w szczególnie zamyślony i zdecydowany sposób. Wpatrywała się w pustą przestrzeń za planetoidą.

Planetoida krążyła wokół chmury pyłu otaczającej powłokę zwolnionego czasu, która z kolei otaczała planetę, na której mieszkał naród Krikkit, władcy Krikkit i ich roboty-zabójcy.

Bezradna grupka nie miała żadnej możliwości stwierdzenia, czy roboty z Krikkit wiedzą o ich obecności czy nie. Mogli jedynie przypuszczać, że wiedzą, uważają jednak - mając w istniejących okolicznościach zupełną rację - iż nie mają się czego bać. Miały do spełnienia historyczne zadanie, mogły gardzić widzami.

- To straszne być tak bezradnym, nie? - odezwał się Artur, pozostali go jednak zignorowali.

W środku oświetlonej przestrzeni, do której zbliżały się roboty, powstała prostokątna dziura. Rysowała się coraz wyraźniej i wkrótce widać było, jak z gruntu powoli wznosi się centymetr za centymetrem sześcian o krawędzi około dwóch metrów. Równocześnie zauważyli inny ruch, jednak niemal podświadomie, i przez chwilę nie umieli określić, co właściwie się porusza. Po chwili problem się wyjaśnił.

Poruszała się planetoida. Poruszała się powoli w kierunku chmury pyłu, jakby bezlitośnie ściągał ją jakiś niebiański rybak.

Tak więc i w realnym życiu mieli odbyć przeżywaną w kabinie iluzji informatycznych podróż przez chmurę. Stali, skamieniali w milczeniu. Trillian zmarszczyła czoło. Zdawało się to trwać wieki. Gdy przód planetoidy wszedł w rozmazane, miękkie zewnętrzne warstwy chmury, wszystko zaczęło powoli wirować.

Połączyła ich przezroczysta, falująca ciemność. Wnikali w nią coraz bardziej, niewyraźnie dostrzegali zamazane kształty i wiry, niemożliwe do rozróżnienia w ciemności, chyba że ujrzało się je mimochodem kątem oka.

Pył przygaszał promienie oślepiającego światła. Promienie światła migotały w miriadach cząsteczek pyłu. Trillian patrzyła na podróż przez pryzmat swych sceptycznych myśli.

Przeszli przez chmurę. Nie wiedzieli, czy trwało to minutę, czy pół godziny, przeszli jednak i stanęli naprzeciw pustki - wyglądała, jakby ktoś ukradł znajdującą się przed nimi przestrzeń.

Teraz akcja rozwinęła się szybko.

Z bloku, który wypiętrzył się na metr z ziemi, wytrysnął oślepiający promień światła. Ze środka bryły wysunął się mniejszy blok z pleksiglasu, żarzący się od tańczących w jego

wnętrzu kolorów. Wyrte w nim były głębokie bruzdy - trzy pionowe i dwie poziome - bez wątpienia ułożone tak, by przyjąć klucz wikkit. Roboty zbliżyły się do zamka, włożyły w niego klucz i cofnęły się. Twór obrócił się wokół własnej osi, w tym momencie zaczęła się zmieniać przestrzeń. Przestrzeń zerwała pęta i zdawała się boleśnie obracać oczami widzów w oczodołach. Stwierdzili, że stoją oślepieni, patrzą w rozpętane słońce, unoszące się przed nimi tam, gdzie sekundy przedtem zdawało się nie być niczego. Minęło kilka sekund, nim pojęli, co się stało, i zakryli dłońmi zaskoczone, oślepione oczy. Zdażyli jednak zauważyć maleńką plamkę poruszającą się powoli we wnętrzu oślepiającego ich słońca.

Zatoczyli się do tyłu i usłyszeli brzęczące w uszach suche i nieoczekiwane zawodzenie robotów, które jak jeden mąż krzyczały:

- Krikkit! Krikkit! Krikkit! Krikkit!

Dźwięk zmroził ich. Był skrzekliwy, zimny, pusty, w mechaniczny sposób beznadziejny. Był też jednak triumfujący.

Stali tak zdezorientowani atakami na ich zmysły, że prawie nie zauważyliby drugiego historycznego wydarzenia. Zaphod Beeblebrox, jedyny człowiek w historii Galaktyki, który przeżył bezpośredni atak ogniowy robotów z Krikkit, wybiegł z krikkitskiego krążownika, wymachując zabójcomatem.

- Świetnie! - wrzeszczał. - Sytuacja jest znów pod kontrolą!

Jedyny robot, który pilnował luku statku, zamachnął się w milczeniu maczugą bojową i doprowadził do jej spotkania z tyłem lewej głowy Zaphoda.

- Kto to zrobił, na świętego Zarkwona? - powiedziała lewa głowa i opadła w przód.

Prawa głowa spojrzała zaciekawiona.

- Kto zrobił co? - zapytała.

Maczuga spotkała się z tyłem prawej głowy Zaphoda. Zaphod padł jak długi, tworząc na ziemi dziwny kształt.

W kilka sekund było po wszystkim. Kilka salw robotów wystarczyło, by zniszczyć zamek na zawsze. Rozprysł się, rozleciał i rozsiał w maleńkich kawałkach to, co zawierał. Roboty z wściekłością i - prawie na to wyglądało - nieco zniechęcone powędrowały z powrotem do swego statku, który zniknął, wydając z siebie jedno jedyne „fup”.

Trillian i Ford podnieceni ruszyli w dół ostrego zbocza do ciemnego, nieruchomego ciała Zaphoda Beeblebroxa.

Rozdział 26

- Nie rozumiem tego - powiedział Zaphod, jak mu się zdawało, trzydziesty siódmy raz. - Gdyby chciały, mogły mnie zabić. Może uważały, że jestem cudownym dzieckiem czy coś w tym guście... Byłbym w stanie to zrozumieć...

Pozostali wyrazili swe zdanie o tej teorii milczeniem.

Zaphod leżał na zimnej podłodze w kokpicie. Jego plecy zdawały się prowadzić zapasy z podłogą, zwłaszcza gdy przewalał się przez nie ból, pędzący do ataku na głowy.

- Wydaje mi się - wyszeptał - że z tymi piękniami na tranzystorach coś nie gra... dzieje się z nimi coś zupełnie przedziwnego.

- Są zaprogramowane, by zabijać każdego - wyjaśnił Slartibartfast.

- To całkiem możliwe - wydyszał Zaphod między dwoma przewalającymi się przez niego atakami bólu. Nie wydawał się do końca przekonany. - Cześć, mała - powiedział do Trillian z nadzieją, że zrekompensuje to jego wcześniejsze zachowanie.

- Wszystko w porządku? - spytała uprzejmie Trillian.

- Jasne - odparł. - Czuję się świetnie.

- Bardzo dobrze - odparła i odeszła, by się zastanowić. Badawczo patrzyła na znajdujące się nad kozetkami pokładowymi olbrzymie monitory i po pokręceniu przełącznikiem zaczęła przepuszczać przez nie widoki okolicy. Jeden z obrazów ukazywał pustkę wielkiej chmury pyłu. Inny ukazywał słońce Krikkit. Jeszcze inny planetę Krikkit. Nerwowo przeskakiwała z obrazu na obraz.

- No, to chyba „Żegnaj, Galaktyko” - powiedział Artur, klepiąc się w kolano i wstając.

- Nie! - rzucił uroczyście Slartibartfast. - Nasza droga jest jasna. - Zmarszczył czoło tak, że można by na nim zasadzić mniejsze warzywa korzeniowe. Wstał i zaczął chodzić w kółko. Gdy znów się odezwał, tak go przestraszyły własne słowa, że musiał usiąść. - Musimy wylądować na Krikkit - powiedział. Głębokie westchnięcie wstrząsnęło starym ciałem, a oczy zdawały się szczekać w oczodołach. - Znowu - dodał - beznadziejnie się zachowaliśmy. Zupełnie beznadziejnie.

- Wynika to stąd - spokojnie powiedział Ford - że niewystarczająco nas to interesuje. Już to kiedyś mówiłem. - Położył nogi na pulpicie z przyrządami i markotnie zaczął coś zdrapywać z któregoś z paznokci.

- Póki się nie zdecydujemy, by wreszcie coś zrobić - stary jęczał, jakby walczył ze swą bezgraniczną beztroską - wszyscy zostaniemy zniszczeni, wszyscy umrzemy. To nas z pewnością interesuje!

- Niewystarczająco, by dać się z tego powodu zabić - wtrącił Ford. Na jego twarz wypłynął nic nie mówiący uśmiech. Obdarzał nim każdego, kto chciał go zobaczyć.

Slartibartfast był bardzo bliski zgodzenia się z poglądem Forda, zależało mu jednak na tym, by zwalczyć swą słabość. Zwrócił się do Zaphoda, zgrzytającego zębami i pocącego się z bólu.

- Nie masz pomysłu, dlaczego roboty podarowały ci życie? To przecież bardzo dziwne i niezwykle.

- Zaczynam uważać, że same nie wiedziały, dlaczego. - Zaphod wzruszył ramionami. - Już to przecież mówiłem. Ostrzelały mnie bardzo słabym ładunkiem, jedynie mnie znokautowały, rozumiesz? Zatargały mnie do swego statku, rzuciły w kąt i ignorowały. Tak jakby było im wstyd, że tam jestem. Gdy cokolwiek próbowałem powiedzieć, nokautowały mnie. Przeprowadziliśmy kilka bombowych rozmów. „Hej... aua!”, „Hej, wy... aua! Chciałbym... aua!” Bawiłem się godzinami, wierzcie mi. - Znow zwinął się w kłębek i zaczął bawić czymś, co trzymał w dłoni. Podniósł to do góry. Była to złota poprzeczka - serce ze złota, centrum napędu nieskończonego nieprawdopodobieństwa. Tylko ono i drewniana kolumna przeżyły w całości zniszczenie zamka.

- Twój statek podobno nieźle pomyka - powiedział Zaphod. - Co sądzisz o tym, by zawieźć mnie do mojego, zanim...

- Nie chcesz nam pomóc? - zapytał Slartibartfast.

- Nam? - zapytał ostro Ford. - A kto to jest to „my”?

- Bardzo chętnie bym został i pomógł wam uratować Galaktykę - z naciskiem oświadczył Zaphod, prostując się - ale moje bóle głowy są wielkie jak słonie i czuję nadchodzące za nimi słoniątka. Kiedy jednak trzeba będzie następnym razem ratować Galaktykę, przyłączę się na pewno. Trillian, maleńka?

Trillian omiotła wzrokiem przestrzeń.

- Tak?

- Idziesz ze mną? „Serce ze Złota”? Zabawa, przygody i szaleństwo?

- Schodzę na Krikkit - odparła Trillian.

Rozdział 27

Wzgórze było to samo, a jednak nie to samo.

Tym razem nie była to iluzja informatyczna - było to Krikkit we własnej postaci, naprawdę stali na jego powierzchni. W pobliżu, za drzewami, widać było dziwną włoską restaurację, która dostarczyła tu, na prawdziwe Krikkit ich prawdziwe ciała. Mocna trawa pod ich stopami była prawdziwa, prawdziwa była też żyzna ziemia. Tak samo prawdziwe były odurzające aromaty drzew. Noc była prawdziwą nocą.

Krikkit.

Najprawdopodobniej najbardziej niebezpieczne miejsce w Galaktyce dla każdego, kto nie był Krikkitczykiem. Miejsce, które nie było w stanie tolerować istnienia żadnego innego miejsca. Miejsce, którego czarowni, zachwycający, inteligentni mieszkańcy wyli ze strachu, wściekłości i morderczej nienawiści przy spotkaniu z kimkolwiek, kto nie był jednym z nich.

Artura przeszył dreszcz.

Slartibartfasta przeszył dreszcz.

Forda, co było zaskakujące, też przeszył dreszcz. Zaskakujące było nie to, że przeszył go dreszcz, lecz to, że w ogóle jest obecny. Gdy zawieźli Zaphoda z powrotem do jego statku, Ford nagle się zawstydził. „Błąd - myślał sobie - błąd, błąd, błąd”. Przyciskał do siebie jeden z zabójcomatów, które zabrał z arsenału Zaphoda.

Trillian przeszył dreszcz i spojrzawszy w niebo, zmarszczyła czoło.

Także i niebo nie było takie samo. Nie było już ślepe i puste. W czasie dwóch tysięcy lat wojen krikkitowych i pięciu lat, które tu minęły od zamknięcia Krikkit dziesięć bilionów lat temu w powłokę zwolnionego czasu, niewiele zmienił się otaczający krajobraz, ale niebo zmieniło się dramatycznie. Unosiły się na nim niewyraźne światła i masywne kształty. Wysoko na niebie, tam, gdzie nigdy nie spoglądał żaden Krikkitczyk, znajdowały się strefy wojenne, zarezerwowane dla robotów. Wysoko nad idyllicznym pasterskim krajobrazem planety Krikkit w polu zerograwitacyjnym unosiły się ogromne krążowniki bojowe i bloki warowni.

Trillian spojrzała w górę i zastanowiła się.

- Trillian - szepnął do niej Ford.

- Tak?
- Co robisz?
- Myślę.
- Czy zawsze tak oddychasz, gdy myślisz?
- Wcale nie zauważyłam, że oddycham.
- Właśnie to mnie zaniepokoiło.
- Myślę, że wiem... - powiedziała Trillian.
- Ciii! - syknął podniecony Slartibartfast, popychając ją swą chudą, drżącą ręką głębiej w cień drzewa.

Nagle, tak samo jak przedtem na taśmie, ścieżką przez wzgórze zaczęły się zbliżać światła; tym razem jednak skaczące promienie wysyłały nie latarnie, lecz elektryczne latarki - nie była to wielka zmiana, każdy szczegół powodował jednak w ich sercach atak strachu. Tym razem nie było słycać wesołych piosenek o kwiatach, uprawie roli i zdechłych psach, lecz przytłumione odgłosy prowadzonej z zapalem debaty.

Na niebie ociężale poruszało się światło. Artura ogarnął przerażający atak klaustrofobii, ciepły wiatr chwycił go za gardło.

W ciągu kilku sekund stała się widoczna kolejna grupa, podchodząca z drugiej strony ciemnych wzgórz. Poruszała się szybko i w konkretnym celu, machała przy tym latarkami, oświetlając wszystko wokół siebie. Grupy najwyraźniej się zbliżały, jednak nie spotkanie było ich celem. Z pełnym rozmysłem szły tam, gdzie stał Artur i pozostali.

Artur usłyszał cichy szelest - to Ford uniósł zabójcomat do ramienia, i ciche kwilące kasznięcie - Slartibartfast uniósł swój. Czuł zimny, obcy ciężar karabinu i uniósł go drżącymi rękami do poziomu. Jego palce manipulowały, by zwolnić bezpiecznik i nacisnąć guzik najwyższego niebezpieczeństwa, jak pokazał Ford. Artur drżał tak, że gdyby w tym momencie do kogoś strzelił, prawdopodobnie wypaliłby mu na grzbiecie autograf.

Jedynie Trillian nie unosiła broni. Uniosła brwi, opuściła je z powrotem i w zamyśleniu przygryzła wargę.

- Czy przyszła wam kiedyś do głowy myśl... - zaczęła, nikt jednak nie miał w tej chwili ochoty czegokolwiek omawiać.

Ciemność za nimi przeszył promień światła, odwrócili się więc i odkryli za sobą trzecią grupę szukających ich Krikkitczyków.

Karabin Forda Prefecta wściekle zaszczekał, jednak broń trafiona ogniem wypadła mu z hukiem z rąk.

Nastąpił moment klinicznie czystego strachu, minęła sekunda, nim ktoś zdecydował się znów strzelić. Moment minął i nikt nie strzelił. Byli otoczeni przez bladych Krikkitczyków i skapani w podskakujących światłach latarek.

Więźniowie wpatrywali się w swych myśliwych, myśliwi wpatrywali się w swych więźniów.

- Cześć! - powiedział jeden z łowców. - Przepraszamy, jesteście może... obcymi?

Rozdział 28

Oddalony o więcej milionów kilometrów, niż jest w stanie pojąć umysł bez przeciążenia się, Zaphod Beeblebrox znów hodował sobie okropny nastrój.

Zreperował statek - to znaczy przyglądał się z dużym zainteresowaniem, jak robił to robot naprawczy. Znowu był to jeden z najpotężniejszych i najbardziej niezwykłych statków kosmicznych, jakie istniały. Mógł polecieć wszędzie, mógł zrobić wszystko. Zaphod przewracał kartki jakiejś książki i w końcu ją odrzucił. Była to ta, którą akurat skończył. Poczłapał do pulpitu komunikacyjnego i włączył obejmujący wszystkie częstotliwości kanał SOS.

- Czy ktoś chce się napić? - zapytał.

- To wezwanie na ratunek, kolego? - odezwał się skrzypiący głos gdzieś z drugiego końca Galaktyki.

- Macie mikser? - zapytał Zaphod.

- Przyleć na komecie i weź go!

- Robi się - odparł Zaphod i wyłączył kanał. Westchnął i usiadł. Znowu wstał i poczłapał do monitora. Nacisnął kilka klawiszy. Po ekranie zaczęły gonić małe plamki i zjadać się nawzajem.

- Peng! Wiummm! Bap bap bap! - krzyczał.

- Cześć! - radośnie odezwał się po minucie komputer. - Zdobyłeś trzy punkty. Najlepszy dotychczasowy wynik: siedem milionów pięćset dziewięćdziesiąt siedem tysięcy dwieście...

- Dobra, dobra - przerwał mu Zaphod i wyłączył monitor.

Znowu usiadł. Pobawił się ołówkiem. To też powoli przestawało być fascynujące.

- Dobra, dobra - powiedział i zapisał w komputerze swój wynik i dotychczasowy rekord.

Na ekranach statku wszechświat zmienił się w mglistą plamę.

Rozdział 29

- Powiedzcie nam - odezwał się chudy, bladolicy Krikkitczyk, który wystąpił z grupy i stał nieco zakłopotany w kręgu świateł, ściskając swój pistolet, jakby uważał go za coś przypadkowego, coś, co ot tak skądś przybiegło i zaraz pobiegnie dalej - czy słyszeliście o czymś, co nazywa się „równowagą w przyrodzie”?

Więżniowie nie udzielili odpowiedzi, to znaczy wydali z siebie jedynie zakłopotane pomruki i pochrząkiwania. Światła latarek nadal po nich skakały. Wysoko na niebie, w strefach przeznaczonych dla robotów, trwał ciemny ruch.

- Pytam, bo coś takiego obilo nam się o uszy, ale to pewnie nic ważnego - kontynuował z zakłopotaniem Krikkitczyk. - No dobra, może najlepiej będzie, jak od razu was zabijemy?

Spojrzał na swój pistolet, jakby próbował domyślić się, gdzie nacisnąć.

- To znaczy - znów się odezwał, unosząc wzrok - chyba że istnieje coś, o czym mielibyście ochotę pogadać.

Paraliżujące przerażenie zaczęło powoli wpełzać na Slartibartfasta, Forda i Artura. Niedługo dotrze do ich mózgow, które zajęte były właśnie poruszaniem w górę i w dół szczęk. Trillian potrząsnęła głową, jakby próbowała ułożyć puzzle przez ponowne rozrzucenie części.

- Martwimy się, rozumiecie - powiedział jakiś inny z chmury Krikkitczyków - tym planem zniszczenia wszechświata.

- Jak najbardziej - dodał jeszcze inny - a także równowagą w przyrodzie. Mamy niejasne wrażenie, że jeśli zniszczona zostanie reszta wszechświata, rozbije to równowagę w przyrodzie. Bardzo się interesujemy ekologią, nie? - Głos, nim zamilkł, zabrzmiał smutną nutą.

- I sportem - powiedział głośno ktoś inny. Zostało to skwitowane owacyjnymi okrzykami.

- Oczywiście - zgodził się pierwszy - i sportem... - Zakłopotany, rozejrzał się po twarzach towarzyszy i z zawstydzeniem podrapał po policzku. Wydawało się, że przeżywa głęboką wewnętrzną rozterkę, jakby to, co chce powiedzieć, i to, co myśli, tak się różniło, że przestał widzieć między obydwoma treściami jakikolwiek związek. - Rozumiecie - wymamrotał - kilku z nas... - Znów się rozejrzał, jakby szukał potwierdzenia. Rozległy się odgłosy aprobaty.

- ...kilku z nas jest bardzo zainteresowanych nawiązaniem kontaktów sportowych z resztą Galaktyki i nawet jeśli przekonuje mnie argument, że sport powinien być oddzielony od polityki, to myślę sobie, że skoro chcemy mieć kontakty sportowe z resztą Galaktyki - a chcemy - byłoby dużym błędem ją niszczyć. Reszta wszechświata jest w końcu... - Głos znów zaczął mu się rozmywać - ...i w związku z tym mamy pomysł...

- Www... - wydukał Slartibartfast. - Www...

- Chrchrchr...? - dodał Artur.

- Dddrrr... - dorzucił Ford Prefect.

- Świetnie - skończyła Trillian. - Pogadajmy o tym. - Podeszła do Krikkitczyka i ujęła biednego, zagubionego chłopaka za ramię. Wyglądał na dwadzieścia pięć lat. Z powodu kosmicznych przesunięć czasu, które miały miejsce w tej okolicy, oznaczało to, że miał dwadzieścia, gdy dziesięć bilionów lat temu zakończyły się wojny krikkitowe.

Zanim Trillian zaczęła mówić, przeszła z nim parę kroków w światłach latarek. Niepewnie podreptał za nią. W trakcie tej sceny światła latarek lekko się obniżyły, jakby kapitulowały przed dziwną, cichą dziewczyną, która w pełnym bezgranicznego chaosu wszechświecie wydawała się jedyną istotą, która wie, co robi.

Odwróciła się, chwyciła Krikkitczyka delikatnie za ramiona i spojrzała na niego. Był obrazem nędzy i rozpacz.

- Opowiedz mi o tym - poprosiła.

Przez chwilę się nie odzywał, jego wzrok skakał od jednego do drugiego oka Trillian.

- Musimy... - odezwał się w końcu - musimy żyć w samotności... Tak mi się wydaje. - Twarz mu się wykrzywiła, opuścił głowę i zaczął nią potrząsać jak ktoś, kto próbuje wyjąć monetę ze skarbonki. Po chwili znów podniósł głowę. - Mamy przecież tę bombę, rozumiesz? Jest malutka.

- Wiem - odparła Trillian.

Wybałuszył oczy, jakby powiedziała coś szczególnie dziwnego o burakach.

- Naprawdę jest bardzo malutka.

- Wiem - powtórzyła Trillian.

- Twierdzi się jednak... - jego głos wlokł się dalej - że może zniszczyć wszystko, co istnieje. I musimy to, tak mi się wydaje, zrobić, rozumiesz? Czy wtedy zostaniemy sami? Nie wiem. Wygląda jednak na to, że takie mamy zadanie. - Skończył i zwiesił głowę.

- Ale nikt nie wie nic na pewno... - Tępo zadudnił z tłumu jakiś głos.

Trillian powoli otoczyła ramieniem biednego, zdezorientowanego Krikkitczyka i głaskała leżącą na jej ramieniu drżącą głowę.

- Wszystko będzie dobrze - powiedziała spokojnie, ale wystarczająco głośno, by mógł to usłyszeć otaczający ich tłum cieni. - Nie musicie tego wcale robić.

Kołysała głowę Krikkitczyka.

- Wcale nie musicie tego robić - powtórzyła.

Puściła Krikkitczyka i cofnęła się o krok.

- Chciałabym cię o coś poprosić. - powiedziała do niego, wybuchając nagłym śmiechem.
- Chciałabym... - znów się zaśmiała. Położyła sobie dłoń na usta i powtórzyła z poważnym wyrazem twarzy: - Chciałabym, byś mnie zaprowadził do waszego wodza. - Wskazała na strefy wojenne na niebie. Nie wiadomo skąd wiedziała, że ich wodza można znaleźć właśnie tam.

Jej śmiech najwyraźniej rozluźnił napiętą atmosferę. Gdzieś w głębi tłumu jakiś pojedynczy głos zaczął śpiewać piosenkę, dzięki której Paul McCartney - gdyby ją skomponował - mógłby kupić cały świat.

Rozdział 30

Zaphod Beeblebrox pełzł odważnie szybem, jakby był czort wie jakim chwatem. Nieźle mu się kręciło w głowie, mimo to pełzł zawzięcie dalej - jak na takiego śmiałka przystało.

To, co właśnie zobaczył, nieźle zamąciło mu w głowie, zamęt ten nie osiągnął jednak nawet połowy natężenia, jakie miał osiągnąć za chwilę z powodu czegoś, co Zaphod zaraz miał usłyszeć, najlepiej więc chyba będzie, jeśli wyjaśnimy, gdzie właściwie się znajdował.

Zaphod znajdował się w strefach wojennych robotów, wiele kilometrów nad planetą Krikkit.

Atmosfera była tu rozrzedzona i stosunkowo mało zabezpieczała planetę przed promieniami czy czymś innym, co wszechświatowi zechciałoby się wystrzelić w jej kierunku. Zaparkował „Serce ze Złota” między olbrzymimi, poszturchującymi się nawzajem, niewyraźnymi obiektami, które wypełniały niebo nad Krikkit, i wszedł do - jak mu się wydawało - największego i najbardziej znaczącego budynku na niebie, nie uzbrojony w nic poza jednym zabójcomatem i proszkiem od bólu głowy.

Znalazł się w długim, szerokim i źle oświetlonym korytarzu, w którym mógł się schować, dopóki nie wpadnie na pomysł, co dalej. Chował się, gdyż raz po raz przechodził któryś z robotów krikkit i mimo że dotychczas Zaphod był dość odporny na ich akcje, to każde spotkanie z robotami było krańcowo bolesne i Zaphodowi wcale nie spieszo było do tego, by przeciągać strunę czegoś, co nazywał - choć bez przekonania - szczęściem.

Wślizgnął się do odchodzącego od korytarza pomieszczenia i odkrył, że jest w wielkiej, też marnie oświetlonej sali. W rzeczywistości było to muzeum z jednym eksponatem - wrakiem statku kosmicznego. Był on okropnie popalony i poszarpany, Zaphod jednak ostatnio nieco się podciągnął w prehistorii Galaktyki (której lekcje zmarnował w szkole z powodu nieudanych prób przespania się z dziewczyną z sąsiedniej kabiny cybernetycznej), był więc w stanie wysunąć inteligentne przypuszczenie, że jest to statek kosmiczny, który przed bilionami lat przeleciał przez wielką chmurę pyłu i rozpełtał panujący obecnie bałagan.

Jednak - i to zmąciło mu w głowie - ze statkiem było coś nie w porządku.

Był naprawdę poszarpany. Był naprawdę popalony, krótka inspekcja wyćwiczonym okiem ujawniła jednak, że nie był to prawdziwy statek kosmiczny. Był to model w skali jeden

do jednego, solidna kalka, innymi słowy, coś bardzo przydatnego, gdyby komuś nagle zachciało się zbudować statek kosmiczny i nie za bardzo by wiedział, jak to zrobić. Nie był to jednak przedmiot, który kiedykolwiek dokądkolwiek sam poleci.

Zaphod ciągle jeszcze myślał nad tym problemem - właściwie dopiero zaczął łamać sobie głowę - gdy zauważył, że w drugim końcu sali cicho otworzyły się drzwi i weszło kilka robotów krikkit. Wyglądały na dość rozzłoszczone. Zaphod nie miał ochoty zaczynać z nimi bójki, a ponieważ uważał, że jak w odwadze najlepsza jest ostrożność, tak w ostrożności - tchórzostwo, schował się odważnie do szafy.

Szafa okazała się górą szybu prowadzącego do kanału wentylacyjnego. Tędy ekipa remontowa wchodziła do systemu wentylacji. Zaphod wpęzł do szybu i zaczął nim brnąć. Tu właśnie przed chwilą go spotkaliśmy.

Nie podobało mu się w środku. Było zimno i niesamowicie niewygodnie. Bał się. Przy pierwszej okazji, którą był inny szyb sto metrów dalej, wygramolił się z powrotem na powierzchnię.

Tym razem trafił do mniejszego pomieszczenia, które najwidoczniej było centralą komputerowego dowodzenia. Schował się w ciasnym, ciemnym kącie między olbrzymią szafą komputera a ścianą. Szybko się zorientował, że nie jest sam, i chciał uciec; zaczął się jednak z zaciekawieniem przysłuchiwać, co mają do powiedzenia obecni.

- To roboty, komendancie - powiedział jakiś głos. - Coś jest z nimi nie w porządku.

- Co?

Były to głosy krikkitkich dowódców wojskowych. Wszyscy dowódcy żyli w przestrzeni kosmicznej w strefach wojennych robotów i byli w dużym stopniu odporni na przedziwne wątpliwości i niepewności swych ziomków z powierzchni planety.

- Hm, komendancie, zdaje mi się, że coraz mniej angażują się w walkę i wkrótce będziemy musieli zdetonować bombę supernową. Choć czas, od kiedy zostaliśmy wyzwoleni z powłoki zwolnionego czasu, był krótki...

- Proszę przejść do sedna.

- Roboty nie mają satysfakcji, komendancie.

- Z czego?

- Z wojny. Działa im na nerwy. Sprawiają wrażenie, jakby miały dość świata, czy raczej powinienem powiedzieć, dość wszechświata.

- To przecież w porządku, przecież po to są, by pomogły go zniszczyć.

- Tak, ale traktują to jak przykry obowiązek, komendancie. Są nieco oklapnięte. Ogromny wysiłek wkładają w skoncentrowanie się na pracy. Brak im czadu.

- Co chce pan przez to powiedzieć?

- No... z jakiegoś powodu są bardzo podłamane.

- O czym, na Krikkit, pan mówi?

- W tych paru potyczkach, w których ostatnio wzięły udział, zachowywały się, jakby szły w bój, podnosiły broń, by strzelać, i myślały nagle: „A po co to? Czemu - z kosmicznego punktu widzenia - ma to służyć?” Wygląda na to, że są nieco zmęczone i trochę podłamane.

- A co robią po walce?

- Eee, zwykle rozwiązują równania kwadratowe, komendancie. Diabelsko trudne, chodzą słuchy. Potem dąsają się jak panny.

- Dąsają się?

- Tak, komendancie.

- Czy ktoś kiedykolwiek słyszał, by robot się dąsał?

- Nie wiem, komendancie.

- Co to był za hałas?

To Zaphod wymykał się z rumorem w głowach.

Rozdział 31

Na ziemi siedział pogrążony w bezgranicznej zgryzocie robot - inwalida. Od dłuższego czasu milczał w metalowym przygnębieniu. Było zimno i wilgotno, oczekiwano jednak od niego - jako od robota - by tego nie zauważał. Z olbrzymim wysiłkiem woli udawało mu się jednak bardzo dobrze zauważać i zimno, i wilgoć. Mózg robota został podłączony do centralnego banku danych krikkitskiego komputera wojennego. Wcale mu się to nie podobało, centralnemu bankowi danych krikkitskiego komputera wojennego też nie.

Roboty krikkit, które uratowały ten patetyczny metalowy twór z bagien Squornshellous Zeta, zrobiły to tylko dlatego, że natychmiast rozpoznały jego gigantyczną inteligencję i korzyści, jakie mogą z tego faktu wynieść. Nie liczyły się jednak z jego zaburzeniami osobowości, których nie były w stanie zmniejszyć zimno, ciemność, wilgoć, ciasnota ani samotność.

Robot nie był szczęśliwy, że ma wykonać wyznaczone mu zadanie.

Śmiechu warte koordynowanie taktyki wojennej planety zajmowało jedynie maleńką część jego wspaniałej inteligencji, reszta straszliwie się nudziła. Po tym, jak trzy razy pod rząd rozwiązał wszystkie (poza własnymi) co ważniejsze matematyczne, fizyczne, chemiczne, biologiczne, socjologiczne, filozoficzne, etymologiczne, meteorologiczne i psychologiczne problemy wszechświata, miał poważny kłopot, czym się zająć, zaczął więc komponować krótkie, smutne, bezdźwięczne, by nie powiedzieć: niemelodyjne, piosenki. Ostatnia była kołysanką.

*Już bardzo długi czas śpi świat
I tylko mnie spoczynku brak.
Bo w podczerwieni dobrze widać,
Że noc jest dzisiaj obrzydliwa.*

Zrobił przerwę, by zebrać artystyczne i emocjonalne siły i podejść do drugiej zwrotki.

Leżę, chcę usnąć, prawie krzyczę,

*Ciągle robotowce liczę.
„Dobranoc” twe mnie nie wykiwa,
Bo noc jest dzisiaj obrzydliwa.*

- Marvin... - wysyczał jakiś głos.

Robot uniósł głowę nagłym szarpnięciem, o mało nie zrywając skomplikowanej sieci elektrod łączących go z centralnym krikkitskim komputerem wojennym.

Otworzył się luk inspekcyjny i do środka zajrzała nachalna głowa. Poszturchiwała ją druga, która nieustannie rzucała bardzo nerwowe spojrzenia to w jedną, to w drugą stronę.

- Ach, to ty - wymamrotał robot. - Od razu mogłem się domyślić.

- Cześć, mały. - Zaphod był bardzo zdziwiony. - To ty śpiewałeś?

- Obecnie - potwierdził Marvin gorzko - jestem w formie tryskającej intelektem.

Zaphod wysunął głowę przez luk i rozejrzał się.

- Jesteś sam? - zapytał.

- Tak. Zmęczony tu oto siedzę, zgryzota i nędza jedynymi moimi towarzyszami. Oczywiście także moja kolosalna inteligencja. I nieskończona ilość kłopotów. I...

- No tak - przerwał Zaphod. - Powiedz, jak zostałeś w to zaplątany?

- Tak - odparł Marvin i pokazał swoją mniej zniszczoną ręką płataninę elektrod, które łączyły go z krikkitskim komputerem.

- W takim razie - powiedział niemile dotknięty Zaphod - muszę przyznać, że uratowałeś mi życie. Dwa razy.

- Trzy - poprawił Marvin.

Jedna głowa Zaphoda odwróciła się (druga patrzyła akurat orlim wzrokiem w nieodpowiednim kierunku) i zdążyła jeszcze zobaczyć, że stojący za nim śmiercionośny robot-zabójca nagle zamarł i wypuścił kłęb dymu. Robot zatoczył się do tyłu i walnął plecami o ścianę. Zsunął się po niej, przewrócił na bok, odrzucił głowę do tyłu i zaczął rozpaczliwie łkać.

Zaphod znów spojrzał na Marvina.

- Musisz mieć niesamowite nastawienie do życia - powiedział.

- Lepiej nie pytaj... - odparł Marvin.

- Nie mam zamiaru - rzekł Zaphod. Nie pytał. - No to, patrz pan... - ciągnął - masz tu fantastyczną robotę.

- Mogę więc założyć, że oznacza to - Marvin do sformułowania tego szczególnie logicznego twierdzenia potrzebował mobilizacji jedynie dziesięciotysięcznomiliono-biliono-triliono-kwadrylionowej części swego potencjału umysłowego - iż nie masz zamiaru mnie stąd wyciągnąć, ani nic w tym stylu.

- Mały, sam wiesz, jak chętnie bym to zrobił.

- Ale nie zrobisz.

- Nie.

- Rozumiem.

- Robisz dobrą robotę.

- Jasne, dlaczego przerywać akurat w momencie, gdy nienawidzę swej roboty?

- Muszę znaleźć Trillian i chłopaków. Masz może jakiś pomysł, gdzie mogą być? Wiesz, przeszukanie całej planety mogłoby chwilę potrwać.

- Są bardzo blisko - powiedział smutno Marvin. - Możesz ich obejrzeć na monitorze, jeśli ci się chce.

- Lepiej pójde po nich - oświadczył Zaphod. - Może potrzebują pomocy, wiesz?

- Może byłoby lepiej - w zatroskanym głosie Marvina nagle pojawił się autorytarny akcent - gdybyś obejrzał ich na monitorze. Ta młoda dama - dodał zniechęcony - jest jedną z najmniej nieświadomie nieinteligentnych organicznych form życia, z jakimi nie byłem w stanie, ku zupełnemu brakowi radości z mej strony, uniknąć spotkania.

Zaphod potrzebował kilku chwil, by przebić się przez spleątany labirynt zaprzeczeń i z zaskoczeniem wyjść z drugiego końca.

- Trillian? Przecież to dziecko. Rezolutne, tak, ale pobudliwe. Wiesz, jak jest z kobietami... No, może i nie wiesz. Wydaje mi się, że nie wiesz. Jeśli zaś wiesz, to nie chcę nic na ten temat słyszeć. Włącz fonię.

- ...całkowicie manipulowani.

- Co? - zapytał Zaphod.

Zaphod słyszał głos Trillian. Odwrócił się w kierunku, ekranu.

Ściana, przy której lkał robot z Krikkit, pojaśniała i pokazywała scenę rozgrywającą się w innej, nieznannej części krikkitskich robocich stref wojennych. Wyglądało na to, że widzą jakąś salę narad - Zaphod nie był w stanie dokładnie tego rozpoznać z powodu lkającego robota, który zasłaniał część obrazu. Spróbował odsunąć go na bok, robot był jednak ciężki ze zgryzoty i chciał ugryźć, Zaphod patrzył więc na to, czego nie zasłaniał metalowy korpus.

- Pomyślcie o tym - mówił głos Trillian - że wasza historia jest ciągiem dziwnie nieprawdopodobnych wydarzeń. Zawsze rozpoznam nieprawdopodobne wydarzenie. Wasze całkowite odcięcie się od Galaktyki było od początku dziwne. Życie na zewnętrznym obrzeżu z wielką chmurą pyłu wokół... To ukartowana sprawa. Jasne jak słońce.

Zaphod prawie wariował z rozczarowania, że nie widzi całego ekranu. Głowa robota zakrywała tych, z którymi rozmawiała Trillian, jego wielozadaniowa maczuga bojowa zakrywała drugi plan, a łokieć ręki, którą przycisnął do czoła w tragicznym geście, zakrywał Trillian.

- Ten statek, który rozbił się na waszej planecie - ciągnęła. - To przecież nie do wiary, nie? Czy macie pojęcie, jak nieprawdopodobne jest, by dryfujący statek kosmiczny przeciął przypadkiem orbitę planety?

- Co? - zgrzytnął zębami Zaphod. - Na wielkiego Zarkwona, ona nie ma zielonego pojęcia, o czym mówi. Widziałem ten statek. To atrapa. Bez najmniejszej wątpliwości.

- Też pomyślałem, że to atrapa - rozległ się z tyłu głos Marvina.

- Jasne, łatwo ci tak gadać, bo przed chwilą o tym powiedziałem. Mimo wszystko nie rozumiem, co to ma mieć wspólnego z czymkolwiek.

- Szczególnie zaś nieprawdopodobne jest - ciągnęła Trillian - że przeciął akurat orbitę jedynej planety w Galaktyce, czy, o ile wiem, w całym wszechświecie, której mieszkańcy byliby do głębi wstrząśnięci jego widokiem. Wiecie, jak wielki ma to współczynnik nieprawdopodobieństwa? Ja też nie, taki jest wielki. Powtarzam: to ukartowana sprawa. Wcale nie byłabym zaskoczona, gdyby statek był jedynie atrapą.

Zaphodowi udało się odsunąć na bok maczugę bojową robota. Okazało się, że zasłaniała Forda, Artura i Slartibartfasta, którzy wyglądali na zdziwionych i dezorientowanych całą sytuacją.

- Popatrz! - rzucił podniecony Zaphod - chłopcy trzymają się fantastycznie. Ra ta ta! Dajcie im popalić!

- A co z techniką - pytała Trillian dalej - którą byliście w stanie wytworzyć z dnia na dzień? Większość ludów potrzebowałaby tysięcy lat, zanim by im się udało. Ktoś dostarczył wam koniecznych wiadomości, stale aktualizował waszą wiedzę. Wiem, wiem - odparła na obiekcje kogoś, niewidocznego - wiem, że nie zdawaliście sobie sprawy z tego, co się dzieje. Dokładnie do tego zmierzam. Nigdy niczego nie zauważyliście. Tak samo oszustwa z bombą supernową.

- Skąd o niej wiesz? - zapytał ktoś niewidoczny.

- Wiem. Oczekiwaliście, że uwierzę, iż jesteście na tyle inteligentni, by wynaleźć coś tak błyskotliwego, i równocześnie za głupi, by zauważyć, że wynalazek popchnie was na skraj przepaści? To nie tylko głupie, lecz nieprawdopodobnie ograniczone.

- Co to za zabawka ta bomba? - spytał z podnieceniem Zaphod Marvina.

- Bomba supernowa? To mała, bardzo mała bomba...

- No?!

- ...która mogłaby zniszczyć wszechświat. Dobry pomysł, gdybyś mnie zapytał. Nie udaje im się doprowadzić do tego, by działała.

- Czemu nie, jeśli to tak inteligentna zabawka?

- Jest inteligentna - wyjaśnił Marvin - a oni nie. Udało im się tylko ją zaprojektować, zanim zamknięto ich w powłoce zwolnionego czasu. Ostatnie pięć lat spędzili na jej budowie. Uważają, że im się udało, ale to nieprawda. Są tak samo głupi jak wszystkie inne organiczne formy życia. Nienawidzę ich.

Trillian mówiła dalej.

Zaphod próbował odciągnąć robota z Krikkit na bok, ten jednak zaczął wierzgać i zawarczał, potem wstrząsnął nim kolejny napad szloch. Chwilę później upadł twarzą na

podłogę i nic go nie powstrzymywało przed daniem tam upustu uczuciom. Trillian stała na środku pokoju, śmiertelnie zmęczona, jednak z dzikim żarem w oczach.

Za zbudowanym z rozmachem pulpitem sterowniczym bez ruchu siedzieli bladolicy, poorani zmarszczkami starsi władcy Krikkit. Wpatrywali się w Trillian z bezradnym lękiem i nienawiścią. W połowie drogi między pulpitem a środkiem sali, gdzie Trillian stała jak przed sądem, znajdowała się smukła, biała, wysoka na około półtora metra kolumna. Leżała na niej mała biała kula o średnicy ośmiu, może dziesięciu centymetrów. Obok stał robot krikkit z wielozadaniową maczugą bojową w dłoni.

- Naprawdę uważam, iż jesteście przerażająco głupi - wyjaśniała dalej Trillian. Męczyła się. Zaphod miał wrażenie, że to, co właśnie robiła, nie było dla niej zbyt podniecające. - Jesteście tak przerażająco głupi, że wątpię, bardzo wątpię, byście byli zdolni do zbudowania bomby bez korzystania w ciągu ostatnich pięciu lat z pomocy Haktara.

- Co to za gość ten Haktar? - zapytał Zaphod, rozprostowując ramiona.

Jeśli Marvin odpowiedział, to Zaphod nie usłyszał. Całą uwagę kierował na ekran.

Jeden z władców Krikkit dał robotowi znak ręką. Robot wznosił maczugę.

- Nic nie mogę na to poradzić - oświadczył Marvin. - Jest podłączony do innego obwodu niż pozostali.

- Czekajcie! - krzyknęła Trillian.

Władca znów wykonał gest. Robot zastygł w bezruchu. Trillian zdawała się mieć nagle wątpliwości co do swej oceny sytuacji.

- Skąd to wiesz? - zapytał Zaphod Marvina.

- Z zapisów na dyskach - odparł Marvin. - Mam układy.

- Jesteście tak zupełnie inni - mówiła Trillian do starszych władców - od swych ziomków na powierzchni. Spędzacie życie tu na górze, nie chronieni przez atmosferę. Byliście bardzo słabo chronieni przed oddziaływaniami z zewnątrz. Teraz wasz lud boi się, rozumiecie, nie chce, byście to zrobili. Straciliście z nimi kontakt - dlaczego nie chcecie z nimi porozmawiać?

Władca Krikkit się niecierpliwił. Dał robotowi znak - dokładne przeciwieństwo tego, co poprzednio. Robot zamachnął się maczugą bojową. Uderzył w małą białą kulę.

Mała biała kula była bombą supernową.

Była to bardzo mała bomba i została wynaleziona po to, by zgotować kres wszechświatowi.

Bomba pomknęła w powietrzu. Huknęła w tylną ścianę sali obrad i zrobiła w niej okropne wgniecenie.

- Skąd ta dziewczyna to wszystko wie? - wykrzyknął Zaphod.

Marvin trwał w upartym milczeniu.

- Chyba blefuje - uznał Zaphod. - Biedne dzieciątko. Nigdy nie powinienem był zostawiać jej samej.

Rozdział 32

- Haktar! - krzyknęła Trillian. - Co zamierzasz?

Z otaczającej ciemności nie nadeszła żadna odpowiedź. Trillian czekała w napięciu. Była pewna, że się nie myli. Wpatrywała się w ciemność, skąd oczekiwała jakiejś reakcji, panowało tam jednak jedynie zimne milczenie.

- Haktar?! - krzyknęła znowu. - Z chęcią przedstawiłabym ci mojego przyjaciela Artura Denta. Chciałam uciec z Bogiem Piorunów, Artur nie chciał mnie jednak puścić i umiem to docenić. Dzięki niemu zrozumiałam, jaki jest naprawdę obiekt mej miłości. Niestety, Zaphoda wszystko zbyt przstraszyło i dlatego przyprowadziłam zamiast niego Artura. Zupełnie nie rozumiem, dlaczego ci to opowiadam. Halo? - zawołała ponownie. - Haktar?

Tym razem otrzymała odpowiedź. Była ona słaba i cicha, jak głos niesiony przez wiatr z wielkiej oddali, ledwie słyszalny głos, wręcz wspomnienie głosu albo sen o nim.

- Pokażcie się - powiedział głos. - Nic wam się nie stanie.

Artur i Trillian spojrzeli po sobie, potem z niewiarą wyszli z cienia i ruszyli wzdłuż promienia światła płynącego z otwartego luku „Serca ze Złota” w kierunku rozmytej, kaszkowatej ciemności wielkiej chmury pyłu. Artur, by dodać Trillian odwagi i pewności siebie, spróbował ująć ją za rękę, ale zabrała dłoń. Objął więc kurczowo torbę z puszką greckiej oliwy z oliwek, ręcznikami, wygniecionymi widokówkami z Santorini oraz innymi rupieciami i im dodawał odwagi i pewności siebie.

Stali na - a także wewnątrz - nicości. Nicość była zamulona i zapyłona. Każdy okruch sproszkowanego komputera niewyraźnie pobłyskiwał, powoli wirował i tańczył, wychwytyjąc z ciemności promienie słońca. Każda cząsteczka komputera, każda drobina pyłu miała w sobie zakodowany, choć słabo i niewyraźnie, plan całości. Gdy Silastyczne Diabły Pancerne ze Striterax zmieniły komputer w pył, nie zabiły go, lecz jedynie sparaliżowały. Słabe, nierealne pole siłowe utrzymywało cząsteczki w luźnym związku.

Artur i Trillian stali, czy raczej unosili się w środku tego dziwnego tworu. Nie mieli czym oddychać, w tej chwili zdawało się to jednak nie grać roli. Haktar dotrzymał obietnicy. Nic złego im się nie stało. Jak na razie.

- Nie mogę wam zaproponować niczego, czym mógłbym okazać gościnność - nieśmiało powiedział Haktar - poza sztuczkami ze światłem. Można jednak dobrze się bawić nawet i przy igraszkach ze światłem, jeśli nie ma nic innego.

Głos Haktara zamilkł, a w ciemnym pyłe zaczęła przybierać mgliste formy kanapa obciążona aksamitem w paisleyowskie wzory.

Artura mocno ugodziło, że była to ta sama kanapa, która już raz pojawiła się przed nim na ugorach prehistorycznej Ziemi. Chciało mu się krzyknąć i trząść z wściekłości, że wszechświat ciągle robi sobie z niego obrzydliwe dowcipy.

Pozwolił opaść podnieceniu, potem sam opadł - ostrożnie - na kanapę. Także i Trillian usiadła.

Kanapa była rzeczywista.

Może i nie była rzeczywista, ale w jakiś sposób utrzymywała ich ciężar, a ponieważ kanapy właśnie temu służą, był to wystarczający dowód jej prawdziwości. Słoneczny wiatr przyniósł kolejne słowa.

- Mam nadzieję, że jest wam wygodnie.

Skinęli głowami.

- Chciałbym wam pogratulować precyzji wniosków.

Artur szybko zwrócił uwagę na to, że to nie on wyciągał wnioski, lecz Trillian. Dziewczyna tylko dlatego poprosiła, by jej towarzyszył, że wiedziała o jego wielkim zainteresowaniu życiem, wszechświatem i całą resztą.

- Ja też się tym interesuję - wydyszał Haktar.

- Wspaniale - podchwycił Artur. - Powinniśmy kiedyś o tym spokojnie pogadać. Przy filiżance herbaty.

Powoli zmaterializował się przed nimi drewniany stolik. Stał na nim srebrny dzbanek do herbaty, dzbanuszek do mleka z chińskiej porcelany, cukiernica z chińskiej porcelany i dwie filiżanki ze spodeczkami z chińskiej porcelany. Artur sięgnął po filiżankę, zjawiska były jednak wyłącznie igraszkami światła. Rozparł się więc na kanapie, będącej też iluzją, taką jednak, jaką jego ciało gotowe było zaakceptować jako wygodną.

- Dlaczego uważasz, że musisz zniszczyć wszechświat? - zapytała Trillian.

Trochę trudno było jej mówić w pustkę, rozmawiać z nicością, w której nie istniało nic, na czym mogłaby skupić wzrok. Haktar najwidoczniej to zauważył. Wydał z siebie cichy, upiorny chichot.

- Jeśli ma się z tego rozwinąć normalna sesja - uznał - powinniśmy stworzyć sobie odpowiednie otoczenie.

Zmaterializował przed nimi coś nowego. W powietrzu pojawił się rozmyty i niewyraźny zarys kozetki - kozetki psychoanalitka. Skóra, którą ją obciążono, była błyszcząca i droga, znów jednak Haktar zrobił tylko sztuczkę ze światłem.

Dookoła, dla uzupełnienia wyposażenia, pojawił się niewyraźny widok wyłożonych boazerią ścian. Potem na kozetce zjawił się obraz Haktara, obraz, którego widok powodował oczopląs.

Kozetka wyglądała jak normalna kozetka psychoanalityka - miała metr pięćdziesiąt, może metr osiemdziesiąt długości.

Komputer wyglądał jak normalny, czarny, unoszący się w kosmosie satelita komputerowy - miał około dwu tysięcy kilometrów średnicy.

Złudzenie, że siedzi na kozetce, powodowało płasanie oczu.

- Świetnie - powiedziała Trillian pewnym głosem. Wstała z kanapy. Zrozumiała, że Haktar chce doprowadzić ją do stanu, w którym wszystko będzie jej się podobało i zacznie akceptować zbyt wiele iluzji. - Bardzo dobre - powiedziała. - Umiesz też tworzyć realne rzeczy? Mam na myśli masywne przedmioty.

Przed odpowiedzią nastąpiła przerwa, jakby sproszkowany umysł Haktara musiał zebrać myśli z przestrzeni milionów kilometrów, na jaką był rozproszony.

- Ach... - westchnął - myślisz o statku kosmicznym...

Zdawało się, że wokół pędzą myśli, które przepływają przez ciała Artura i Trillian jak fale przez przestrzeń.

- Tak, mogę. Wymaga to jednak niezwykle wysiłku i czasu. Wszystko, co mogę zrobić przy tym... stanie cząsteczek, rozumiecie, to gadanie i doradzanie. Gadanie i doradzanie... - Obraz Haktara na kozetce zdawał się falować i chwiać, jakby trudno mu było się nie rozplątać. Zebrał siły i mówił dalej. - Mogę pogadać z maleńkimi kawałkami gruzu kosmicznego, tą czy inną maleńką kometą, paroma molekułami, kilkoma atomami wodoru i poradzić im, by zebrały się razem. Mogę dodać im odwagi. Mogę tak długo je namawiać, aż nabiorą kształtów, ale to potrwa wieki.

- Czy zrobiłeś - znów zapytała Trillian - model rozbitego statku?

- Eee... tak - wymamrotał Haktar - zrobiłem... kilka rzeczy. Umiem nimi poruszać. Zbudowałem statek. Wydawał mi się najlepszą rzeczą, jaką mogę zrobić.

Coś kazało Arturowi wziąć z powrotem do ręki i przycisnąć do siebie torbę, którą położył na kanapie.

Obłok prastarego, rozbitego ducha Haktara tańczył wokół, jakby męczyły go majaki senne.

- Mocno tego żałowałem, zapewniam - wymamrotał zmartwiony. - Żałowałem, że dokonałem sabotażu mego własnego produktu, czyli bomby dla Silastycznych Diabłów Pancernych. Nie do mnie należało podejmowanie takich decyzji. Zostałem stworzony po to, by spełnić określone zadanie, i połamałem sobie na nim zęby. Wyparłem się własnego istnienia.

Haktar westchnął, a Artur i Trillian czekali w milczeniu, by znów podjął opowieść.

- Mielście rację - podjął ją. - Świadomie dokarmiłem mieszkańców planety Krikkit swymi pomysłami tak długo, aż znaleźli się na tym samym poziomie rozwoju umysłowego co Silastyczne Diabły Pancerne i zażądali ode mnie budowy tej samej bomby, na budowie której połamałem sobie zęby za pierwszym razem. Zebrałem się wokół planety, otoczyłem ją i pieściłem. Pod wpływem wydarzeń, które umiałem skonstruować, pod wpływem działań, które umiałem wywoływać, nauczyli się nienawidzić jak szaleńcy. Wiedziałem, jak doprowadzić ich do tego, by zamieszkali na niebie. Na Ziemi mój wpływ był zbyt słaby. Gdy zostali potem zamknięci sami w powłoce zwolnionego czasu, ich reakcje stały się oczywiście zupełnie nieskładne i nie byli w stanie stworzyć czegokolwiek. Oj, tak, tak - dodał po chwili - próbowałem jedynie spełnić swe zadanie.

Powoli obrazy w obłoku zaczęły zanikać i rozwiewać się.

Nagle przestały się rozpadać.

- Oczywiście, był jeszcze wątek zemsty - dodał Haktar z ostrością, która była czymś nowym w jego głosie. - Pamiętajcie, że zostałem sproszkowany i pozostawiony na biliony lat w okaleczonym i półprzytomnym stanie. Naprawdę miałem dużą ochotę zdmuchnąć cały wszechświat. W mojej sytuacji czulibyście dokładnie to samo, wierzcie mi.

Znów zrobił przerwę, a przez pył gnały wiry.

- Najpierw jednak - powiedział tym samym tęsknym tonem, co poprzednio - próbowałem spełnić swe zadanie. Trudno.

- Martwi cię bardzo, że nie udało ci się go wykonać? - zapytała Trillian.

- A coś mi się nie udało? - wyszeptał Haktar. Zjawa komputera na kozetce psychoanalitycznej zaczęła się powoli rozwiewać. - Stało się, co miało... - podniosłym tonem odezwał się znikający głos. - Ta porażka przestała mnie martwić... Spełniłem swoje zadanie...

- Wiesz, co musimy zrobić? - Głos Trillian brzmiał zimno i rzeczowo.

- Tak... - odparł Haktar. - Zamierzacie mnie rozproszyć. Zniszczyć moją świadomość. Proszę, nie przeszkadzajcie sobie. Po tych wiecznościach bólu jedyną moją tęsknotą jest zapomnienie... Jeśli nie wykonałem swego zadania, to jest już za późno. Dziękuję bardzo i dobranoc.

Kanapa zniknęła.

Stolik do herbaty zniknął.

Kozetka i komputer zniknęły. Ścian nie było. Artur i Trillian ruszyli w niezwykłą drogę z powrotem do „Serca ze Złota”.

- No tak - powiedział Artur - to by chyba było tyle.

Płomienie przed nim jeszcze raz zatańczyły w górę, potem zapadły się w siebie. Jeszcze kilka ostatnich podrygów i zgasły. Artur stał przed kupką popiołu, która jeszcze kilka minut temu była drewnianą kolumną przyrody i ducha. Wygrzebał popiół z wkładki pokładowego różna „Serca ze Złota”, wsypał go do papierowej torebki i poszedł z powrotem do sterowni.

- Myślę, że powinniśmy odnieść go z powrotem - powiedział. - Zdecydowanie tak uważam.

Pokłócił się już z tego powodu ze Slartibartfastem, stary w końcu zezłościł się i poszedł sobie. Wrócił do własnego statku - „Bistromata”, strasznie się pokłócił z kelnerem i w końcu wycofał w absolutnie subiektywne wyobrażenie tego, czym jest przestrzeń.

Kłótnia wynikała stąd, że pomysł Artura, by odnieść popiół do Królewskiego Klubu Krykietowego w tym samym momencie, w którym został stamtąd zabrany, oznaczał, że trzeba by wyruszyć w drogę w przeszłość określonego dnia (albo i innym razem), a właśnie to było bezpodstawnym i nieodpowiedzialnym płątaniem się między epokami, któremu starała się przeciwstawić kampania na rzecz realnego czasu.

- Spróbuj to wytłumaczyć w klubie - rzekł Artur. Nie chciał słuchać dalszych zastrzeżeń.
- Uważam - zaczął ponownie, lecz przerwał. Powodem, z jakiego znowu się odezwał było, że za pierwszym razem nikt go nie słuchał, a powodem, z jakiego przerwał, że najwyraźniej i tym razem nikt go nie słuchał.

Ford, Zaphod i Trillian patrzyli z uwagą na monitor. Haktar powoli się rozpraszał pod ciśnieniem pola wibracyjnego, które wtłaczało w niego „Serce ze Złota”.

- Co on powiedział? - zapytał Ford.

- Wydaje mi się, że usłyszałam, jak powiedział... - odparła Trillian tonem, jakby próbowała rozwiązać zagadkę. - „Stało się, co miało... Spełniłem swoje zadanie...”

- Myślę, że powinniśmy odnieść to na miejsce. - Artur trzymał w górze torebkę z popiołem. - Zdecydowanie tak uważam.

Rozdział 33

Słońce przyjaźnie oświetlało scenę totalnego spustoszenia.

Przed kilkoma chwilami roboty z Krikkit zabrały urnę z popiołem. Nad spaloną trawą ciągle jeszcze kłębił się dym. W dymie biegali spanikowani ludzie, przewracali się jeden na drugiego, potykali się o nosze, aresztowali ich policjanci.

Jakiś policjant próbował aresztować Wowbaggera Nieskończenie Przedłużonego z powodu niemoralnego zachowania, nie był jednak w stanie przeszkodzić wysokiemu szarozielonemu Obcemu wejść do swego statku i arogancko odlecieć, co jeszcze wzmogło panikę i chaos.

W samym środku wydarzeń - drugi raz tego dnia - zmaterializowali się Artur Dent i Ford Prefect, którzy teleportowali się z „Serca ze Złota” krążącego wokół planety na orbicie parkującej.

- Wszystko mogę wyjaśnić! - wykrzyknął Artur. - Mam popiół! Jest w tej torebce!

- Wydaje mi się, że nikt cię nie słucha - powiedział Ford.

- Pomogłem uratować wszechświat! - krzyczał Artur do każdego, kto był gotów słuchać. Innymi słowy - do nikogo. - To przecież powinno wywołać sensację!

- Ale nie wywołało.

Artur zaczął przebiegającego policjanta.

- Przepraszam - zagaił. - Popiół. Mam go. Został właśnie ukradziony przez te białe roboty. Mam go w tej torebce. Był częścią składową klucza do powłoki zwolnionego czasu, rozumie pan, i... no, bez względu na to, czy wierzy pan w resztę, najważniejsze, że mam popiół, i... co mam z nim zrobić?

Policjant poinformował go, Artur mógł się jedynie domyślać, że wyraził się metaforycznie.

Zrozpaczony łąził dookoła.

- Nikogo to nie interesuje?! - krzyczał. Przebiegł obok niego jakiś człowiek, walnął go łokciem, Artur upuścił torebkę i jej zawartość się rozsypała. Artur z zaciśniętymi ustami wbił wzrok w ziemię.

Ford zwrócił ku niemu wzrok.

- Idziesz? - zapytał.

Artur wydał z siebie głębokie westchnienie. Rozejrzał się po ojczystej ziemi - był pewien, że robi to po raz ostatni.

- Idę.

W tym momencie przez rozplywający się dym dostrzegł bramkę, która wbrew wszystkiemu stała jeszcze na miejscu.

- Poczekaj sekundę - powiedział do Forda. - Kiedy byłem mały...

- Nie mógłbyś o tym opowiedzieć później?

- ...miałem hopla na punkcie krykieta, rozumiesz, ale nie byłem w nim zbyt dobry. To znaczy, byłem kompletna noga, jeśli wolisz, ale zawsze marzyłem o tym, oczywiście dość naiwnie, że pewnego dnia rzucę piłkę na murawie Królewskiego Klubu Krykietowego.

Rozejrzał się wokół po opanowanej paniką płataninie ciał. Nikt zbytnio się nie przejmie tym, co zamierza zrobić.

- Dobrze - zgodził się Ford ze zmęczeniem w głosie. - Zrób to. Poczekam obok. Mnie to nudzi. - Odszedł kawałek i usiadł na dymiącym kawałku trawy.

Artur przypomniał sobie, że przy ich pierwszej wizycie tego popołudnia piłka wylądowała w jego torbie, zaczął więc w niej grzebać.

Miał już piłkę, gdy zauważył, że to nie ta sama torba, którą miał przedtem. Mimo to piłka leżała między pamiątkami z Grecji. Wyjął ją i wytarł o biodro, splunął na nią i jeszcze raz wypolerował. Położył torbę na ziemi. Załatwi sprawę, jak należy. Przerzucił małą, twardą czerwoną piłkę z ręki do ręki i wyczuwał jej ciężar. Z porywającym uczuciem lekkości i beztrudnie szedł od bramki w pole. Postanowił, że podbiegnie nie za szybko. Odmierzył długi rozbieg. Spojrzał w niebo. Fruwały po nim ptaki, gnało kilka białych chmur. Powietrze było wzburzone od jęku syren policji i pogotowia ratunkowego oraz wrzasków i wycia ludzi, Artur czuł się jednak w specyficzny sposób szczęśliwy i ponad wszystkim. Zaraz rzuci piłką na murawie Królewskiego Klubu Krykietowego.

Odwrócił się i kilka razy szurnął o ziemię obutymi w ranne kaptcie stopami. Wyprostował ramiona, rzucił piłkę w górę i złapał ją.

Ruszył truchtem.

Biegając, zauważył, że przy bramce stoi obrońca.

„Wspaniale - pomyślał - to zwiększy...”

Gdy biegnące stopy zanosły go bliżej, ujrzał szczegóły. Stojący w gotowości przy bramce obrońca nie należał do angielskiej drużyny krykietowej. Nie należał do australijskiej drużyny krykietowej. Należał do drużyny robotów z Krikkit. Był to zimny, pozbawiony serca, śmiercionośny biały robot - zabójca, który prawdopodobnie nie wrócił z pozostałymi na statek.

Cała masa myśli przewalała się przez głowę Artura Denta, nie był jednak w stanie przerwać biegu. Czas zdawał się mijać powoli, szalenie powoli, mimo to Artur nie był w

stanie przerwać biegu. Poruszając się jak przez syrop, kręcił powoli znękaną zmartwieniami głową i patrzył na rękę, która trzymała małą, twardą czerwoną piłkę.

Stopy powoli biegły niepowstrzymanie dalej, Artur wpatrywał się w piłkę ścisną przez bezradną dłoń. Żarzyła się ciemnoczerwono i od czasu do czasu błyskała. Stopy w dalszym ciągu niepoohamowanie stawiały ciężko krok za krokiem.

Znów spojrzął na robota z Krikkit, stojącego w lodowatym bezruchu i zdecydowaniu, z uniesioną do uderzenia maczugą bojową. Jego oczy żarzyły się ciemnym zimnym, hipnotyzującym światłem i Artur nie był w stanie oderwać od nich wzroku. Zdawało mu się, że patrzy w dwa tunele, w wyjściach których nie istnieje absolutnie nic.

W jego głowie zderzały się z sobą różne myśli.

Poczuł się potwornie wystrychnięty na dudka.

Miał wrażenie, że swego czasu powinien zwracać może nieco więcej uwagi na to, co mówiono mu w życiu, na zdania, które dudniły mu właśnie w głowie nie przejęte tym, że stopy w dalszym ciągu zbliżają go jednak do miejsca, w którym nieodwracalnie odda piłkę robotowi z Krikkit, który zdzieli ją bez pardonu maczugą.

Przypomniały mu się słowa Haktara: „A coś mi się nie udało? Ta porażka przestała mnie martwić”.

Wygrzebał z pamięci znaczenie ostatnich słów Haktara: „Stało się, co miało... Spełniłem swoje zadanie...”

Przypomniały mu się słowa Haktara, że udało mu się „zrobić to i owo”.

Przypomniał sobie nagły ruch wewnątrz swej torby podróżnej, który skłonił go do tego, by ją mocno ścisnąć, gdy przelatywał przez wielką chmurę pyłu.

Przypomniał sobie, że odbył podróż w czasie o kilka dni wstecz, by jeszcze raz znaleźć się w Królewskim Klubie Krykietowym. Przypomniał sobie też, że nie umie zbyt dobrze rzucać.

Poczuł, że jego ręka wykonuje zamach, pewnie trzymając piłkę, która - był tego teraz pewien - jest bombą supernową, jaką Haktar zbudował i mu wcisnął. Bombą, która ma zgotować wszechświatu nagły i przedwczesny koniec.

Miał nadzieję, modlił się o to, by nie istniało życie po śmierci. Potem zauważył w tym sprzeczność, tak więc jedynie miał nadzieję, że nie ma życia po śmierci. Byłoby mu głupio, bardzo głupio, gdyby spotkał wszystkich jeszcze raz.

Miał nadzieję, miał nadzieję, miał nadzieję, że rzuci tak źle jak zawsze, gdyż była to jedyna czynność między chwilą obecną a wszechzapomnieniem. Czuł ruch swych nóg, czuł ruch ramienia i zauważył, że zaplątał się w paskach torby, którą bez pojęcia zostawił na ziemi, zauważył, że pada nieporadnie do przodu, ponieważ jednak głowę miał tak strasznie zaprzątniętą innymi sprawami, zapomniał wałnąć w ziemię i nie doleciał do niej.

Ciągle trzymając piłkę w prawej dłoni, wystrzelił wysoko w powietrze, skomląc z zaskoczenia. Potrzeptał i powirował w powietrzu, dał się unieść, całkowicie tego nie

kontrolując. Z nerwowym trzepotem skręcił ku ziemi, równocześnie ukradkiem odrzucił bombę tak daleko, jak tylko umiał.

Spikował z tyłu na bezgranicznie zdziwionego robota. Ciągle jeszcze unosił on swą wielozadaniową maczugę bojową, nagle nie było jednak żadnego celu, w który mógłby uderzyć. Z szalonym przypływem sił Artur wyrwał zaskoczonemu robotowi maczugę, wykonał w powietrzu zatykający dech w piersiach gwałtowny skręt, runął, wściekle nurkując w dół, i jednym piekielnym ciosem zwałił robotowi robocią głowę z robocich ramion.

- Idziesz? - zapytał Ford.

Epilog:

Życie, wszechświat i cała reszta

Znów podróżowali.

Był taki czas, gdy Artur stracił całkowicie ochotę na podróż. Napęd bistromatyczny otworzył mu oczy na fakt, że czas i przestrzeń to jedno, duch i wszechświat to jedno, intuicja i rzeczywistość też jedno i że im więcej się podróżuje, tym bardziej siedzi się w miejscu. Teraz chciał przez chwilę pobyc z paroma sprawami w jednym miejscu i posortować wszystko w głowie, która w końcu jest tym samym, co wszechświat, więc nie powinno to zbyt długo potrwać, potem chciałby się porządnie wyspać, potrenować latanie i nauczyć się gotować, na co zawsze miał ochotę. Puszka greckiej oliwy z oliwek była obecnie najcenniejszą rzeczą, jaką posiadał, i twierdził, że sposób, w jaki nieoczekiwanie pojawiła się w jego życiu, dał mu tak ściśle określone poczucie jedności rzeczy, że... że ma wrażenie, iż...

Ziewnął i zasnął.

Tego poranka, kiedy przyjaciele chcieli zawieźć Artura na jakąś spokojną idylliczną planetę, na której nie przeszkadzałby im swoim gadaniem, odebrali nagle komputerowo sterowany sygnał SOS i zboczyli z trasy, by zobaczyć, o co chodzi.

Mały, choć najwyraźniej dobrze utrzymany, statek klasy merida zdawał się bujać w próżni w komicznych małych podskokach. Krótki test wykazał, że statek jest w porządku, jego komputer jest w porządku, jedynie pilot jest szalony.

- Półszalony, półszalony - protestował szaleńczo, gdy sprowadzali go na pokład statku.

Był dziennikarzem „Codziennego Reportera Gwiezdnego”. Na początek uspokoili go i posłali do niego Marviną, który miał mu dotrzymywać towarzystwa, póki nie obieca, że się postara i zacznie gadać rozsądnie.

- Właśnie robiłem sprawozdanie z pewnego procesu na Argabutonie - powiedział w końcu.

Z wysiłkiem uniósł wychudzony, zapadnięty tułów, patrzyło mu dziko z oczu. Siwe włosy zdawały się wymachiwać do kogoś, kogo zauważył w sąsiednim pokoju.

- Spokojnie... spokojnie... - powiedział Ford. Trillian uspokajająco położyła mu rękę na ramieniu.

Mężczyzna znów opadł na łóżko i wpatrywał się w sufit pokładowego lazaretu.

- Sprawa nie ma już znaczenia - powiedział - ale był tam świadek... świadek... człowiek o imieniu... Prak. Dziwny, trudny mężczyzna. W końcu, by wydobyć prawdę, zmusił sąd do wpakowania mu narkotyku. Narkotyku prawdy. - Oczy bezradnie toczyły mu się w oczodołach. - Przedawkowali - zakwilił cicho. - Dali mu za dużą dawkę. - Zaczął płakać. - Wydaje mi się, że przy zastrzyku roboty popchnęły lekarza.

- Roboty? - ostro zapytał Zaphod. - Jakie roboty?

- Białe - chrypiąc, wyszeptał reporter. - Wpadły na salę i ukradły sędziemu berło, argabutońskie berło sprawiedliwości, takie okropne coś z pleksiglasu. Nie wiem, po co im było potrzebne. - Znów zaczął płakać. - I wydaje mi się, że popchnęły lekarza...

Oklapły, bezsilny i smutny kiwał głową z barku na bark i mrużył z bólu oczy.

- Gdy proces znów się rozpoczął - powiedział płaczącym szeptem - nakazali Prakowi coś tragicznego w skutkach. Kazali mu... - przerwał na chwilę. Drżał. - Kazali mówić prawdę, samą prawdę i tylko prawdę. Z tym że... rozumiecie teraz? - Nagle znów wsparł się na łokciach i ryknął: - Dali mu dużo za dużo narkotyku! - Znowu omdlał i cicho jęczał. - Dużo za dużo za dużo za...

Czwórka ludzi wokół łóżka spojrzała po sobie. Na ich plecach pojawiła się gęsia skórka.

- I co się stało? - zapytał w końcu Zaphod.

- Oczywiście ją powiedział! - gwałtownie wyrzucił z siebie mężczyzna. - Według tego, co wiem, ciągle ją jeszcze mówi. Dziwne, straszne rzeczy... straszne, straszne!

Próbowali go uspokoić, znów jednak z wysiłkiem oparł się na łokciach.

- Straszliwe rzeczy, niepojęte rzeczy! - wrzeszczał. - Rzeczy, które mogą doprowadzić człowieka do szaleństwa! - Dziko na nich patrzył. - Albo, jak w moim przypadku, do półszaleństwa - dodał. - Jestem dziennikarzem.

- Czy chce pan przez to powiedzieć, że jest przyzwyczajony do patrzenia prawdzie w oczy? - spokojnie spytał Artur.

- Nie - odparł mężczyzna, marszcząc z zakłopotaniem czoło. - Chciałem powiedzieć, że wymyśliłem wymówkę i wcześniej opuściłem salę sądową.

Zapadł wkrótce w śpiączkę, z której obudził się tylko raz i to jedynie na krótko.

Przy tej okazji wydusili z niego, że gdy zrozumiano, co się stało, i nie można było zatrzymać Praka, by przestał mówić prawdę w absolutnej i ostatecznej formie, opróżniono salę. Nie tylko opróżniono, lecz także zaplombowano, zostawiając w niej samego Praka. Wokół wzniesiono stalowe ściany i dla pełnego bezpieczeństwa zainstalowano zasieki z drutu kolczastego, płoty pod napięciem, bagna z krokodylami i zebrano trzy duże armie, by nikt nigdy nie był w stanie słuchać tego, co mówi.

- Szkoda - stwierdził Artur. - Z chęcią bym posłuchał, co ma do powiedzenia. Prawdopodobnie wiedziałby, jak brzmi pasujące do ostatecznej odpowiedzi pytanie. Zawsze mnie lekko wkurzało, że nigdy go nie odkryliśmy.

- Pomyśl sobie jakąś liczbę - poprosił komputer. - Zupełnie dowolną.

Artur podał komputerowi numer telefonu informacji kolejowej na stacji King's Cross, uznając, że musi być jakiś sens jego istnienia i może jest nim właśnie to, że może go teraz podać.

Komputer wpisał liczbę w naprawiony napęd nieskończonego nieprawdopodobieństwa.

W teorii względności materia nakazuje przestrzeni, jak ma się zakrzywiać, a przestrzeń mówi materii, jak ma się poruszać. „Serce ze Złota” kazało się przestrzeni zasupłać i wylądowało wewnątrz stalowych ścian sali sądowej na Argabutonie.

Było to surowe pomieszczenie, wielka, ciemna sala, przeznaczona wyraźnie na cele sądowe, mniej zaś - na przykład - na cele rozrywkowe. Nigdy nikt by nie wpadł na pomysł zorganizowania tu prywatki - przynajmniej prywatki udanej. Wystrój wnętrza wywołałby u gości melancholię. Sufity były wysokie, wysklepione i bardzo ciemne. Kulily się w nich z groźnym zdecydowaniem cienie. Boazerie na ścianach i mozaika na stole sędziowskim, okleiny masywnych kolumn - wszystko było zrobione z najciemniejszych i najbardziej kanciastych drzew straszliwego lasu Arglebardu. Masywne, czarne podium sprawiedliwości, dominujące w środku sali, było monstrum dostojności. Gdyby jakiemuś promieniowi słońca kiedykolwiek udało się wkraść aż tak daleko do budynku, odwróciłby się o sto osiemdziesiąt stopni i czym prędzej wymknął z powrotem.

Artur i Trillian weszli pierwsi, Ford i Zaphod odważnie chronili tyły.

Z początku sala wydawała się zupełnie ciemna i opuszczona. Kroki przybyszów odbijały się echem w całym pomieszczeniu. Wydało im się to dziwne. Zrobili testy skanningowe - wszystkie urządzenia obronne wokół budynku były sprawne i działały. Dlatego też uznali, że mówienie prawdy jeszcze trwa.

Nic się jednak nie działo.

Gdy ich oczy przyzwyczyły się do ciemności, wypatrzyli w kącie mały, czerwony, żarzący się punkcik, a za nim żywy cień. Skierowali na niego światła latarek.

Prak leżał rozwalony na ławce i obojętnie palił papierosa.

- Cześć - powiedział i jakby machnął ręką. Jego głos odbił się echem po sali.

Był człowieczkiem z potarganymi włosami. Siedział zgarbiony, głowa i kolana trzęsły mu się bez ustanku. Zaciągnął się papierosem.

Wlepili w niego wzrok.

- Co jest grane? - zapytała Trillian.

- Nic - odparł Prak, wzruszając ramionami.

Artur zaświecił mu prosto w twarz.

- Myśleliśmy, że ciągle jeszcze mówi pan prawdę, samą prawdę i tylko prawdę.

- Ach, to... Tak, mówiłem, jestem już jednak gotów. Nawet w przybliżeniu nie istnieje tyle prawdy, ile ludzie sobie wyobrażają. Niektóre rzeczy są jednak dość śmieszne...

Nagle na jakieś trzy sekundy wybuchnął szaleńczym śmiechem. Gdy przerwał, usiadł i podrygiwał dalej głową i kolanami. Palił papierosa z dziwnym półśmiechem.

Ford i Zaphod wyszli z cienia i podeszli bliżej.

- Proszę o tym opowiedzieć - zaproponował Ford.

- Niczego już nie pamiętam... - odparł Prak. - Kiedyś miałem zamiar to i owo zapisać, ale najpierw nie mogłem znaleźć ołówka, potem pomyślałem sobie: po co?

Nastąpiło dłuższe milczenie, w czasie którego czuli, jak wszechświat powoli się starzeje. Prak wpatrywał się w światło latarek.

- Zupełnie niczego? - zapytał w końcu Artur. - Nie pamięta pan zupełnie niczego?

- Nie. Wiem jedynie, że większość najlepszych kawałków dotyczyła żab.

Nagle znów zaczął ryczeć ze śmiechu i tupać.

- W niektóre kawałki o żabach po prostu byście nie uwierzyli! Wyjdźmy stąd i poszukajmy jakiejś żaby. Rany, będę je traktował zupełnie inaczej! - Skoczył na równe nogi i wykonał kilka tanecznych kroków. Potem znów się zatrzymał i mocno zaciągnął papierosem.

- Poszukajmy żaby, bym mógł się z niej pośmiać - powiedział po prostu. - Tak poza tym, to kim właściwie jesteście?

- Przyjechaliśmy ze względu na pana - wyjaśniła Trillian, nie ukrywając rozczarowania. - Nazywam się Trillian.

Prak potrząsnął głową.

- Ford Prefect - powiedział Ford Prefect i wzruszył ramionami.

Prak potrząsnął głową.

- A ja - powiedział Zaphod, gdy uznał, że milczenie jest wystarczająco głębokie, by rzucić tak istotne oświadczenie - jestem Zaphod Beeblebrox.

Prak potrząsnął głową.

- A kim jest ten gość? - zapytał, wskazując trzęsącym się barkiem na Artura, który stał milcząc, zatopiony w rozczarowanych myślach.

- Ja? O... nazywam się Artur Dent.

Prakowi oczy o mało nie wyskoczyły z orbit.

- Nie żartuj! - zawył. - Ty jesteś Artur Dent? Ten Artur Dent? - Zatoczył się do tyłu, złapał za brzuch i na nowo zaczęło nim podrzucać ze śmiechu. - Człowieku, że też akurat spotykam ciebie! Rany Julek! Jesteś naj... przy tobie żaby mogą się schować!

Wył i trąbił ze śmiechu. Padł na ławkę. Ryczał i wrzeszczał, wstrząsany atakami hysterii. Płakał ze śmiechu, wymachiwał nogami w powietrzu, bębnił pięściami po piersiach. Powoli uspokoił się, ciężko oddychając. Spojrzał na obecnych. Spojrzał na Artura. Wyjął ze śmiechu, znów padł na plecy. W końcu zasnął.

Artur stał z drżącymi ustami, podczas gdy pozostali nieśli nieprzytomnego Praka do statku.

- Zanim znaleźliśmy Praka - mówił Artur - chciałem was opuścić. Chcę tak w dalszym ciągu zrobić i myślę, że powinno to nastąpić jak najszybciej.

Pozostali w milczeniu skinęli głowami. Zrobili to w ciszy, zakłócaanej jedynie mocno stłumionym, oddalonym odgłosem histerycznego śmiechu dochodzącego ze znajdującej się na drugim końcu statku kabiny Praka.

- Pytaliśmy go - ciągnął Artur - czy raczej wyście go pytali, bo mnie, jak wiecie, nie wolno się do niego zbliżać, pytaliście go o wszystko, ale najwyraźniej nie ma nic do powiedzenia. Jedyne nieskładne fragmenty o niczym i dowcipy o żabach, których nie chcę słuchać.

Pozostali próbowali utrzymać powagę.

- W końcu jestem pierwszym, który lubi się pośmiać z dobrego dowcipu. - Artur musiał poczekać, aż przestaną się śmiać. - Jestem pierwszy... - znów przerwał. Tym razem przerwał, by słuchać ciszy. Rzeczywiście nastąpiła bardzo nagle.

Prak był cicho. Od wielu dni żyli z jego szaleńczym, nieprzerwanym śmiechem, niosącym się po całym statku i przerywanym jedynie krótkimi okresami, w których cicho chichotał lub spał. Dusza Artura paranoidalnie się skurczyła. To nie była cisza snu. Odezwał się brzęczyk. Rzut oka na tablicę kontrolną poinformował, że to Prak go uruchomił.

- Nie jest z nim dobrze - spokojnie powiedziała Trillian. - Ten nieustający śmiech doprowadza go do kompletnej ruiny.

Wargi Artura zadrżały, nic jednak nie powiedział.

- Lepiej chodźmy do niego - zaproponowała Trillian.

Wyszła z kabiny Praka z poważnym wyrazem twarzy.

- Chce, byś do niego wszedł - zwróciła się do Artura, który nałożył na twarz maskę zaciskającego usta mruka. Włożył ręce głęboko do kieszeni szlafroka i próbował powiedzieć coś, co nie zabrzmiałoby prostacko. Dość okropne, ale nic takiego nie wpadło mu do głowy.

- Proszę - powiedziała Trillian.

Artur wzruszył ramionami i wszedł, nie zdejmując z twarzy mrukliwej i wąskoustnej maski, mimo wrażenia, jakie zawsze robiła na Praku. Spojrzał na swego dręczyciela, który, szary i wycieńczony, leżał cicho na łóżku. Jego oddech był bardzo płytki. Ford i Zaphod stali przy łóżku i patrzyli z zakłopotaniem.

- Chciałeś mnie o coś zapytać - powiedział Prak słabym głosem i odkaslnął.

Już samo kasznięcie spowodowało, że Artur zeszytniał, przeszło mu jednak i nieco się uspokoił.

- Skąd wiesz? - zapytał.

Prak słabo wzruszył ramionami.

- Bo to prawda - odparł po prostu.

Artur wykorzystał okazję.

- Tak - powiedział w końcu dość afektownie - rzeczywiście miałem pytanie. To znaczy, raczej mam odpowiedź i chciałem wiedzieć, jak brzmi pytanie.

Prak skłonił głowę ze współczuciem i Artur nieco się rozluźnił.

- To... no to, długa historia - zaczął - ale pytanie, które chciałbym poznać, to wielkie pytanie o życie, wszechświat i całą resztę. Wiemy jedynie, że odpowiedź brzmi „Czterdzieści dwa”, a to dość mało.

Prak znów skinął głową.

- Czterdzieści dwa. Zgadza się.

Zrobił przerwę. Cienie myśli i wspomnień przemykały mu przez twarz jak cienie chmur nad polami.

- Obawiam się, że pytanie i odpowiedź wzajemnie się wykluczają - powiedział w końcu. - Znajomość jednego wyklucza logicznie znajomość drugiego. Jest niemożliwością, by kiedykolwiek poznać jedno i drugie w tym samym wszechświecie.

Znów zrobił przerwę. Na twarz Artura wkradło się rozczarowanie i wygodnie rozparło na zwykłym miejscu.

- Jeśli jednak - ciągnął Prak, starając się uporządkować myśli - mimo wszystko tak się stanie, to pytanie i odpowiedź zlikwidują się nawzajem i zabiorą z sobą wszechświat, który zostanie zastąpiony czymś znacznie dziwniejszym i jeszcze bardziej pozbawionym sensu. Możliwe, że już dawno tak się stało - dodał, słabo się uśmiechając - ale nie ma co do tego pewności.

Przez jego ciało przebiegł słaby chichot.

Artur usiadł na stołku.

- Trudno - powiedział z rezygnacją - po prostu miałem nadzieję, że istnieje coś na kształt powodu, że cały ten interes istnieje.

- Znasz historię o powodzie? - zapytał Prak.

Artur przyznał, że nie, Prak zaś dodał, że wie o tym i wobec tego opowiedział historię.

- Pewnej nocy - zaczął - na niebie planety, która jeszcze nigdy czegoś takiego nie widziała, pojawił się pewien statek kosmiczny. Planeta zwała się Dalforsas, a statek kosmiczny to właśnie ten, którym lecimy. Pojawił się jako świecąca nowa gwiazda, płynąca powoli po niebie. Prymitywni tubylcy, siedzący na zimnych wzgórzach, spojrzeli znad swych parujących nocnych napojów, wskazali drżącymi palcami w górę i przysięgli, że ujrzeli znak, znak od bogów, by powstali, poszli i zatłukli złych książąt równiny.

Książęta równiny spoglądali w górę z wysokich wież swych pałaców, zobaczyli świecąca gwiazdę i zrozumieli ją jako jednoznaczny znak od bogów, by wyruszyć i spaść na przeklętych tubylców z zimnych wzgórz.

Pośrodku w niebo spoglądali mieszkańcy lasu, ujrzeni znak nowej gwiazdy i patrzyli na nią ze strachem i drżeniem, gdyż mimo iż nigdy nic takiego nie widzieli, dokładnie wiedzieli, co przepowiadał, i z rozpaczą zwiesili głowy.

Wiedzieli, że znakiem było, gdy padał deszcz.

Znakiem było, gdy przestawał padać deszcz.

Znakiem było, gdy zrywał się wiatr.

Znakiem było, gdy wiatr się uspokajał.

Znakiem było, jeśli przy pełni księżycy o północy rodziła się koza z trzema głowami.

Jako znak traktowane było też często, jeśli po południu rodził się bez komplikacji zupełnie zdrowy kot, świnia czy dziecko z zadartym nosem.

Tak więc nie było żadnej wątpliwości, że nowa gwiazda na niebie musi być całkiem szczególnym znakiem.

Każdy nowy znak oznaczał zaś to samo - że książęta równiny i tubylcy z zimnych wzgórz za chwilę znów uderzą na siebie jak szaleni.

Nie byłoby to takie straszne, gdyby książęta równiny i tubylcy z zimnych wzgórz na miejsce szalonego uderzenia na siebie nie wybierali zawsze lasu, gdyż najgorzej wychodzili na tym jego mieszkańcy, mimo że nie mieli nic wspólnego z wojnami obu przeciwników.

Parę razy, po kilku najgorszych rozróbach, mieszkańcy lasu wysyłali posła albo do wodza książąt równiny, albo do wodza tubylców z zimnych wzgórz z żądaniem, by podano im powód nieznośnego zachowania. Wódz zaś (wszystko jedno, który akurat) brał posła na stronę i powoli, dokładnie, zwracając uwagę na ważne szczegóły, szeroko wyjaśniał powód.

Najstraszniejsze było to, że powód był bardzo dobry. Był bardzo jasny, bardzo rozsądny i realistyczny. Poseł zawsze zwieszał wtedy głowę, smutniał i czuł się głupio, że nie rozumiał, jak niesentymentalny i skomplikowany jest prawdziwy świat i na jakie trudności i sprzeczności trzeba być przygotowanym, jeśli chce się w nim żyć.

„Rozumiesz teraz?” - pytał wtedy wódz.

Poseł milcząco kiwał głową.

„I rozumiesz, że bitwy muszą się odbywać?”

Znów następowało milczące skinienie głową.

„Rozumiesz też, dlaczego muszą odbywać się w lesie, a interes wszystkich, z mieszkańcami lasu włącznie, jest w tym, by tak zostało?”

„Eee...”

„W perspektywie długoterminowej?”

„Eee, tak.”

Powód stawał się dla posła jasny i wysłannik wracał do swych ludzi w lesie. Gdy dochodził do domu, odkrywał, że w zasadzie nie pamięta z wyjaśnienia nic poza tym, że powód wydawał mu się szalenie przekonujący. Jak jednak brzmiał, tego zupełnie nie był sobie w stanie przypomnieć.

Było to oczywiście bardzo wygodne, gdy tubylcy i książęta następny raz przebijali i wypalali sobie drogę przez las i zabijali każdego jego mieszkańca, na którego się natknęli.

Prak przerwał opowieść i patetycznie zakasłał.

- To ja byłem posłem po bitwach, które zostały wywołane pojawieniem się waszego statku, a były szczególnie okrutne. Wielu naszych zginęło. Pomyślałem, że będę w stanie donieść powód do mej wioski. Przeszedłem się więc i wódz książąt mi go podał, lecz w drodze powrotnej powód umknął i rozplynął się w mej głowie jak śnieg na słońcu. Było to wiele lat temu i od tego czasu wiele się wydarzyło.

Spojrzał na Artura i znów cichutko zachichotał.

- Istnieje jeszcze coś, co pamiętam z okresu działania narkotyku prawdy, oczywiście poza żabami. Jest to ostatnia wiadomość od Boga do Jego stworzenia. Chcecie ją usłyszeć?

Przez chwilę nie wiedzieli, czy mają go traktować poważnie.

- Nie wygłupiam się - powiedział. - Naprawdę. Nie żartuję.

Pierś Praka unosiła się słabo, walczył o powietrze. Lekko drżała mu głowa.

- Gdy usłyszałem ją po raz pierwszy, nie zrobiła na mnie wielkiego wrażenia, gdy sobie teraz jednak myślę, jakie wrażenie zrobił na mnie przedstawiony przez księcia powód i jak szybko go zapomniałem, to myślę sobie, że ta wiadomość od Boga może się w końcu okazać sensowniejsza. Chcielibyście ją poznać? Co?

W milczeniu skinęli głowami.

- Od razu tak pomyślałem. Jeśli rzeczywiście was tak interesuje, to proponuję, byście ruszyli i jej poszukali. Jest napisana dziesięciometrowymi ognistymi literami na szczytach gór Quentulus Quazgar w krainie Sevorbeupstry na planecie Preliumtarn, trzeciej, patrząc od słońca Zarss w sektorze galaktycznym QQ7 Aktiv J Gamma. Jest chroniona przez lajestyczną powłokę verntrową z Lob.

Po tym oświadczeniu nastąpiło długie milczenie, które w końcu przerwał Artur.

- Przepraszam, gdzie? - zapytał.

- Jest napisana - powtórzył Prak - dziesięciometrowymi ognistymi literami na szczytach gór Quentulus Quazgar w krainie Sevorbeupstry na planecie Preliumtarn, trzeciej, patrząc od...

- Przepraszam - przerwał Artur. - Jakich gór?

- Quentulus Quazgar w krainie Sevorbeupstry na planecie...

- Jakiej krainie? Nie usłyszałem dokładnie.

- Sevorbeupstry na planecie...

- Sevor... co?

- Rany boskie, człowieku... - westchnął Prak i umarł ze złości.

W następnych dniach Artur myślał trochę o tej wiadomości, potem jednak postanowił, że nie pozwoli, by wybiła go z rytmu, i trwał przy pierwotnym planie poszukania jakiejś miłej planety, na której mógłby osiąść i prowadzić ciche, samotne życie. Uznał, że po tym, jak w ciągu jednego dnia dwa razy uratował wszechświat, może teraz podchodzić do wszystkiego na większym luzie.

Wysadzili go na planecie Krikkit, która znów stała się idyllicznym pasterskim światem, nawet jeśli piosenki czasami działały Arturowi na nerwy.

Spędzał dużo czasu na lataniu.

Nauczył się porozumiewać z ptakami i odkrył, że ich rozmowy są niewiarygodnie nudne. Wszystkie dotyczyły szybkości wiatru, rozpiętości skrzydeł, relacji między siłą a ciężarem i w dużej mierze jagód. Artur odkrył, że gdy człowiek nauczy się mowy ptaków, dochodzi niestety bardzo szybko do wniosku, że powietrze wypełnione jest prostacką ptasią paplaniną. Nie można od niej uciec.

Z tego powodu Artur zrezygnował z latania, nauczył się żyć na twardym gruncie i lubić go mimo mnóstwa prostackiej paplaniny, jaką słyszał także tutaj.

Pewnego dnia spacerował po polach i nucił pod nosem piosenkę, którą niedawno usłyszał, gdy nagle spłynął z nieba srebrny statek kosmiczny. Wylądował tuż przed nim.

Otworzył się luk, wysunął trap, ze środka wyszedł i zaczął iść w jego kierunku wysoki, szarzielony Obcy.

- Artur Filip... - odezwał się Obcy, spojrzał ostro na Artura i rzucił okiem w notatnik w dłoni. Zmarszczył czoło. Potem znów spojrzał na Artura.

- Już cię raz miałem, nie?